

ODRA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

4

CZERWIEC 1961





ODRA

4

CZERWIEC 1961

KOMITET REDAKCYJNY:

WŁADYSŁAW BIEŁOWICZ

STANISŁAW DAWSKI

RYSZARD HAJDUK

TADEUSZ JASIŃSKI

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

CZESŁAW PILICHOWSKI

KAZIMIERZ POPIOŁEK

IGNACY RUTKIEWICZ

WILHELM SZEWCZYK

ROMAN WERFEL

SEWERYN WYSŁOUCH

REDAKTOR NACZELNY:

TADEUSZ LUTOGNIEWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI:

WOJCIECH WYSTUP

REDAKTOR GRAFICZNY:

ZBIGNIEW PALUSZAK

W NUMERZE:

DALEKIE I BLISKIE	5
<i>Klemens Krzyżagórski</i>	
DWA RAZY ŚLĄSK	7
<i>Aleksander Kubisiak</i>	
SIEDZIEDZIESIĘCIU OŚMIU Z GROSS-ROSEN	11
<i>Jacek Maziarski</i>	
NIE WEDŁUG PODRĘCZNIKA	19
<i>Roman Szydłowski</i>	
BRECHT I FELSENSTEIN CZYLI PRAWDZIWE NOWATORSTWO	27
<i>Andrzej Kowalski</i>	
NIEBEZPIECZNA SZKOŁA	33
<i>Roman Karpiński</i>	
WYWIAD Z MIASTEM	35
<i>Tadeusz Zimecki</i>	
TRZY BITWY O GŁOGÓW	41
<i>Piotr Kajewski</i>	
HANNA KRZETUSKA	45
<i>Ignacy Rutkiewicz</i>	
RAPORT O TRUSCIE MÓZGÓW	47
<i>Wolfgang Koeppen</i>	
OBŁĘD	55
<i>Janusz Koniusz</i>	
NIEOBĘCNOŚĆ, DOBRZY UMARLI, POGODY	59
<i>Zdzisław Hierowski</i>	
PLON WROCŁAWSKIEGO KONKURSU	61
<i>Leszek Prorok</i>	
PRZEMÓWIENIE LAUREATA	65
<i>Maciej Patkowski</i>	
KOZA Z OCZAMI	67
<i>Eugeniusz Wachowiak</i>	
KONTERFEKT	77
<i>Stanisław Srokowski</i>	
MAŁOWANIE PEJZAŻU ★ ★ ★	78
<i>Elżbieta Drzewińska</i>	
WSRÓD ZIELONOGÓRSKICH PLASTYKÓW	79

83	<i>Bogdan Bąk</i> BALLADA O „DIABLE“
85	<i>Zbigniew Kubikowski</i> SPÓR DŻENTELMENÓW
91	<i>Józef Nowak</i> KULTURTRÄGERZY NIE WYMARLI
93	<i>Jan Reiter</i> O „POCZWARZE“ DODATKOWO
94	ARCHIWUM NAD KSIĄŻKAMI
95	<i>Jan Kaczmarek</i> DWIE PREZENTACJE
96	<i>Jacek Łukasiewicz</i> STARY I NOWY WROCŁAW
98	<i>Krystyna Tyszkowska</i> SOCJOLOGIA Z LUKREM
99	<i>Jan Kaczmarek</i> OPOLSKIE KOMUNIKATY
101	<i>Krzysztof Kwaśniewski</i> POD ZNAKIEM ŚWIĘTEGO SŁOŃCA
102	<i>Zbigniew Kubikowski</i> SIÓDMA DREZDEŃSKA
103	<i>Janusz Degler</i> NOWELISTYKA Z WARSZTATU POWIEŚCIO- OPISARZA
104	<i>Franciszek Połomski</i> CI, CO SIĘ NIE UGIĘLI
106	NAD ODRA, NAD NYŚĄ
107	KRONIKA KULTURALNA
110	Z DZIAŁALNOŚCI TRZZ
112	KSIĄŻKI NADESLANE

Okladkę projektował: *Andrzej Will*

Na okładce rysunek *Hanny Krzetuskiej*.
Inne prace tej artystki i sylwetka twórcza
wewnątrz numeru.

DALEKIE i BLISKIE

Z pokładu swego statku kosmicznego mógł major Gagarin rozróżnić kontury kontynentu amerykańskiego, z takiej perspektywy nie sposób dostrzec Odry. Sprawy, którymi żyjemy na co dzień, nikną w skali globu, cóż dopiero kosmosu, w który po raz pierwszy wdarł się człowiek.

Przekroczony więc został nowy próg dziejów ludzkości, następny — czy ja wiem — po odkryciu Ameryki lub wynalazku radia. Tu słowa „historyczny”, „epokowy” są najbardziej na swoim miejscu. Niepowtarzalna jest satysfakcja, że nam właśnie przypadło w udziale być współczesnymi tego zdarzenia, wymarzonego przez autorów powieści fantastycznych i wizjonerów, wyliczonego przez ogromne sztaby uczonych, którzy wprzęgli do pracy maszyny szybsze od myśli ludzkiej.

A u nas, jak gdyby nigdy nic — codzienne kłopoty i troski: martwimy się trudnościami mieszkaniowymi, nadmiernym zagęszczeniem w szkołach, niewykorzystanymi rezerwami w przemyśle, objawami brutalności i chuligaństwa.

Romantyka i zwyczajność, poezja i proza życia.

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło.
Takie widzi świata koło,
Jakie tępy mi zakreśla oczw.

Mickiewiczowska „Oda do młodości” posłużyła za motto i pointę pierwszego komentarza Polskiego Radia, pióra Edmunda Osmańczyka, z okazji oderwania się — po raz pierwszy — człowieka od ziemi, poszybowania w głąb kosmosu.

Ten cytat wszakże nie znalazł się w owym komentarzu. Tu spełnia funkcję cokolwiek przekorną.

Nie było pośród nas nikogo, kim by nie wstrząsnął dreszcz najgłębszego wzruszenia na wieść o wyczynie majora Gagarina, otwierającym przed człowiekiem, jego już nie fantazją, lecz po prostu twórczą myślą nowe, dotąd ledwie przeczuwane perspektywy. A przecież my wszyscy, ci inni, od tej ziemi nie możemy się oderwać, najdosłowniej. Nam wypada właśnie „chylić ku ziemi poradłone czoło”, i to bynajmniej nie dlatego, byśmy się czuli „zamroczeni wiekiem”.

Dwie perspektywy: jedna, w której cały ogromny glob ziemski jest niczym więcej, jak jasną kulą na ciemnym tle firmamentu, i druga, w której skala globu, ba, nawet kontynentu, wydaje się nam zbyt wielka, zbyt oddalona od powszedniości naszego życia.

Dalekie i bliskie. Obie perspektywy prawdziwe, ale też i obie niewystarczające, obie nacechowane tym samym błędem paralaktycznym. Dopiero nałożone na siebie, zestawione razem, dają obraz rzeczywistości, wolny od jednostronnego zniekształcenia.

W ten słoneczny dzień 12 kwietnia 1961 roku, kiedy spełniała się wizja marzycieli i sprawdzały kalkulacje uczonych oraz posłusznych im maszyn, u nas, nad Odrą i w ogóle na ziemi z pozoru nic się nie zmieniło. Wszystkie wielkie i małe, diabelnie skomplikowane problemy polityki i ekonomiki, filozofii i etyki pozostały w tym samym punkcie, co przed ową godziną, w której ludzkiemu widzeniu świata przybyła nowa, już eksperymentalnie sprawdzona perspektywa.

Szczególna dialektyka losów ludzkich. Wymykająca z przecięcia się wspaniałych wizji romantyki i nieraz okrutnej, a z reguły skromnej codzienności.

Mieszkamy, żyjemy i pracujemy nad Odrą, na tym szmacie ziem stanowiących zachodnie i południowo-zachodnie obszary ojczyzny. To są nasze sprawy bliskie. W wymiarach kosmicznych zdają się nieważne, blahe, nie warte zachodu, przecież od nich oderwać się nie chcemy. W swoich wymiarach, tych, jakie są nam najbardziej dostępne, są tu sprawy wielkie i małe, sukcesy i kłopoty, zdolne nas porwać czy skomplikować nam życie.

Oto mamy czerwiec. Czerwiec nad Odrą i Bałtykiem. Doroczne Dni Morza przypominają walny sukces portu szczecińskiego, który w roku ubiegłym pobił wszelkie rekordy przeladunków sztucznej koniunktury z czasów hitlerowskich.

W czerwcu kończy się rok szkolny i rok akademicki. To znów okazja do zadumania się nad kapitalnym dorobkiem powojennego kilkunastoletcia, w którym kilkakrotnie pomnożyły się aktywa naukowego Wrocławia, w którym zgoła z niczego powstały nowe ośrodki nauki — szczeciński, opolski, katowicko-gliwicki. I zarazem — wielki, jeszcze nie rozwiązany problem setek nowych szkół potrzebnych już najpilniej.

U schyłku półrocza poczynają się wprowadzać do nowych domów lokatorzy. Ostatni zwłaszcza rok przyniósł Wrocławowi kilka oryginalnych obiektów architektury celowej i nowoczesnej. Ale trudności mieszkaniowe są jeszcze dalekie od rozwiązania.

Opolskie i Wrocławskie rok poprzedni zamknęły dwoma pierwszymi miejscami w tabeli plonów głównych zbóż i głównych płodów roślinnych. Ale jeszcze możliwość są dalekie od wyczerpania.

Oto blaski i cienie naszego gospodarowania, przytoczone po trosze na wy-

rywki, na zasadzie wyboru, bez większej troski o proporcje i hierarchie. Taka jest proza naszych spraw bliskich.

Ale oto łącznik między tymi dalekimi sprawami lotów kosmicznych i bliskimi naszego codziennego dnia pracy. Wrocław jest dzisiaj jednym z dwóch czy trzech centrów naszego kraju, w których powstają zreby polskiej nauki, techniki i gospodarki okresu drugiej rewolucji przemysłowej. Naukowe ośrodki matematyki i fizyki teoretycznej, chemii jądrowej i radiacyjnej, elektroniki i automatyki. Przemysłowa produkcja cyfrowych maszyn elektonowych, elementów i zespołów automatyki przemysłowej. Nowa twarz miasta nad Odrą, miasta znanego dotąd z produkcji wagonów, konfekcji i makaronu.

Nie tylko prawem przekory, ani z chęci łatwego paradoksu wydobywamy ten element fizjonomii Wrocławia. Bo też to rzeczywiste *signum temporis*. Tu, nad Odrą, współczesniczymy w formowaniu się cywilizacji, której wrota otworzył lot Gagarina.

Jeden człowiek mógł oderwać się od ziemi, ogarnąć ją spojrzeniem z góry, z zewnątrz, z wielkiej, wspaniałej perspektywy nie za inną cenę jak ta, że tysiące, setki tysięcy, miliony miały wzrok zwrócony ku ziemi. Prawem dialektyki czy paradoksu ten kierunek spojrzenia zostaje wspaniałe odwrócony.

Tak sprawy bliskie i dalekie kojarzą się w wielką syntezę, gdzie spojrzenie w dół, ku ziemi, i skok w górę, poza sfery ziemskiej grawitacji — są dwoma członami tej samej jedności myśli i działania człowieka. Naszemu pokoleniu dane było stać się świadkiem pierwszego kroku w kosmos, naszemu też dany jest wielki trud wprowadzenia i naszego kraju w tę epokę.

J. R.

DWA RAZY Ś L A Ś K

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI

Dwa nasze współczesne czasopisma literackie — krakowskie „Życie Literackie“ i warszawska „Współczesność“ — przeznaczyły swój pierwszy majowy numer problemom Śląska. Zdarzenie to — miłe skądinąd, ale może nie warte aż poematu? — stało się tematem niniejszego felietonu z przyczyn arytmetyczno-historyczno-bibliograficznych. Oto te przyczyny — magia okrągłych liczb:

■ 25 lat temu podobny numer — również o tematyce śląskiej — wydały warszawskie „Wiadomości Literackie“. Śląski numer „Wiadomości“ nosi datę 15 listopada 1936 r., ma 24 strony — normalnie pismo to wydawało 6—8 stron — i piszą w nim m. in. Maria Dąbrowska, Ksawery Pruszyński, Ferdynand Goettel, Ewa Szelburg-Zarembina, Pola Gojawiczyńska, Stanisław Przybyszewski (pierwodruk artykułu o Śląsku i Anglikach, znalezione w papierach pośmiertnych autora „Homo sapiens“), Gustaw Morcinek, Wanda Melcer, Stefan Papée, Kornel Makuszyński, Aleksander Szczepeński — wymieniam te nazwiska w porządku zupełnie przypadkowym, sama jednak waga poszczególnych nazwisk dowodzi, że śląski numer „Wiadomości“ był przedsięwzięciem poważnym.

■ „Życie Literackie“ wydało swój śląski numer dokładnie w 40 rocznicę wybuchu III Powstania Śląskiego (noc z 2 na 3 maja 1921).

■ „Wiadomości Literackie“ zainteresowały się Śląskiem w 15 rocznicę decyzji Rady Ambasadorów, która przyznała Polsce 29 procent obszaru górnośląskiego, objętego plebiscytem. Mówiąc prościej — jesień 1936 r. to był piętnasty rok naszego przedwojennego gospodarowania na Śląsku.

■ Maj 1961 — to trochę ponad 15 lat naszego powojennego gospodarowania na Śląsku. Co prawda — na innym Śląsku, ale o tej inności chcę właśnie napisać, koncept o okrągłych liczbach traktując jedynie jako pretekst do poniższych konfrontacji.

Jaki obraz Śląska przynosił listopadowy numer „Wiadomości“? Powiedzmy z miejsca — niewesoły. W reportażu „Węgiel i człowiek“ pisał Ksawery Pruszyński:

„Rozprawy mówią wyraźnie: rosyjskie zagłębie donieckie, słynny Donbas, zwiększył swoją produkcję węgla w porównaniu z rokiem 1913 o 24 proc., 14 kopalń niemieckiego Górnego Śląska powiększyły ją od roku 1913 o 156,8 proc., 53 kopalnie należące do polskiego Górnego Śląska osiągają obecnie zaledwie 67,9 proc. swej produkcji z ostatniego roku przed wojną. Kurczyliśmy się tam, gdzie inni szli naprzód. Z tej cyfry i porównania wypływają wszystkie strumyczki poszczególnych ludzkich skarg, westchnień, smutnych ocen. To wszystko, zadowolenie i niedomaganie dwóch milionów ludzi na najbardziej zagęszczonym skrawku ziemi Rzeczypospolitej jest zależne od

ilości wagonów węgla, które odchodzą ze stacji śląskich w jakimkolwiek kierunku. Czy jest naszą winą, że odchodzi ich dzisiaj mniej niż w roku 1913?*

Nim na to żałosne pytanie odpowiemy słowami samego Pruszyńskiego — kilka zdań zapowiedzianej konfrontacji. W roku 1959 wydobyte węgla w Stanach Zjednoczonych było o 14 proc. mniejsze niż w roku 1937. Odpowiednie liczby dla niektórych państw europejskich wyglądają następująco: Wielka Brytania — 14 proc. mniej, NRF — 8 proc. mniej, Belgia — 24 proc. mniej, Włochy — 42 proc. mniej.

W tym samym czasie Polska uzyskała wydobyte

■ o 134 procent większe niż w roku 1937 (co częściowo tłumaczy się odzyskaniem pozostałej części Górnego Śląska z istniejącym tam przemysłem węglowym oraz Dolnego Śląska z zagłębiem wałbrzyskim i noworudzkim).

■ o 109 procent większe niż w roku 1946 (co częściowo tłumaczy się normalizacją życia gospodarczego, likwidacją techniczno-przemysłowych skutków wojny),

■ o 34 procent większe niż w roku 1949, co jest już realnym sukcesem naszego powojennego gospodarowania. I chociaż na terenach odzyskanych wydobyte kształtuje się dziś mniej więcej na poziomie roku 1937, to — wobec spadku produkcji węgla w NRF — jest to godny szacunku rezultat. Dla porządku podajmy jednak statystykę wydobywania węgla na obszarze odzyskanej części Górnego Śląska i Śląska Dolnego — łącznie:

■ wedle „Die Ostdeutsche Wirtschaft“ prof. B. Gleitzego w roku 1936 na terenach tych wydobyli Niemcy 26 108 tys. ton,

■ według opracowania GUS w roku 1959 na terenach tych wydobyliśmy 26 669 tys. ton.

A teraz oddajmy głos Pruszyńskiemu. W czym upatruje on przyczynę spadku wydobywania i kogo obarcza winą za tę sytuację, która — nawiasem mówiąc — rodziła wówczas nie tylko gospodarze, lecz i polityczne, niemałe reperkusje? Pruszyński wylicza wszystkie przyczyny, które powodują trudności lokowania węgla na rynku światowym (powstanie przemysłów węglowych w Afryce, Japonii, Chinach, Indiach, we Włoszech, w Grecji; konkurencja innych sił pędnych itd.) i stwierdza w konkluzji, że nasz — nie dość dla zagranicy tani — węgiel jest w dodatku za drogi dla kraju:

„... obiecane eldorado zbytu, kresy polskie, Wileńszczyzna — stoją po dawnemu obce. Węgiel, który wydobywa robotnik śląski, nie może do nich dotrzeć. Jest to naturalnym wynikiem warunków, w których dniówka robotnika śląskiego wraz z opieką społeczną wynosi dziesięć złotych, gdy w Miklaszewiczach zarabia się cztery, na wsi mniej niż złoty“.

Przeraźliwie niski standart życiowy — brak wystarczająco chłonnego wewnętrznego rynku zbytu — odbija się z kolei na standardzie życiowym śląskiego robotnika:

„Robotnik śląski pracuje dziś piętnaście dni miesięcznie, czasem dziesięć, czasem dwadzieścia. Dziennie zarabia tyleż, ile zarabiał zasadniczo dawniej. Ale miesięcznie czyni to jednak mniej. Robotnik śląski ma rodzinę, szeroki krąg braci, braci stryjecznych, szwagrów, posiada żywe rodzinne uczucie. Pracujący robotnik śląski, który dziennie zarabia tyle, ile dawniej, ale miesięcznie znacznie mniej, ma na swoim utrzymaniu znaczniejszy niż dawniej krąg niepracujących członków rodziny“.

Bezrobocie rodzi potrzebę kredytu. Maria Dąbrowska w reportażu „Śląsk spółdzielczy“ pisze, że główną troską śląskich działaczy „Społem“ jest ograniczenie kwot zamrażanych przez kredyt, najczęściej żywnościowy. A Wanda Melcer w reportażu „Hałdy i zboże“ taki zapisuje — egzotyczny dziś — fragment pejzażu wielkiego miasta:

„... na jednej z głównych ulic Katowic widzę codziennie małe wózki ręczne z krzyżakami, do jakich za czasów mojego dzieciństwa zaprzęgało się psy. Stoi ich zwykle kilka u brzegu chodnika, flankują je wyrostki i małe chłopaki, utyłane w węglu, drobne i chude jak cały lud tutejszy.

Przystając na chodniku i pytam:

— To oczywiście węgiel z bieda-szybów?

— Tak, to jest węgiel z bieda-szybów, kosztuje piętnaście złotych za tonę, kiedy my płacimy tutaj olbrzymie koszty pośrednictwa i transportu.

— A policja bardzo was gania?

— Bardzo — mówią — bardzo, jak złapią, to trzy dni aresztu bez sądu...“

„Utrata roboty w kopalni i przymusowe przejście do bieda-szybów jest czymś ostatecznym“ — pisał latem 1935 roku Adolf Rudnicki (w reportażu „Notatki o kopalniach, górnikach i agitatorach“). A Gustaw Morcinek w noweli „Katarzyniarz“ (zamieszczonej w antologii grupy „Przedmieście“) informuje o wysadzeniu bieda-szybów dynamitem, do czego zresztą przyczyniła się kampania ówczesnej prasy, zaniepokojonej ogromną ilością śmiertelnych wypadków: „Nie ma dnia bez wypadku, a jednak to nie odstrasza“ — pisał Rudnicki. Dynamitem rozstrzygnięto więc tylko alternatywę: głodowanie, czy ewentualna śmierć od wypadku — na rzecz głodowania.

★

Czy istnieje jeszcze zagadnienie śląskie? To pytanie sformułował przed 25 laty Aleksander Szczepański w artykule pt. „Zagadnienia śląskie“. Spróbujmy dzisiaj rozważyć tę kwestię — równocześnie powołując się na odpowiedź autora.

Szczepański upatrywał istnienie problematyki śląskiej w fakcie, iż „nie cały Śląsk, który zachował etniczny charakter polski“, został Polsce zwrócony. I miał rację. Sięgnijmy do źródeł dzisiejszych. Henryk Zieliński w szkicu pt. „Z dziejów walki o przynależność państwową Śląska“ cytuje opracowanie niemieckie, którego autor, dr Heinz Rogmann ilość Polaków na Śląsku należącym wówczas do Niemiec obliczał na 550 000 osób. „Nie ma zbyt mocnych słów, aby ostrzec przed lekceważeniem siły liczebnej Polaków na zachodnim Górnym Śląsku“ — pisał Rogmann.

W roku 1945 w wyniku akcji weryfikacyjnej około 700 000 ludności rodzimej uzyskało pełnię praw obywatelskich. W ten sposób została zlikwidowana ta część zagadnienia śląskiego: powrót ziemi i ludzi. Według informacji Stefana Golachowskiego („Ludność Śląska“), w roku 1950 na Górnym Śląsku mieszkało 86,2 proc. ludności rodzimej — Polaków, którzy zamieszkiwali ten region przed wojną. Na Opolszczyźnie ilość ludności miejscowej wynosiła 54,3 proc. i tylko Dolny Śląsk został po wojnie zasiedlony prawie na nowo przez przybyszów ze Wschodu (593 000), z wszystkich niemal województw przedwojennej Polski i z Zachodu — reemigrantów z Belgii, Francji i Niemiec.

Drugim elementem zagadnienia śląskiego — według Szczepańskiego — jest obcość tego regionu w organizmie gospodarczym Polski roku 1936: „Dla organicznego wcielenia Śląska w życie gospodarcze Polski trzeba szybko podnieść nasze spożycie węgla, żelaza, stali, cynku, chemikaliów“. Podaje on w swym artykule liczby, którymi mierzy się gospodarcze znaczenie Śląska dla Polski. Śląsk roku 1936 to: 75 proc. węgla, 70 proc. żelaza surowego, 66 proc. żelaza walcowanego, 66 proc. stali, 100 proc. cynku.

Śląsk współczesny to pojęciowo coś zupełnie odmiennego niż przedwojenna „ziemia czarnych diamentów“. Współczesny Śląsk — to 38 076 km² miast, lasów, szybów kopalnianych, fabryk — 12,2 proc. powierzchni Polski, a mieszka tu 21,4 proc. ludności kraju. A więc nie egzotyczna kraina, skrawek Ameryki made in Poland — lecz tzw. Iwia część Polski, 6 208 000

dusz. Wytwarza zaś ten obszar 35,7 proc. produkcji całej Polski, bogatszej już dzisiaj przemysłowo o krakowskie hutnictwo, przemysł warszawski, lubelski, szczeciński. Śląsk współczesny — to: 2 956 fabryk dolnośląskich, 1 438 fabryk opolskich, 4 039 fabryk górnośląskich.

I te liczby stanowią dopiero punkt wyjścia do jakiegokolwiek dyskusji o Śląsku dzisiaj.

W roku 1936 Ksawery Pruszyński pisał w „Wiadomościach Literackich“ o młodości Śląska, który uzyskał wyższy standart cywilizacyjny w ciągu czterdziestu lat i nie bardzo wie, jak sobie z tym standartem radzić. Podawał przykład podobnego zjawiska cywilizacyjnej beźradności u polskich emigrantów, którzy paradowali we Francji w smokingach, ale z butami w garści — tak maszerowali w niedzielę do kościoła. Dzisiaj reemigranci z Francji są apostołami cywilizacji Pas-de-Calais i w takim Wałbrzychu np. pełnią funkcję arbitrów mody i stylu. A ci młodzi cywilizacyjnie Ślązacy roku 1936 — to dzisiaj weterani górnictwa i oni stanowią zaczyn nowej tradycji nowego Śląska. Ich upodobania, sposób życia, ich model małego, domowego szczęścia stał się przedmiotem badań komisji socjologicznej Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach. W majowym numerze „Życia Literackiego“ relacjonuje te badania Irena T. Sławińska. Dowiadujemy się więc, że współczesnym „zagadnieniem śląskim“ jest budowa odpowiednio dużych kuchni, garaży i zakładanie ogródków, bo — jak to wyraził jeden z respondentów — „górnika, jak pracuje na dole w tym zaduchu, to jak wyjdzie, to mu w głowie klupie, to on najchętniej poje sobie, wypali fajkę i idzie do ogródka na powietrze“.

Klemens Krzyżagórski

Wałbrzych

Fot. Stefan Arczyński





SIEDEMDZIESIĘCIU OŚMIU Z G R O S S - R O S E N

A L E K S A N D E R K U B I S I A K

8 lutego zniszczono krematorium. Wyszadzono w powietrze. Następnego dnia, około 4 nad ranem, wypłynął ostatni transport. Wypłynął, bo drogi, po których pędzono tysiące ludzi — ociekały krwią. Słabych i chorych dobijano bez pardonu.

— Sądzę, że to stało się po 9 lutego 1945, tuż po ewakuacji. To z pewnością jakieś „Aussenkommando”, które za późno ściągnęli do „Stammlageru”. Nie wiedzieli, co z nimi zrobić — radzieckie czołgi były tuż, tuż — no i rozwalili.

Słucham, co mówią członkowie komisji, i już zanotowałem opinię Janusza Pękały — prezesa świdnickiego oddziału ZBoWiD-u, byłego więźnia Gross-Rosen, numer 12233. Ale w duchu próbuję obliczyć, ile tu krwi i ludzkich ofiar.

Dr Bolesław Dadej, pracownik naukowy Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej we Wrocławiu, dyktuje sekretarce: „... sądząc ze zmian na kościach, zwłoki złożono tu niewątpliwie przed 15 laty — ale nie wcześniej niż przed 20 ...”.

— To trudno dokładnie określić — zwraca się do prokuratora Klamy — bo zmiany przebiegają dość powoli i zależą od warunków miejsca pogrzebienia: rodzaju gleby, wilgotności, dostępu powietrza i wody. — I do mnie: — Widzi pan, kości są odtłuszczone, ale jeszcze nie kruche.

— Tak, panie doktorze, widzę.

Siedemdziesiąt osiem czaszek. Złożono je w dużej drewnianej skrzyni.

Obok — dwie skrzynie, a w nich kości. Na wierzchu jakieś sznury i druty.

— To kabel telefoniczny — mówi Pękała. I dodaje: — Niektórym związali ręce, innym — nogi.

Pomiędzy kośćmi strzępy materiału. Wyraźnie zachował się jasno-zgniłozielony strzęp splamiony czerwoną farbą. Tak znaczone cywilne ubrania więźniów, dla których pod koniec wojny już brakowało pasiaków. Parę przewartych rdzą misek i łyżek wydaje się potwierdzać przypuszczenie Janusza Pękały. Mieli przy sobie miski, a więc przygotowywali się do wyruszenia z transportem. Albo zamordowano ich tuż po przybyciu do obozu, zanim jeszcze zdążyli złożyć w baraku swój niezbędny, więźniarski dobytek.

Jedynymi znakami, które — być może — pomogą zidentyfikować ofiary SS-mańskiej „Mordlust” są cztery metalowe blaszki z wytłoczonymi numerami: R-16237, 23395, 36156, 41265. To „R” oznacza, że człowiek opatrzony numerem 16237 był obywatelem Związku Radzieckiego. Kim byli pozostali? Chyba Polakami, nas tu było najwięcej. Ale to przecież nieważne. Tutaj każdy ginął tą samą śmiercią. Takie same blaszki nosili niektórzy więźniowie zamiast skrawka płótna z wypisanym obozowym numerem. Na lewej piersi — nad kolorowym trójkątem określającym powód zamknięcia. Gdy numer był niewidoczny, wyblakły na słońcu i deszczu — to bili. Stąd niektórzy, ci, co pracowali w warsztatach — wytłaczali sobie numery na skrawku blachy.

Ich grób odkryto 7 kwietnia 1961 r. o godz. 12,15. Właściwie — żaden grób. Nieforemna jama o wymiarach: długość — 5 m, szerokość — od 1,5 do 2 m i głębokość — około 2 do 2,5 metra. Po prostu rów, w którym miały być ułożone przewody kanalizacyjne. 5 kwietnia 1961 r. ziemia obsunęła się i dozorca strzegący terenu byłego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Rogoźnicy (Gross-Rosen) dokonał makabrycznego odkrycia. W dwa dni potem zjechała Komisja do Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i dokonano ekshumacji.

Około 10 czaszek nosi ślady postrzałowe; strzelano z bliskiej odległości. Kości ciemieniowe są popękane albo wręcz rozerwane. Na innych widnieją ślady „po urazach zadanych przedmiotami tępo-krawędzistymi”. Ślady poci-sków stwierdzono też na kościach szkieletów. Zamordowani byli ludźmi młodymi. Czterech — poniżej 20 roku życia, a tylko pięciu — powyżej 40. Sześćdziesięciu dziewięciu zginęło w wieku 20—30 lat. Pogrzebano ich tuż przy granicy między obozem właściwym a dodatkowym, zbudowanym w roku 1944 — tzw. „oświęcimskim”, do którego zwożono ludzi z najrozmaitszych obozów na wschodzie w okresie, gdy klęska Rzeszy była już nieuchronna. Oprawcy się śpieszyli. Już nie mieli czasu, aby wyrwać złote zęby, jakie znajdują się w dwóch czaszkach. Wrzucili zwłoki do rowu, przysypali ziemią — i zbiegli.

Tak, po 16 latach odkryto jeszcze jedną hitlerowską zbrodnię na polskiej ziemi. Na terenie byłego obozu śmierci Gross-Rosen, 60 kilometrów na południowy zachód od Wrocławia, w odległości około jednego kilometra szosą od wsi Rogoźnica, na pochyłym zboczach wzgórz między lasami.

★

Obóz w Rogoźnicy — KL Gross-Rosen — powstał stosunkowo późno. Jego początki sięgają roku 1940. 2 sierpnia tegoż roku przybył na teren kamieniołomu w Gross-Rosen bei Striegau pierwszy transport więźniów, których zadaniem było zbudować obóz. Kamieniołomy stanowiły niegdyś własność

prywatną. Na początku wojny nabyła je firma zwana w skrócie DEST: „Deutsche Erd – und Steinwerke GmbH”. Była to spółka założona przez przywódców i oficerów SS, którzy w ten sposób zapewniali sobie ogromne dochody. W kamieniołomie pracowali więźniowie, za których skarbowi Rzeszy płacono 0,30 RM miesięcznie od jednego zatrudnionego. Spółka przynosiła kolosalny dochód – zatrudniała najtańszą siłę roboczą na świecie.

Pierwszy transport przysłano z obozu w Sachsenhausen. Składał się on ze 100 więźniów: 98 Polaków i 2 Niemców – kryminalistów. Komendantem eskorty był SS-Scharfuehrer Anton Thuman, którego dwa lata później odkomenderowano na stanowisko Lagerfuehrera obozu na Majdanku. Niedługo zaczęły napływać do Gross-Rosen dalsze transporty. Z Dachau, z Buchenwaldu, Sachsenhausen...

Pierwszy okres powstania obozu był najstraszliwszy. Oprócz głodu, na ciężkie warunki składały się: prymitywizm życia, ciężka praca i wprowadzony przez Thumana niesamowity terror. W niewykończonych barakach nie było łóżek, a nawet sienników, bieżącej wody i mydła, nie dochodziły paczki, które później uzupełniały głodowe wyżywienie. Do ciężkiej pracy

Lekarz stwierdza ponad wszelką wątpliwość: ta czaszka ma widoczne złamania pochodzące od uderzenia jakimś ciężkim przedmiotem.



w kamieniołomie wypędzano również w niedzielę i w święta, a nawet w nocy. Pomoc lekarska nie istniała. Kto był słabszy lub chory — umierał. Śmiertelność była olbrzymia. Jak wynika z zeznań świadka Jana Piegzy, byłego więźnia Gross-Rosen, złożonych Głównej Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce — z transportu, w którym został on przywieziony tu w maju 1942 i który liczył około 1500 osób, do końca grudnia przy życiu pozostało zaledwie około 50 ludzi.

Do pracy w kamieniołomach wychodzili więźniowie o 6 rano. Zbiórka odbywała się na placu apelowym. Zawsze towarzyszyło jej lżenie, bicie i kopanie. Zabójcza praca w „Steinbruchu” wrzała przez cały dzień, do 6—7 wieczorem z godzinną przerwą na obiad. Ludzie wykańczali się bardzo szybko. Sposób wyżywienia więźniów doprowadzał do ostatecznego wyniszczenia organizmu. W początkowym okresie istnienia obozu Gross-Rosen więźniów nie mógł tu żyć dłużej niż 6 miesięcy. Wyżywienie — jak to wynika z zeznań byłych więźniów Dolińskiego, Haugasą, Smolana, Mastykarza, i Święckiego — było zupełnie głodowe. Oto, co zeznał dr Haugas:

„... śniadanie składało się z około 1/3 litra bardzo wodnistej zupy, drugie śniadanie (tylko dla ciężko pracujących) z 50 gramów chleba i plasterka końskiej kielbasy. Obiad zawsze z wodnistej zupy w ilości około 1 litra na osobę. Przyrządzano ją zwykle z suszonej albo świeżej brukwi, czasem z kartofli albo grochu, w lecie zaś ze zwykłych zielonych liści kapusty, karpieci i buraków. Dodatek kartofli w zupach był minimalny. Kolację stanowiła dzienna porcja chleba w ilości około 300 gramów oraz kilka razy w tygodniu i nie stale — dodatki w postaci 50 gramów margaryny lub tyle samo końskiej kielbasy. Te właśnie dodatki były przedmiotem złodziejstwa i handlu ze strony blokowych i kapo, a także SS-manów. Byłem wielokrotnie świadkiem, jak z kuchni więźniów wysyłano niemieckiemu lekarzowi Jobstowi, rzekomo dla psa, całe półkilowe kostki margaryny, zwoje kielbasy i inne rzeczy z kuchni. Tak samo czynili inni SS-mani. Na tej podstawie twierdzę, że wyżywienie więźniów w praktyce daleko odbiegało od wyznaczonych, nawet w warunkach obozowych, wartości kalorycznych. Według obliczeń, które niejednokrotnie czynilem, na więźnia przypadało na dobę około 1600 do 1800 kalorii, a dla tych, co nie dostawali drugiego śniadania, około 1400 kalorii. Ponieważ należało każdego więźnia traktować tu jako ciężko pracującego, niedobór w kaloriach wynosił zatem codziennie około 2000. Nic dziwnego, że w tych warunkach okres życia więźnia nie otrzymującego paczek wynosił około 3 do 4 miesięcy“.

Oprócz pracy w kamieniołomach, w późniejszym okresie, kiedy obóz powiększył się i przebywało w nim „planowo” 12 tysięcy ludzi, istniały i inne „Kommandy”, w których pracowali więźniowie. Większość z nich znajdowała się poza terenem „Stammlagru” — obozu macierzystego, w tzw. obozach filialnych, zorganizowanych przez przedsiębiorstwa zatrudniające więźniów. Liczba tych „fili i przedsiębiorstw”, w których pracowali ludzie z Gross-Rosen, jest znaczna. Obejmuje ona około 40 pozycji: od „Duramil Gesellschaft-Dyhernfurth” (w Brzegu Dolnym), „Phrix-Werke-Hirschberg” (dziś na tym miejscu — jeleniogórska „Celwiskoza”) i „Famo-Breslau” (dzisiejsze Zakłady M-5 we Wrocławiu) aż po Fabrykę Wagonów w Goerlitz, Zakłady Kruppa w Jelczu, Zakłady „Rheinmetall-Borsing” na Psim Polu i komando pracujące przy budowie lotniska w Brzegu nad Odrą.

Zapłata, jaką firmy zatrudniające więźniów wносиły do kasy Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS (WVHA w Oranienburgu), była niewielka.

Stawka wynosiła — za całomiesięczną pracę więźnia-fachowca 5 RM, więźnia-robotnika niewykwalifikowanego (Hilfsarbeiter) — 4 RM. Stawki te płacono za pracę całodzienną — 12 godzin. Za połowę dniówki należność była o 50 proc. niższa.

O ogólnych warunkach pracy mówi zeznanie świadka Andrzeja Waksmundzkiego:

„Robota była ciężka i ponad siły; pracowałem przeważnie w kamieniołomach, przy budowie obozu i koszar dla SS-manów. Polegała ona na wydobywaniu kamienia i przeprowadzaniu robót ziemnych z odkrywaniem skały. Niedożywiony, często chory więzień był zmuszony do 12- a często i 13-godzinnej pracy pod nadzorem kapo i SS-manów uzbrojonych w kije i musiał ustawicznie pracować bez chwili wytchnienia. Nie wolno się było wyprostować i ani na chwilę zaprzestać pracy ani usiąść, gdyż wówczas bito niemiłosiernie, często aż do utraty przytomności lub utraty życia. Więzień musiał ustawicznie poruszać młotem lub kilofem. Bez względu na pogodę, podczas ulew-

Zdjęcia: Stanisław Sado



nego deszczu czy śnieżyca, podczas mrozów czy w skwarze upałów pracowali więźniowie wśród ustawicznych krzyków, poganiania, znęcania się aż do zupełnego wyczerpania“.

Taki był obóz Gross-Rosen. Wytyczną była tu zasada „Vernichtung durch Arbeit“ – wyniszczenie przez pracę. Komory gazowe wydawały się więc zbędne, chociaż w planie obozu, który zachował się do dziś, przewidziano je w zachodniej części lagru, tuż obok budynku oznaczonego jako „Kremo“ (krematorium). Piece istniały w Gross-Rosen od samego początku istnienia obozu. Najpierw ustawiono nieduży piec opalany mazutem, ale później okazał się widocznie za mało wydajny i wówczas chyba ten sam oświęcimski dostawca, firma „Toepf und Soehne“ z Erfurtu, postawił okazały budynek, w którym umieszczono czterokomorowe krematorium. Prochy zamordowanych i spalonych ludzi wyrzucano do znajdującego się w pobliżu dołu.

Organizacja Gross-Rosen nie różniła się od organizacji innych obozów, jak Oświęcim, Mauthausen, Majdanek czy Sachsenhausen. Komendantem obozu był zwykle wyższy oficer SS (kolejno: Thuman, Ernstberger i ostatnio Roedel), którego wybierano spośród wyróżniających się w administracji innych obozów. Bezpośredni nadzór nad więźniami spoczywał w rękach – a raczej w kijach – podoficerów SS, zwanych „blockfuehrerami“. Oni z kolei rekrutowali się spośród wychowanków hitlerowskich zakładów wychowawczych (Ordensburgen) i stanowili element najbardziej zbrodniczy. Ich pomocnikami byli już więźniowie – kapo, vorarbeiterzy, blockaeltesterzy itd. Te funkcje w większości wypadków pełnili stale kryminaliści niemieccy.

Jak wynika z bez mała wszystkich relacji osób, które przeszły piekło Gross-Rosen, śmiertelność w obozie była bardzo wysoka. Chociaż obóz był w porównaniu z innymi stosunkowo niewielki – „zaledwie“ dla 12 tysięcy więźniów – jak obliczono na podstawie zeznań świadków w raporcie Głównej Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, przewinęło się tędy co najmniej 125 tysięcy ludzi. Większość osadzonych stanowili Polacy, następnie Rosjanie – jeńcy wojenni i cywile – Ukraińcy, Serbowie, Chorwaci, Czesi, Francuzi, Belgowie, Niemcy, Żydzi, Holendrzy, Austriacy itd. Śmierć znalazło tu – jak wynika z tego samego dokumentu – co najmniej 40 tys. ludzi.

W niedużym muzeum obozowym do dziś dnia zachował się dokument z tamtych lat. Pismo Urzędu SS z Poznania, z dnia 15 grudnia 1941, treści następującej:

„... istnieje podejrzenie, że w obozie jeńców wojennych w Wollstein (Wolsztyn w województwie poznańskim) wybuchł wśród jeńców rosyjskich tyfus plamisty. Z tego powodu szef Sipo i SD zarządził telefonicznie, by wszyscy jeńcy zostali wyselekcjonowani i dostarczeni do Waszego obozu celem wykonania na nich egzekucji.

Z tego względu kierujemy do Was w dniu 16 grudnia 1941 około 180 jeńców wojennych. Należy się liczyć, że transport przybędzie pomiędzy godziną 17-tą a 18-tą...“

Zsyłano do Gross-Rosen głównie tzw. „przestępców politycznych” – Schutzhaftaeftlingów, więźniów bez wyroków sądowych, osadzanych wyłącznie na podstawie zarządzenia Gestapo, policji albo SS. Obóz miał fatalną opinię nawet wśród SS. Wynika, to z pisma szefa Sipo (policji bezpieczeństwa) i SS z 2 stycznia 1941, adresowanego do: wszystkich placówek Gestapo, komendantów Sipo i SD, inspektorów Sipo i SD, inspektorów obozów koncentracyjnych, oraz pełnomocników Sipo i SD w Krakowie i Pradze. Zalicza się w nim Gross-Rosen do trzeciej, najgorszej grupy obozów. Do pierwszej – jak wynika z tego pisma – zaliczali hitlerowcy Dachau,

Sachsenhausen i Oświęcim I; przeznaczyli je dla „więźniów mniej podejrzanych, rokujących poprawę, oraz wypadków szczególnych”. W grupie Ia znajdował się Dachau — chodzi tu o ogromne plantacje zielarskie, do których zalecano „kierować ludzi starszych, ale jeszcze zdolnych do pracy”. W grupie II — dla „ciężko obciążonych, ale możliwych do poprawy” — znajdował się Buchenwald, Flossenburg, Neuengamme i Oświęcim II. W III — „dla ciężko obciążonych i nie rokujących nadziei na poprawę” — m.in. Gross-Rosen. Oczywiście te rozróżnienia istniały właściwie tylko na papierze. Warunki we wszystkich obozach niewiele się przecież różniły, ale fakt, że Gross-Rosen znalazło się w kategorii III, ma swoją wymowę, nawet z oficjalnego punktu widzenia hitlerowców.

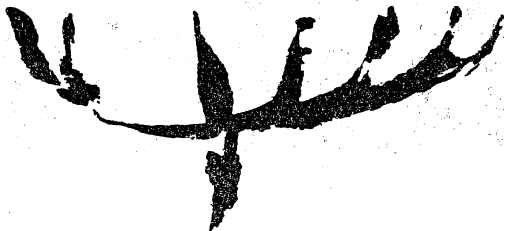
Likwidację obozu Gross-Rosen rozpoczęto w styczniu 1945, kiedy ruszył front nad Wisłą. Drogami ściekały jeszcze transporty z ewakuowanego Oświęcimia. Dla nich to już jesienią poprzedniego roku rozpoczęto tutaj budować specjalnie wydzielony obóz — tzw. „filię oświęcimską”, ale teraz wychodziły transporty już w głąb Rzeszy. W Gross-Rosen więziono wówczas około 36 tysięcy ludzi. Wywożono ich do Buchenwaldu, Sachsenhausen, Gusen, Flossenburga.

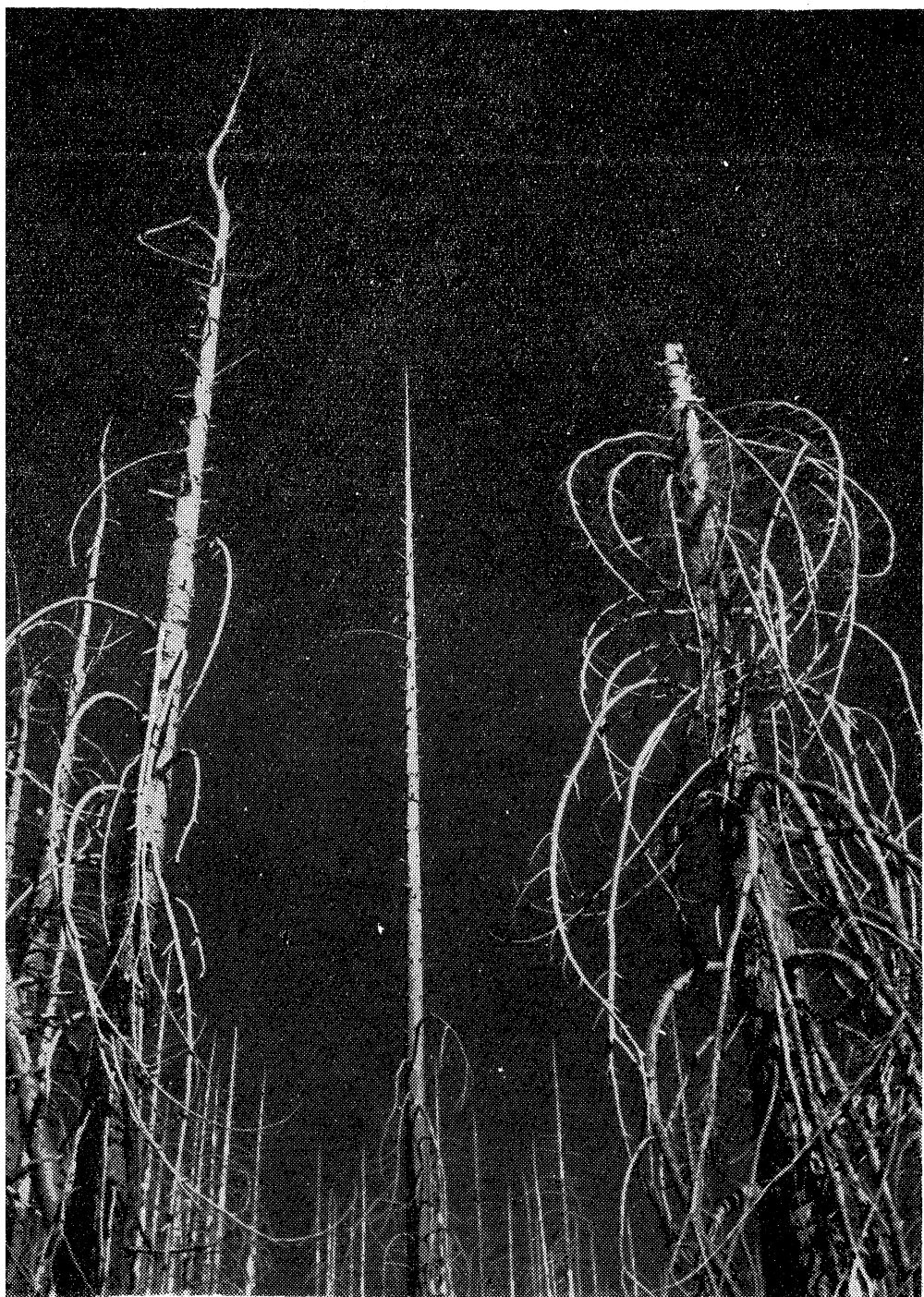
Prof. Andrzej Waksmundzki tak opisuje przebieg ewakuacji:

„Ewakuacja została zarządzona w początku lutego 1945 r. — pieszo i pociągami. Kto podczas marszu pozostawał, bo dalej nie miał siły iść, tego SS-mani zabijali. Nielepiej było ewakuowanym pociągami. Ja wyjechałem w drugim dniu wraz z transportem kobiet i rekonwalescentów ze szpitala. Na stacji załadowano nas do wagonów otwartych (węglarek), po 130–150 osób do wagonu. Ciżba była tak wielka, że nie było gdzie usiąść, a wskutek tego i zasnąć. Transport był w drodze przez 5 dni i tyleż nocy. W tym czasie nie dostaliśmy nic do jedzenia ani do picia. Z nastaniem zmierzchu, aby sterrować więźniów, SS-mani strzelali koło wagonów, a często i do wagonów. Za dnia urządzali nam „sport“, tak że słabsi zostali zdeptani przez tłum. Z pragnienia i niewyspania wielu było obłąkanych. W Norymberdze uporzędkowano wagony i wyniesiono trupy. Zapelniono nimi trzy lory“.

Siedemdziesięciu ośmiu już nie zdążyło wyruszyć z transportem. Nie zdążyli do węglarek. Już na zawsze pozostali w Gross-Rosen.

Aleksander Kubisiak





Fot. Stefan Arczyński

NIE WEDŁUG PODREĆCZNIKA

JACEK MAZIARSKI

Mówiąc o owych pięknych, choć krwawych dniach, historyk skrzętnie wybiera tylko momenty najważniejsze, uogólnia, unika osobistego zaangażowania:

...Po niekorzystnym dla Polski plebiscycie na Śląsku, po dyplomatycznych przetargach, które zagrażały przejęciem większości tego obszaru przez Niemcy, lud śląski po raz trzeci chwycił za broń. III Powstanie wybuchło w nocy z 2 na 3 maja 1921 r., w błyskawicznym tempie rozlewając się po całym Górnym Śląsku. Mimo stosunkowo słabego uzbrojenia powstańców w pierwszej fazie walki udało im się odnieść znaczne sukcesy. Już w pierwszych dniach powstania osiągnięta została linia Odry. Nie udało im się natomiast opanować najważniejszych miast niecki przemysłowej, które pozostały pod kontrolą aliantów — Anglików, Francuzów i Włochów.

Rząd Witosa przyjął względem powstania niechętnie a nawet wręcz wrogie stanowisko. Również przywódcy powstańców z dyktatorem Wojciechem Korfantym na czele skłonni byli traktować majowe wydarzenia jedynie jako demonstrację polityczną przydatną do pewnego stopnia w pertraktacjach dyplomatycznych.

Na skutek wielu błędnych posunięć kierownictwa powstania, rozmach pierwszego uderzenia załamuje się i Niemcy przechodzą do kontrofensywy zdobywając w krwawej bitwie (21–27 maja 1921 r.) rejon Góry św. Anny i odrzucają Polaków na znacznym odcinku od Odry. Tym niemniej nie udaje się im wdrzeć w głąb okręgu przemysłowego ani zdruzgotać sił polskich.

W wyniku zabiegów dyplomatycznych 25. VI. 1921 r. Niemcy podpisują rozejm, a 5 lipca ostatnie oddziały wojskowe opuszczają teren plebiscytowy. Jedynym trwałym efektem powstania była zmiana orzeczenia Ligi Narodów, mocą którego Polsce przypadła teraz 1/3 terytorium spornego z Lublińcem, Katowicami, Chorzowem i Rybnikiem.

Tak wyglądają fakty, które można znaleźć w podręcznikach historii. Są ściśle, wielokrotnie sprawdzone, uznane za najważniejsze. A jednak czegoś brakuje w owym opisie śląskiego powstania. Brakuje tego elementu, bez którego otrzymujemy obraz fałszywy, zwodniczy, nie odpowiadający nawet w przybliżeniu temu górnemu i chmurnemu epizodowi naszej narodowej historii. Nie wystarczą bowiem suche fakty, choćby były nawet najważniejsze i jedynomyślnie uznane za kluczowe.

Żeby wczuć się, zrozumieć niepowtarzalną atmosferę tamtych dni, trzeba sięgnąć po dane, które nie przeszły do historii. Chodzi o błahe dla uczonych detale, okruchy faktów, nie znane dzisiaj nikomu sylwetki ludzkie. Są to ka-

myki, z których układa się mozaika dająca obraz powstańczego lata 1921. Obraz w zamaszystym, staropolskim stylu, pełen brawury, cierpienia i niezamierzonego patosu.

ORGESZ MĘCZY I KATUJE...

Cóż to były za dni! Jak Śląsk Śląskiem nigdy jeszcze nie nazbierało się na tej cichej ziemi tylu przybyszów ze wszystkich stron świata. Maszerowali grając na kobzach odziani w kraciaste spódniczki Szkoci, walili kolumnami Włosi, roło się od francuskich żołnierzy. Gdzieś z głębi Niemiec ściągali awanturnicy marzący tylko o tym, by bić, bić pałką, kolbą, bagnetem — czym się da. Dudniły buciory kondotierskich jednostek Orgeschu, Oberlandu, von Loewenfelda, von Aulocka, Heinza, Heydebrecka, Paulssena, Kuehmego, Rossbacha, Ehrhardta. Gdzie przeszli, tam długo lamentowały śląskie kobiety, dymiły zgliszca domów. Po chałupach śpiewano wieczorami nie wiadomo gdzie zrodzoną piosenkę:

*„Tam od Odry, tam od Warty,
biją głosy w Śląsk otwarty.*

*Biją głosy, ziemia jęczy,
Prusak śląskie dzieci męczy.*

*Orgesz męczy i katuje
któż nad Śląskiem się zlituje?”*

Przeciwno doskonale uzbrojonym, kierowanym przez doświadczonych dowódców Selbstschutzom i Orgeschom walczyli „ubodzy powstańcy, śląscy szeregowcy”, jak sami określali się wobec świata. Nie mieli mundurów. Nie mieli nawet butów, bo zdarli je już w pierwszych dniach walki. Ich skradzione z niemieckich magazynów i zebrane na polu bitwy „flinty” kołysały się na konopnych sznurkach. Niejeden z powstańców musiał się kontentować szabłą albo i „handgranatą” sprytnie spreparowaną z górniczego dynamitu, śrutu i puszki od konserw. Co tu dużo gadać — rzucali się jak wilki na poległych towarzyszy, by porwać niepotrzebny umrzykowi karabin i naboje.

Dziwna armia... Bez oficerów, bez wojskowej musztry, bijąca się zawzięcie i do upadłego. Armia bohaterów i cwaniaków umiejących zrobić z niczego w ciągu kilkudziesięciu godzin pociągi pancerne, które siały postrach i zagładę, mimo że znaczna część ich uzbrojenia była... makietą. Byli to żołnierze, których stale należało pilnować, by nie wypuszczali się na samodzielne wyprawy poza linię frontu. Pilnować, by nie urywali się na noc do żon i narzeczonych.

A jednak ci górnicy, hutnicy i chłopci byli dobrymi wojakami. Bili się tak zaciekle, że ich natarcia nie mógł wytrzymać wyćwiczony, nazarty i uzbrojony po zęby niemiecki Soldat. Swoje sromotne klęski Niemcy tłumaczyli okrucieństwem powstańców. Uparcie twierdzili, że zabijają oni jeńców. Nieprawda, nie zabijali. Po prostu prali ich po pyskach z zajadłą, pierońską złością ludzi skrzywdzonych. Układne i rozsądne dowództwo prosiło i groziło — nic nie pomagało. Do końca walili schwytyanych Niemców na odlew, w zęby — i szli do paki z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

CZŁOWIEK, KTÓRY ZDOBYŁ „VOLKSUND”

Powstańcy nie mogli zająć miast, w których roło się od przerażonych Selbstschutzów, wszelakich szumowin i bojówkarzy. Broniły im tego alian-

kie czołgi. Okrążyli więc Gliwice, Bytom, Tarnowskie Góry, Katowice — wszystkie ważniejsze ośrodki Górnego Śląska. Postanowili oblegać fortece niemieczyny aż do skutku. Było to chyba ostatnie prawdziwe oblężenie w historii współczesnych wojen — takie z zamykaniem dopływu wody, z barykadami wokół miasta. A jednak owo „cernowanie” budziło też uśmiech politywania swoją nieporadnością i nietypowością. Kwitnął szmugiel (przy walnym udziale alianckich oficerów!), oblegający często-gęsto wpadali do obleganych miast, aby na własną rękę wymierzać sprawiedliwość znanym hakatystom. Rządziej kulą, częściej po prostu „żyłą” na goły zadek. Zazwyczaj kończyło się na uroczystych protestach aliantów patronujących poszkodowanym na honorze Niemcom...

Jednym z takich „wycieczkowiczów” był plutonowy Antoni Smółka, któremu pewnego upalnego przedpołudnia znudziło się stać na barykadzie zamykającej dostęp do Katowic. Postanowił wybrać się „incognito” na piwo do restauracji znajdującej się już po niemieckiej stronie, przy placu Miarki. Spotkał tam swego kamrata, niejakiego Jana Muchę. Trochę pogadali, trochę popili... i postanowili na własną rękę zaatakować gniazdo niemieczyny — biuro Volksbundu przy ul. Młyńskiej.

Poszli więc we dwójkę do centrum miasta. Wkradli się na pierwsze piętro budynku, gdzie mieścił się Volksbund. Smółka wyciągnął pistolet, podał koledze granat, po czym kopnięciem wywalił drzwi rycząc „Hände hoch!” Przerażeni urzędnicy byli pewni, że miasto wpadło w ręce powstańców. Poddali się bez wahania. Smółka zażądał wydania akt („...ale ino tych najważniejszych” — zastrzegł sobie). Mucha zabrał papiery i już mieli odchodzić, gdy Smółka dostrzegł kasę. Tego nie mógł przepuścić — przecież w jego oddziale żołnierze chodzili obdarci i głodni... Spakował pieniądze do teczki, zakazał urzędnikom wychodzić z biura — i poszli z powrotem na barykadę.

Po drodze dopadł ich tłum zaalarmowanych Niemców. Smółka walił w powietrze z 10-strzałowego parabellum, Mucha groził granatem i tak jakoś zdołali się wyrwać z opresji. Dopiero kilkaset metrów od barykady dogoniła ich policja. Mucha wpadł w ręce „Apoków” i powędrował na długo do więzienia, ale Smółka zwiął. Z radości rozrzucił część skonfiskowanych pieniędzy między kolegów. Resztę — a było tego ponad 10 tysięcy marek — przeznaczono na urządzenie powstańczego warsztatu szewskiego i krawieckiego.

Za samowolną wycieczkę Smółka dostał 3 dni „ścisłego”. W kilkadziesiąt godzin później był już na froncie pod Górą św. Anny. Dostał w kolano odłamkiem szrapnela. Kość zaczęła gnicić i w roku 1925 amputowano mu nogę. Taką miał pamiątkę z powstania...

NA ODRE!

Porucznik Teodor Kulik, dowódca Grupy „Bogdan”, wodzi palcem po mapie, określa pozycje wyjściowe batalionów i znaczy trasy natarcia. Na tej naradzie dowódców oddziałów, nocą z 6 na 7 maja po raz pierwszy padły słowa: „Uderzamy na linię Odry”. Wszyscy obecni są przejęci i podnieceni. Od rzeki dzieli ich co prawda tylko 20 kilometrów, ale dostępu do niej bronią jednostki Selbstschutzu z groźnymi kompaniami oficerską i studencką. Siły wroga ocenia się na ok. 4 tys. żołnierzy. Grupa „Bogdan” mogła im przeciwstawić tylko 3,5 tys. źle uzbrojonych powstańców. Czy podołają?

Ofensywa powstańcza ruszyła wieczorem 7 maja. W milczeniu maszerowały bataliony: Tarnogórski, Mikulczycki, Prudnicki, Strzelecki. Na Zachód! Całą noc szli jak lawina miażdżąc opór Niemców brawurowymi atakami. Kiedy wzeszło słońce, ujrzeli przed sobą masyw Góry św. Anny. Stąd do Odry pozostało jeszcze tylko kilka kilometrów.

Przez dzień zbierali siły. Wieczorem znów rozwinęło się natarcie. Mimo zmęczenia bataliony zaczynają wyrwać się jeden przed drugim. Kto stanie pierwszy nad Odrą? O świcie walki toczą się już w nadodrzańskich miasteczkach — Gogolinie, Obrowcu, Krępnie, Zdzeszowicach. Niemieckie ckm-y dziesiątkują nacierających powstańców. Straty ocenia się na około 200 zabitych i co najmniej tyluż rannych. Dopiero wieczorem opór wroga zostaje przełamany. Selbstschutz salwują się ucieczką. Niektórzy wpływ — przez wodę. Kiedy na czworakach, bez broni gramolą się po błotnistym brzegu, wyglądają jak zmokłe, sponiewierane psy. Nienawidzą teraz tej rzeki z całej duszy...

Nocą nad Odrą długo niesie się zadziorna piosenka:

*„...Jak nóm zacznie wojskowa kapela
z Opola piyknie grać,
to wszyscy powstańcy będą w prostym rzędzie
na baczność z bronią stać”.*

Trzymali tę Odrę, swoją rzekę, dziesięć dni. W tym czasie powstańczym wodzom śniły się rozejmy, pertraktacje, linie demarkacyjne. A za rzeką zbierały się już siły generała von Hülsena, gotowe do miażdżącej kontrofensywy. 17 maja pada rozkaz wycofania się. Prudniczanie i strzelczanie są bliscy buntu. Być tak niedaleko od domu i wracać na poniewierkę, na tułaczkę? „Nie! Nie idymy samstąd!” — wołają.

A jednak odchodzą, bo taki jest rozkaz. Muszą odejść — może na zawsze. Niektórzy z nich płaczą i nie wstydzą się swych łez. Żegnają Odrę, rodziny, nadzieję powrotu do normalnego życia. W dzień po wycofaniu ostatniego oddziału, 21 maja o godzinie 4.00 nad ranem rusza niemiecka ofensywa. 22 maja Góra św. Anny jest już w niemieckich rękach. Pijani orgesze ryczą nad Odrą „Wacht am Rhein“...

„DZIOLCHY”

Można by napisać całą książkę o śląskich „dziolchach”. To nieprawda, że siedziały w domach i „oczka wypłakiwały”, podczas gdy ich Jasinkowie i Gustliki bojowali gdzieś pod Dobrodzieniem, Gogolinem i Lichynią. Wcale nie babskie serca były w tych dziewczynach. Jedne — jak Ogórkówna z Mikulczyc przebierały się w improwizowany mundur, porywały „flintę” i pchały się na front, aż trzeba je było siłą przepędzać na tyły, do odpowiedniejszej dla kobiet służby pomocniczej. Drugie — jak Aniela Wilnikówna z Paruszowca — czynnie przygotowywały powstanie, robiły granaty, agitowały... i tułały się po niemieckich więzieniach. Jeszcze inne służyły jako sanitariuszki, jako łączniczki, pracowały w wywiadzie nabierając niemieckich oficerów na gładką buzię i kokieterijny uśmiech.

Ładne były te „dziolchy”. Jedna z nich, Klara Laskówna z Żernicy osobistym urokiem wzięła w jasyr niemieckiego agenta nasłanego w roli

nauczyciela do żernickiej szkoły. Był to niejaki Jan Przybysz z okolic Strzelec, Polak, którego zbałamuciła niemiecka propaganda. Miał za zadanie paraliżować polską robotę w szkolnictwie śląskim. Nie zdążył jednak zabrać się do pełnienia swych mało zaszczytnych obowiązków, gdyż wpadła mu w oko urodziwa Klara. Zanim się obejrzał, był już w niewoli. Rozpoczął pracę w polskich organizacjach, pomagał w przygotowaniach do powstania, a gdy nadeszła „godzina X”, ruszył na front jako dowódca artylerii w baonie Konopki, wyróżniając się w walce odwagą i poświęceniem. Po powstaniu wziął dobrze zasłużony ślub z Klarą i wyemigrował z niemieckiej części Śląska. Dla takich jak on była tam tylko jedna kara — kula w łeb.

Siostra Klary, Elżbieta, pracowała jako nauczycielka w powiecie gliwickim. Zawsze nosiła z sobą torebkę pieprzu i soli, by sypać w oczy napastnikom, którzy lubowali się w napadach na polskie szkoły i bezbronne dzieci. I ona brała czynny udział w przygotowaniach do powstania. Wspecjalizowała się w handlu bronią z niemieckimi żołnierzami. To, czego nie załatwiłby mężczyzna, bez trudu udawało się niepozornej, 18-letniej dziewczynie.

Powstanie odsłużyła jako sanitariuszka. Nieraz oglądała śmierć i nieraz śmierć zaglądała jej w oczy. Orgesze nie dzielili powstańców na mężczyzn i kobiety, na żołnierzy i sanitariuszy.

Takie były one wszystkie. Odważne, świadome swoich obowiązków, pracowite. Szkoda byłaby wielka, gdyby zapomniano o śląskich dziewczętach i nie poświęcono im chociaż kilku linijek w pracownice przygotowywanych podręcznikach historii.

FAMILIJNE FOTOGRAFIE

W poszukiwaniu atmosfery owych powstańczych dni dobrze jest zajrzeć do starych, poźółkłych zdjęć przechowywanych przez powstańców jak najcenniejsze relikwie rodzinne. Na jednej z takich fotografii widać grupkę żołnierzy przy pancernym samochodzie „Korfanty” na tle zdobytego pałacu księcia Hohenlohe-Oehringen. To marynarze jednostki kapitana Roberta Oszka.

Osobliwa to była jednostka. Powstała z 67 zdemobilizowanych marynarzy i dezertarów z cesarskiej floty. Ponieważ na Śląsku morza, jak wiadomo, nie ma, przerzucili się na żeglugę po drogach pancernym wozem przerebionym z ciężarówki przez hutników „Baildonu”. Chałupnicza pancerka była uzbrojona w 5 ckm-ów (!) i dysponowała tak piekielną siłą ognia, że jej brawurowe rajdy przyprawiały Niemców o istny „Korfantysschreck” na wiele kilometrów dokoła.

Dobrze zasłużyli się Polsce ci marynarze. Cechowała ich absolutna pogarda śmierci; potrafili całymi dniami trwać w boju pod Górą św. Anny i wstrzymać szturm za szturmem rozjuszonych opórem Niemców. Jeden z tych zmotoryzowanych wilków morskich — ex-gaucha i cowboy, człowiek o bujnej i niejasnej przeszłości — mat Cyganek, przedzierał się z nożem w zębach przez linie wroga, by nawiązywać kontakty z powstańczymi oddziałami. Inni żołnierze oddziału Oszka szli do ataku wioząc ckm-y na specjalnie skonstruowanych... taczkach. Podobno wzorowali się na budiennowskich taczakach.

Gdy skończyło się powstanie, z 67-osobowego oddziału pozostało przy życiu 27 marynarzy.

Na dnie szaf wielu śląskich rodzin do dziś zachowały się liczne „fotografie rodzinne” wykonane w powstańczych oddziałach. Na pierwszy rzut oka wszystkie te zdjęcia wydają się takie same. W pierwszym rzędzie, pośrodku, siedzi dowódca. Wokół niego i za nim stoją wāsaci chłopcy z groźnymi minami prezentując starannie wyczyszczone „flinty”. To ojcowie rodzin, którym prawem starszeństwa przypadła najlepsza broń. Po bokach i w ostatnich rzędach wspinają się na palce gołowąsy, z wysiłkiem starając się nadać swym twarzom wyraz możliwie najgroźniejszy. Nie mają już karabinów. Niektórzy wznoszą ręce z ogromnymi pistoletami, inni trzymają obnażone szable w postawie „prezentuj broń!” I wreszcie gdzieś na skraju zdjęcia ulokowali się kilkunastoletni chłopcy używani do zadań pomocniczych. Wyglądają smarkato i wruszająco w swych potarganych portkach i z groźną „handgranatą” w ręce...

Osobnym przedmiotem studiów może być odzież, której właściciele, ignorując liczne dziury i łaty, starają się nadać wojskowy fason. A więc poniemieckie hełmy, pseudowojskowe czapki z daszkiem, „koalicyjki” i na koniec zabrane poległym Niemcom pasy ze starannie zatartym hasłem „Gott mit uns”. Buty wstydliwie schowane w trawie. Doprawdy, stanowczo nie nadawały się do pamiętkowych zdjęć.

POLNISCHE GREUeltATEN

Walka była bezpardonowa, na śmierć i życie. Niemcy najczęściej nie braли jeńców, zaś ci powstańcy, którzy żywcem wpadli w ich łapy, wędrowali do Chociebuża, gdzie znajdował się wcale udany prototyp późniejszych obozów koncentracyjnych. Pełne zsumowanie polskich strat w powstaniu jest niemożliwe. Wiadomo tylko, że w bitwach poległo z górą 1200 żołnierzy, zaś kilkuset odniosło ciężkie rany. Ile osób zginęło z ręki bojówek, w więzieniach, aresztach, pod murem? Kilkaset? Kilka tysięcy? Nie wiadomo...

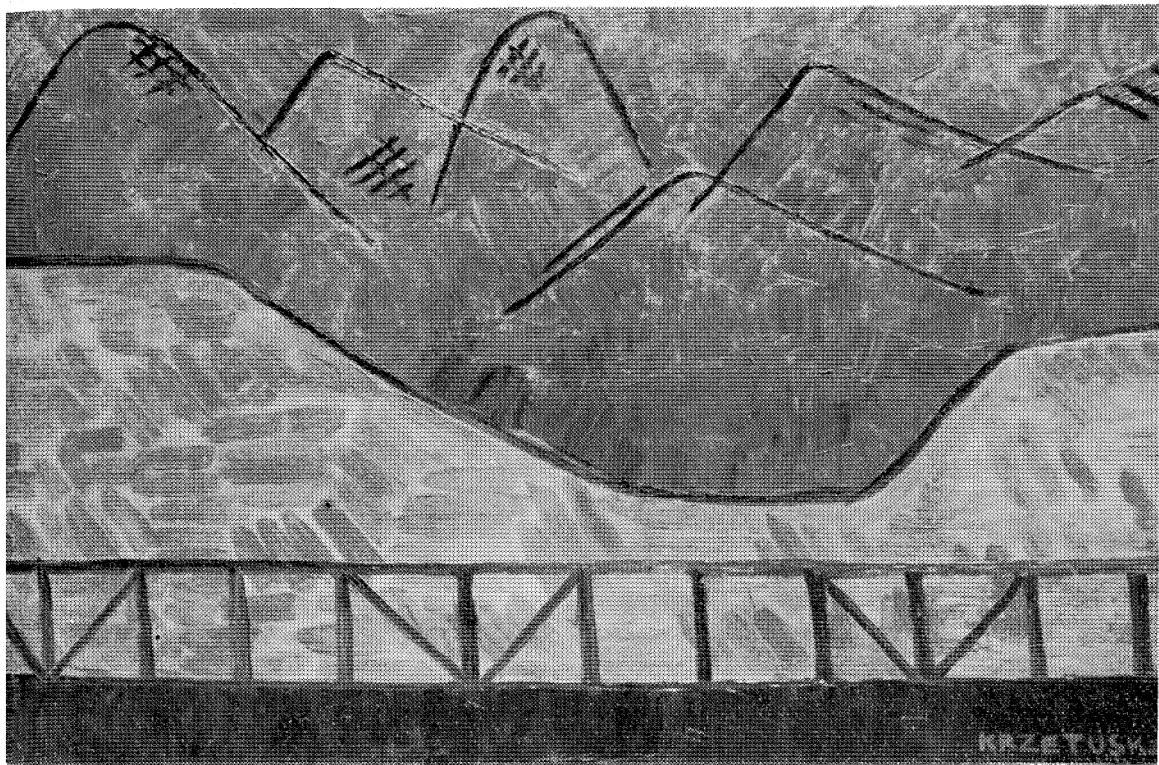
Od czasu do czasu z za niemieckiego kordonu przedostawały się wieści o bestialskich mordach dokonywanych na polskich chłopach, na kobietach, a nawet dzieciach. Żywcem przybici do parkanu, okaleczeni, oślepieni. To były wówczas wydarzenia powszednie. Nikomu nie przychodziło do głowy prowadzić dokładnego rejestru zbrodni, a po prawdzie nie było na to nawet czasu ani możliwości.

Za to Niemcy skrzętnie wykorzystywali każdą okazję, by pożalić się przed światem na „polnische Greueltaten”. Ich metody były zgoła niewybredne. W kilka miesięcy po powstaniu „Hamburger Illustrierte Zeitung” zamieściła zdjęcia przedstawiające pomordowanych cywilów — w tym kobiety i dzieci — przytaczając to jako przykład zdziczenia powstańców. Kiwano nad zdjęciami głową, dziwowano się polskiemu barbarzyństwu. O tym, że fotografie wykonane zostały w Strzebniewie, gdzie Selbstschutz nocą 10 maja 1921 roku dokonał niesamowitej rzezi ludności polskiej, wiedziała tylko redakcja i niemieccy propagandyści. Umarli nie protestowali.

Koniec powstania stanowił zarazem początek planowej, zorganizowanej zemsty władz i bojówek na ludności polskiej, która miała odwagę zostać po niemieckiej stronie granicy. Przede wszystkim porachowano się z rodzinami powstańców, którzy, rzecz jasna, nie kwapili się z powrotem do domu. Tysiące osób zmuszono do emigracji, zrujnowano materialnie. Opornych częstowano kijem, kastetem, podkutym buciorem.

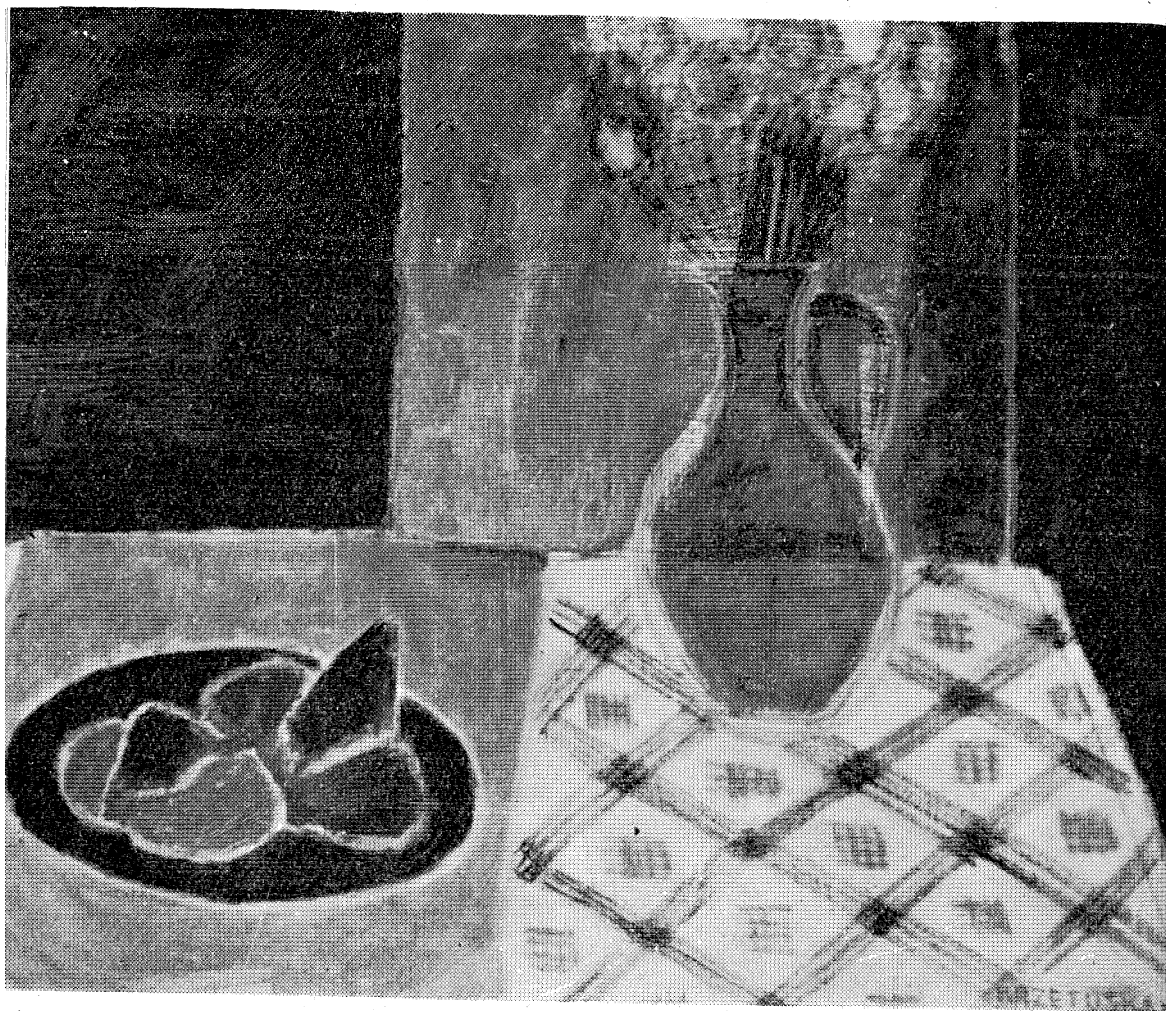
Druga fala zemsty nastąpiła w latach okupacji. We wrześniowych walkach, w więzieniach, obozach koncentracyjnych zginęło łącznie około 30 tysięcy byłych powstańców, a więc połowa armii, która w lipcu 1921 schodziła z placu boju oszukana — ale niepokonana.

Jacek Maziarski



Hanna Krzetuska

Widok z mostu (1960 r.)



Hanna Krzetuska

Martwa natura (1961 r.)

Wiele podróżowałem w ostatnich latach. Widziałem dużo przedstawień w różnych teatrach: dobrych, bardzo dobrych, znakomitych. A jednak nie widziałem nigdzie tego, co urzekło mnie w spektaklach dwóch scen demokratycznego Berlina: prawdziwego nowatorstwa.

Cóż to jest nowatorstwo we współczesnym teatrze? Zadawałem sobie to pytanie nieraz, doznając różnorodnych wrażeń, bądź na przedstawieniach zaskakujących swą oryginalną formą, a przecież pustych i przemijających, bądź na spektaklach mądrych, sensownych, a przecież szarych, monotonnych lub staroświeckich. I oto w teatrze Brechta i w teatrze Felsensteina znalazłem na to pytanie odpowiedź. Wydaje się ona zupełnie łatwa, prosta i oczywista. A jednak w praktyce jest właśnie najtrudniejsza.

Świat zmienia się dziś z szybkością rakiet międzyplanetarnych, pojazdów kosmicznych i sputników. Gołym okiem dojrzeć dziś można prawidła dialektycznego materializmu, które w spokojnym wieku XIX odkrywali z dalekowzrocznością i przenikliwością nowatorów klasycy marksizmu. Współczesna myśl i filozofia świata kapitalistycznego nie potrafi właściwie przeciwstawić naszemu pogładowi na świat niczego konkretnego i zdolna jest jedynie do głoszenia całkowitej kapitulacji człowieka, formułując ją w postaci filozofii egzystencjalizmu czy też małej, praktycznej, egoistycznej postawy moralnej neopozytywizmu, pragmatyzmu, bądź innych podobnych kierunków, wyznających zasadę sformułowaną kiedyś prymitywnie w ludowym powiedzonku „moja chata z kraja”.

A jednak do świadomości naszego społeczeństwa w zbyt słabym stopniu przenika przekonanie o przewadze naszej myśli filozoficznej nad filozofią i etyką świata kapitalistycznego. A jednak o naszej filozofii wie się u nas znacznie mniej, niż o naszej polityce, o naszym programie gospodarczym, społecznym, czy kulturalnym. Z uznaniem powitać należy wysiłki prof. Adama Schaffa, który od czasu do czasu pisze na łamach czasopism literackich i kulturalnych w przystępny sposób o problemach filozoficznych. Ale to nie wystarczy. Zapewne, wiele może tu zdziałać popularyzacja książek zawierających jasny wykład naukowego poglądu na świat, dyskusje, odczyty itp. Nie wolno nam jednak zapominać, że jedną z najsukcesyjniejszych form upowszechnienia naszej filozofii jest literatura i sztuka, a w szczególności teatr.

Scena jest trybuną, z której głosić można nie tylko poglądy polityczne, lecz

BRECHT i FELSENSTEIN czyli prawdziwe nowatorstwo

ROMAN SZYDŁOWSKI

również filozoficzne, jest wielką szkołą narodowego wychowania, o czym wiedział już Wojciech Bogusławski. Teatr polski był zawsze teatrem politycznym i najlepsze jego dzieła rodziły się z myślą o formowaniu opinii społecznej, budzeniu narodu, kierowaniu myśli i uczuć w zamierzoną przez twórców stronę. Tak wyobrażał sobie polski teatr przyszłości Adam Mickiewicz, z myślą o tym pisał swe dramaty Wyspiański i Żeromski, tej sprawie poświęcił trud swego życia Leon Schiller.

Gdzież tu więc nowatorstwo? Jakże mówić tu o nim, skoro tak dawne są tradycje tego nurtu? A jednak to jest nowatorstwo. W dzisiejszym teatrze, obciążonym wieloma dziesięcioleciami burżuazyjnych wpływów, tylko odważny nowator mógł uczynić ze sceny trybunę nowej myśli. W dzisiejszym teatrze, w którym pokutują wciąż jeszcze błędne koncepcje o rozbieżności sztuki i polityki, których jakoby pogodziły ze sobą i złączyć nie można, w dzisiejszym teatrze, w którym nawet twórcy zaangażowani po lewej stronie barykady częstokroć odgraniczają swe poglądy polityczne od artystycznych — trzeba było prawdziwego nowatorstwa, aby zrealizować w praktyce jedność polityki i sztuki, jedność filozofii i rozrywki, wychowania i zaba-

wy, stworzyć teatr awangardowy zarówno w swej treści, jak i w formie.

Podziwiałem nieraz znakomitą technikę zachodnich dramaturgów i reżyserów, ich pomysły, tricki, umiejętność tworzenia sztuk i przedstawień coraz bardziej zaskakujących swą nową formą, oryginalnych, odpowiadających tempu i nerwowemu rytmowi naszego życia, skojarzonom i sposobowi myślenia człowieka drugiej połowy XX wieku. Ionesco, Beckett, Dürrenmatt, Frisch, paryska awangarda i szwajcarski ekspresjonizm wniosły na pewno wiele nowego do skarbcza światowej kultury teatralnej. A jednak często brakło mi w tych sztukach i przedstawieniach esencji, myśli, „mięsa”. Bawiłem się doskonale w czasie spektaklu, słuchałem zafascynowany tekstu sztuki, a kiedy wychodziłem z teatru, niewiele mi po niej pozostawało w pamięci. Zachwycałem się także nieraz kunsztem reżyserów i aktorów radzieckich; podziwiałem wspaniale przedstawienia MCHAT-tu, jego wzorowe inscenizacje sztuk Czechowa czy „Martwych dusz” Gogola, cudowną grę artystów tej sceny czy też mistrzów Teatru Małego, inscenizacje wachtangowców, Ochłopkowa, teatrów leningradzkich. A jednak często wydawało mi się, że mądra humanistyczna treść prezentowanych sztuk nie dociera w pełni do świadomości widza, nie draży jej z taką siłą, jakiej teatr wymaga, gdyż forma tych sztuk i przedstawień jest ograna, obciążona powtarzaniem starych XIX-wiecznych wzorów. To, co było niegdyś odkryciem, rewelacją, stało się po kilkudziesięcioleciach kalkonią.

Nie istnieje nowatorstwo treści, pozbawione nowej formy, tak jak pozornym tylko nowatorstwem jest poszukiwanie nowych form, za którymi kryje się stara treść, lub – co gorsza – nie ma w ogóle żadnej treści, jest pustka, zręcznie tylko zamaskowana i przystrojona.

Właśnie dlatego zachwycała mnie tak bardzo dramaturgia i teatr Brechta. Ten wielki pisarz i reżyser podjął trud jedyny w swoim rodzaju. Zaprzagnął mianowicie stworzyć dramaturgię i teatr epoki naukowej, oprzeć swe sztuki i swe przedstawienia na założeniach filozoficznych dialektycznego materializmu, przyczynić się do pośrednictwem swych dzieł i inscenizacji do wychowania swego widza w duchu marksizmu. Zaprzagnął zmuścić go w swym teatrze do myślenia i wdrożyć go do przyjęcia naszego sposobu myślenia. Jak dążył do realizacji swego celu? Jak zbliżał się do owego ideału, który określił pod koniec życia mianem teatru dialektycznego?

Przede wszystkim postanowił pisać sztuki inaczej, niż czyniono to dotąd. Zerwał z regułami dramatu mieszczańskiego, postanowił zrezygnować ze złudzeń, iluzji, chciał aby ludzie wiedzieli, że są w teatrze i pamiętali o tym przez cały czas przedstawienia. Stąd jego koncepcja dramatu epickiego, opowiadającego, stąd też jego praktyka teatru, który pokazuje swój warsztat, swoją kuchnię, niczego nie ukrywając i czego się nie wstydząc. Znikła tu tzw. „czwarta ściana”, którą w teatrze mieszczańskim aktorzy mieli odgradzać się od widzów, udając, że ich nie dostrzegają. Przeciwnie: Brecht odwrócił aktorów twarzą do publiczności, wprowadził do swoich sztuk piosenki, songi, które przerywają bieg akcji i stanowią zupełnie odrębną i samoistną część dramatu. Kazał je śpiewać aktorom na awanscenie, wprost do widzów.

Te „nowinki” nie były jednak igraszką poszukiwacza nowych form. Wynikały one z celu, jaki Brecht sobie postawił i zostały dla jego realizacji wykorzystane. Chodziło o to, aby zmusić widzów do czynnej postawy, aby nauczyć ich krytycznego stosunku do tego, co dzieje się na scenie, aby odebrać przedstawieniom ich magiczny charakter objawienia i skłonić publiczność do myślenia w czasie całego przebiegu akcji.

Brecht kazał widzom zastanawiać się nad tym, co się na scenie dzieje, o czym się tam mówi, co i jak produkują aktorzy, co chciał powiedzieć autor. W tym celu używał swoich efektów obcości (czy osobliwości, jak je niektórzy po polsku nazywają), przerywał tok akcji piosenkami, koncentrował uwagę widzów na sprawach pozornie błażych lub zaskakiwał ich czymś zupełnie nieoczekiwanym. Aktorom zabraniał magicznych sztuczek i hipnotycznego oddziaływania na widzów, pragnął aby apelowali przede wszystkim do ich mózgów, do ich rozumów, a dopiero tą drogą – do ich serc.

To wszystko były jednak tylko metody, sposoby, które służyć miały najważniejszemu celowi: przekazaniu nowej treści współczesnego dramatu i teatru. Skoro Brecht był wyznawcą i zwolennikiem filozofii dialektycznego materializmu, zaprzagnął, aby ten sposób pojmowania zdarzeń i świata znalazł swój wyraz na scenie. Zaczął analizować dawną dramaturgię i dawny teatr. Dostrzegł wnet, że dramaturgia antyczna traktowała świat jako zjawisko niezmiennie i odwiecznie, przeciwstawiając mu równie niezmiennych ludzi, ich uczucia i namiętności. Z konfliktu między niezmiennymi ludźmi i ich namiętnościami, a niezmiennym światem i jego pra-

wami rodziły się greckie tragedie. Dramat mieszczański wprowadził do tego schematu pewną zmianę. Oto ludzie i ich psychika ulegali w tych sztukach pewnym przeobrażeniom, natomiast otaczający ich świat pozostawał niezmienny. Nic dziwnego, skoro jednym z filarów mieszczańskiej filozofii sprzed okresu rozkładu burżuazyjnego świata było głębokie przeświadczenie o wiecznotrwałości tego najlepszego (zdaniem klas panujących) ustroju, na jaki zdobyła się ludzkość.

Konflikty tego dramatu rodziły się więc ze starcia zmiennych ludzi z niezmiennym światem, jaki ich otaczał. Bohaterowie tego dramatu łamali się, przeżywali swe tragedie, niszczyli siebie i swych bliźnich, bywali nawet szczęśliwi. Nie potrafili tylko jednego: zmienić cokolwiek w świecie, w którym żyli. Dramat mieszczański szukał winy za zło społeczne w człowieku, jego błędach i jego grzechach. Nie ośmielił się zaatakować porządku społecznego, w jakim ten człowiek żył. Ta część rzeczywistości była dla niego nietykalna, była „tabu”. Skoro zaś nie trzeba było pokazywać na scenie żadnych zmian w świecie otaczającym człowieka, najbardziej przydatna okazała się forma przedstawień, w których wszystkie sprawy sztuki rozgrywały się w niezmiennym, ciasnym wnętrzu jednego czy dwóch pokoi.

To nie mogło oczywiście wystarczyć Brechtowi. Rozumiał, że istotą filozofii dialektycznego materializmu jest dostrzeżenie świata w ruchu, w stałym rozwoju, obserwacja ścierania się przeciwieństw, mechanizmu przyspieszającego i warunkującego przemiany. Zapragnął pokazać to wszystko na scenie, pisać i wystawiać sztuki, które będą w jakimś wielkim skrócie odpowiadały procesom zachodzącym w życiu i w świecie. Skoro sztuka ma odzwierciedlać życie, niechże nie odzwierciedla tylko jego powierzchni, jego zewnętrznej warstwy, lecz niech ujawni mechanikę dialektycznego procesu, niech pomoże zrozumieć prawa rządzące rozwojem świata. Zapragnął więc pokazać na scenie zmienny świat i zmiennych ludzi, ich wzajemne oddziaływanie i współzależność. Zamierzył budować konflikty między ludźmi, którzy się zmieniają, i światem ulegającym przeobrażeniom, pokazać więc między tymi dwoma elementami współczesnego życia. Do tego celu nie nadawali się formy dawnego dramatu ani formy dawnego teatru. Zaczął więc szukać nowych form, aby lepiej wyrazić nową treść, aby ludziom jaśniej wytłumaczyć prawa rządzące rozwojem świata. Treść jego sztuk określa ich for-

mę. I dlatego właśnie uważam Brechta za prawdziwego nowatora.

Jego sztuki są po największej części kronikami. Obejmują wielką przestrzeń czasu i pokazują, jak zmieniał się świat, jak wpływał na ludzi, jak oni z kolei się przeobrażali, by oddziaływać na świat. W „Kaukaskim kole kredytowym” chłopka Grusza jest kimś zupełnie innym na początku i na końcu sztuki. Ale jej rozwój rozumiały staję się tylko na tle zdarzeń rozgrywających się w ówczesnym świecie. Jest wojna, ludzie cierpią, Grusza wraz z nimi. W trudnych sytuacjach życiowych wystawiony na próbę wyboru i decyzji kształtuje się i krystalizuje jej charakter. Jeszcze w „Operze za 3 grosze” wyjaśniał Brecht, że człowiek nie jest zły czy dobry z natury, ale że o jego charakterze, psychice, czynach decydują przede wszystkim warunki, w jakich przyszło mu żyć. Temat ten rozwinie też później szeroko w „Dobrym człowieku z Seczuanu”.

Brecht był realistą. Widział świat zawsze konkretnie i nie nosił mętności, mglistości czy abstrakcji. Nie lubił też gubić się w szczegółach, szukał zawsze głębszej treści pod powłoką zewnętrzności. I dlatego był zasadniczym przeciwnikiem naturalizmu. Jeśli wprowadzał na wielką i pustą scenę swojego teatru jakieś przedmioty czy rekwizyty, to musiały one mieć zawsze jakiś cel, jakąś funkcję. Nie szukał nigdy wymyślnych form dla samej przyjemności tworzenia nowego kształtu widowisk. Zawsze dążył do znalezienia formy, która by wyrażała najprościej i najlepiej treść. Jedność celu i środków jego realizacji była istotą jego nowatorstwa.

Był też politykiem i chciał pisać sztuki polityczne. Pasjonowała go polityka. Ale szybko zrozumiał, że skuteczność i siła oddziaływania publicystyki jest mniejsza, bardziej krótkotrwała od siły oddziaływania poezji, literatury, prawdziwej sztuki. Istnieje w jego twórczości bardzo ciekawy przykład dwukrotnego opracowania tego samego tematu. O III Rzeszy i hitleryzmie napisał dwie sztuki: „Strach i nęczę III Rzeszy” i „Nie powstrzymana kariera Artura Ui”. Pierwsza powstała wcześniej i jest udrumatyzowanym reportażem z hitlerowskich Niemiec — cyklem obrazów opartych na autentycznych zdarzeniach. Brecht czerpał fakty z opowiadań emigrantów i lektury prasy niemieckiej i zagranicznej. Zdarzenia i postacie są tu oczywiście także komponowane w sposób artystyczny, Brecht operuje skrótem, zagęszczeniem, efektami osobliwości itp. Mówi jednak o zdarzeniach wprost, nie przepuszcza ich

przez filtr swej wyobraźni i poezji. „Kariera Artura Ui” napisana jest później i napisana inaczej. Zdarzenia zaczerpnięte są tu także z autentycznej historii i każda scena ma swój odpowiednik w kronice życia politycznego III Rzeszy. Ale tym razem Brecht nie mówi o zdarzeniach wprost, lecz ubiera je w szaty opowieści o bandzie gangsterów, na których czele stoi Arturo Ui. Oczywiście Ui to Hitler, Giri — Goering, Givola — Goebels, Roma — Roehm itd. A jednak efekt jest zupełnie inny. Zarówno dzięki temu zabiegowi, jak i dzięki formie literackiej dzieła, napisanego białym wierszem, nieregularnymi jambami — sztuka nabiera głębszego ogólniejszego sensu i choć jest bardzo konkretna, interesuje chyba bardziej widzów w tym oryginalnym kształcie, niż gdyby po scenie chodziły ożywione i sportretowane postacie władców hitlerowskiego Olimpu. Długo szukał Brecht odpowiedniej formy dla stworzenia dzieła dostatecznie wyrazistego, dostatecznie oryginalnego, aby mogło ukazać istotę i odrażające oblicze hitleryzmu, aby mogło udźwignąć całą trudność przedstawienia na scenie historii dojścia do władzy Hitlera. Kiedy ją znalazł, powstał utwór niezapomniany, nowy zarówno w swej konstrukcji oraz formie, jak i w sposobie przekazywania treści. Tak wyobrażam sobie prawdziwe nowatorstwo i dlatego tak wysoko cenię dramaturgię i teatr Brechta.

★

W Berlinie działa jeszcze drugi teatr, który stał się europejską rewelacją. To Opera Komiczna Felsensteina. Nie jestem krytykiem muzycznym, więc nie mam dość kompetencji, aby ocenić w pełni muzyczne walory tego teatru. Powszechna opinia stawia je niezwykle wysoko. Mnie zafrapowało w tym teatrze coś innego: ogromny nacisk położony na teatralną formę przedstawień. Opera spotyka się dziś często z zarzutem, że stała się przestarzałym gatunkiem sztuki, jest tylko koncertem w kostiumach i na scenie, kosztuje coraz bardziej, popadając w szablon i sztampę. Zapewne zarzuty te kieruje się chyba słusznie pod adresem wielu złych oper. Nic z tego nie można jednak powiedzieć o Operze Komicznej Felsensteina.

Felsenstein stworzył w Berlinie teatr muzyczny. Próbował kiedyś realizować taką myśl Mamontow w swej prywatnej operze w Moskwie. Marzył o takiej operze Szaliapin i po dziesięć dni wspominają miłośnicy wielkiej sztuki tego śpiewaka, że największe triumfy zdobywał nie tylko wspaniałym głosem, lecz także, a czasem przede wszystkim, swym znako-

mitym aktorstwem. Szaliapin mawiał, że w operze należy tak śpiewać, jakby się mówiło, i zjadliwie wyśmiewał aktorów, którzy w teatrze dramatycznym tak mówią, jakby śpiewali. Wielki śpiewak rosyjski studiował każdą rolę nie tylko od strony muzycznej, lecz starał się zrozumieć jak najlepiej jej sens dramatyczny, powiązania z innymi postaciami, tło, epokę historyczną, realia itd. Radził się nieraz wybitnych uczonych, znawców epoki, czytał, studiował, przygotowywał się do roli, jak dobry aktor dramatyczny.

Felsenstein robi dziś to właśnie w swojej Operze Komicznej. Jego spektakle nie pozwalają nigdy odczuć sztuczności „operowego stylu”. Jego śpiewacy nigdy nie stają upozowani, aby z patetycznym gestem śpiewać arie, zachwycając się własnym głosem, lekceważąc cały bieg akcji i wszystkie postacie opery. U Felsensteina każdy takt muzyki wypełnia akcja, żywa treść, każda aria wynika z logiki działania.

Widziałem w Felsensteina operę „Car i cieśla” Lortzinga. Było to urzekające przedstawienie, skonstruowane w oparciu o stare malarstwo holenderskie. Widziałem „Traviatę” i nie mogłem wyjść z podziwu nad tym, ile można jeszcze nowego stworzyć z tej tak ograniczonej opery. Felsenstein inscenizował ją w romantycznym stylu, jakby chciał przybliżyć widzów do epoki, w jakiej się akcja opery rozgrywa. Znakomita scenografia, olśniewające tempo i nade wszystko ożywienie chóru i baletu, które nigdy nie są na scenie czymś obcym, wprowadzonym z zewnątrz, lecz należą do akcji, biorą w niej udział jak wszyscy śpiewacy — to ogromne odkrycia Felsensteina, w których mu żaden reżyser operowy dotychczas nie dorównał. Widziałem też „Opowieści Hoffmana”, urocze, barwne, feeryczne widowisko, i widziałem operę zmarłego przed kilkoma laty amerykańskiego kompozytora czeskiego pochodzenia, Roberta Kurka, o Szwejku. Tu granice między teatrem muzycznym i dramatycznym prawie całkowicie się zacieły, pokrewieństwa między Felsensteinem i Brechtem rzucały się wprost w oczy i właściwie nie zdziwiłbym się, gdybym taki spektakl zobaczył na scenie teatru Berliner Ensemble. Brecht przywiązywał dużą wagę do muzyki w teatrze, wprowadzał songi, orkiestrę itp. Felsenstein przyjął Brechtowską metodę analizy sztuki, jego założenia ideowo-artystyczne, udratyzował muzykę i gdzieś w środku drogi spotkali się ci dwaj wielcy reformatorzy teatru.

Są w „Szwejku” dwie sceny, które szczególnie przypominają mi teatralne pomysły inscenizacyjne Brechta. Jedna rozgrywa się na policji, dokąd sprowadzają aresztowanego Szwejka. Przy biurkach siedzą zupełnie podobni do siebie, łysi urzędnicy i miarowym ruchem przybijają pieczątki. Przed ich biurkami defilują, jak na biegnącej taśmie, aresztowani. Całość robi wrażenie koszmarnego snu, jest symbolem bezdusznej i bezlitosnej maszyny, a człowiek, który się dostanie w jej tryby — jest stracony. Scena ma coś z Kafki, ale jeszcze więcej z Brechta. Świetne są też sceny w pędzącym pociągu i w szpitalu wariatów.

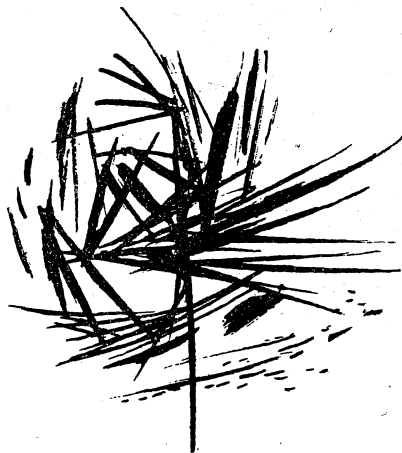
Podobnie jak Brecht, wychodzi Felsenstein zawsze od analizy treści. Zarówno literackiej, jak i muzycznej. Forma jest dla niego czymś bardzo ważnym i wcale nie wtórnym (to zaleta nowatorów). Ale nie jest nigdy jedynym celem lub celem samym w sobie. Brecht i Felsenstein dobrze poznali najnowsze zdobycze współczesnego teatru, to wszystko, czym czarują widzów autorzy i reżyserzy francuscy, angielscy i amerykańscy. Ale poznali też założenia ideowe, filozoficzne i estetyczne dialektycznego materializmu i docenili ich zapładniający, ożywczy wpływ na sztukę. I dlatego mogli stać się nowatorami teatru.

Na skrzyżowaniu dwóch światów, w demokratycznym Berlinie, tam, gdzie

przenikają się różne wpływy i różne prądy, powstał teatr, który wywiera już ogromny wpływ na rozwój sceny światowej. Nikt, kto pragnie posuwać dziś naprzód tę dziedzinę sztuki, nie może ominąć tego, czego dokonali w swych teatrach Brecht i Felsenstein. Zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie mają ich próby i eksperymenty ogromne znaczenie. A nam są one tym bliższe, że nie tylko w swej formie i wartości artystycznej, ale i w swej treści ideowej wynikają z założeń, które w pełni podziela-
my.

W obozie socjalistycznym rodzi się nowa myśl dramatyczna, rodzi się nowy teatr. Nie każdy ze współczesnych dostrzega jednak, gdzie jest kraj, w którym dokonuje się ten proces. Czas już, abyśmy wszyscy zdali sobie sprawę, że nowe słowo w dziedzinie teatru zostało wypowiedziane właśnie u naszych zachodnich sąsiadów, w stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Byłoby z naszej strony ślepotą dłużej nie dostrzegać tego zjawiska. I czas już najwyższy, abyśmy zaczęli regularnie wysyłać naszych stypendystów teatralnych nie tyle do Paryża, Londynu czy Włoch, ale właśnie do Berlina, gdzie mogą się najlepiej nauczyć.

Roman Szydlowski





Fot. Piotr Mierzwiński

NIEBEZPIECZNA SZKOŁA



**ANDRZEJ
KOWALSKI**

Film „Mein Kampf”, który wszedł ostatecznie na ekrany naszych kin, stanowi wstrząsający dokument zbrodni faszyzmu, dokument, którego partie wydają nam się w swym okrucieństwie po prostu nieprawdopodobne. Można zapytać, jak w Niemczech, w państwie o świetnie zorganizowanym aparacie sprawiedliwości, o olbrzymiej ilości prawników pracujących w administracji państwowej -- było możliwe tak barbarzyńskie bezprawie.

Jednocześnie zaś nasuwa się pytanie, jakie stanowisko zajmuje prawnik w Niemieckiej Republice Federalnej, w której przecież pracuje dzisiaj jeszcze wielka ilość hitlerowskich „stróżów sprawiedliwości”. Odpowiedź nie jest pocieszająca. Panowie noszący niegdyś trupią czapkę czy też swastykę nie zmienili zasadniczo swych poglądów. Co gorsza -- i młoda generacja prawników, która kończyła uczelnie już po wojnie, jest w sposobie myślenia uderzająco podobna do swych starszych mistrzów.

W czasie mego pobytu w NRF miałem niejednokrotnie sposobność zetknięcia się z zachodnioniemieckimi prawnikami i to przeważnie ludźmi młodymi. Ich cechą wspólną jest -- jak się wydaje -- absolutne podporządkowanie się w życiu konwencji. Pytania: „Co na to powiedzą ludzie?”, „Czy to wypada?”, „Jak przyjmą to przełożeni?” -- ciągną w sposób zasadniczy na ich postępowaniu. Pytania te zresztą już od dawna formowały niemieckiego prawnika wychowanego w wiernopoddaniczej

dyscyplinie określającej typ pruskiego urzędnika państwowego.

Pełne uwielbienia wpatwienie się w przełożonych prowadzi w konsekwencji do tego, iż młodzi prawnicy NRF, w wyniku naśladowczego upodabniania się do swych mistrzów, sprawiają wrażenie „młodych starców”. Jest to niewątpliwie zjawisko niezdrowe i w swych następstwach niebezpieczne. Łączy się ono przecież z równoczesnym zapatrzaniem się w ponurą przeszłość, z daleko idącym wyeliminowaniem własnego zdania i samodzielnego sądu.

Chcąc wyjaśnić genezę tego zjawiska, należy przypatrzeć się nieco uważniej studiom prawa w Niemieckiej Republice Federalnej.

Młody maturzysta pragnący zapisać się na studia uniwersyteckie musi najpierw odbyć co najmniej jednoroczną służbę w Bundeswehrze, w czasie której wpaja mu się znana w świecie „żelazną dyscyplinę niemiecką”. Pod tym względem, jak wiadomo, zmieniło się w NRF niewiele. Świadczą o tym dobitnie nieszczęśliwe wypadki -- następstwa ślepego wykonywania rozkazu. Wystarczy tutaj przypomnieć chociażby śmiertelny skok dwóch strzelców alpejskich w przepaść na rozkaz przełożonego, czy też nakazany przez podoficera pamiętny przemarsz przez głęboką rzekę oddziału Bundeswehry w pełnym rynsztunku w dniu ślubu ministra Straussa. Rozkaz został wykonany -- żołnierze utonęli.

Po przejściu wyszkolenia w Bundeswehrze maturzysta może wstąpić na uniwersytet. Jeżeli myśli o karierze urzęd-

nika państwowego, wybiera na ogół studia prawnicze. Przez okres pierwszych dwóch lat nie wychowuje go jednak uczelnia, lecz korporacja, którą obrał bądź to kierując się tradycją rodzinną, bądź też pod wpływem kolegów. Ogromna większość studentów prawa w NRF należy dzisiaj do korporacji, które liczą tam znów ponad 50.000 aktywnych członków. Członkowie korporacji tworzą pewnego rodzaju kastę popierając się wzajemnie i torując sobie drogę do stanowisk.

Najpierw młodzian jest tzw. lisem — musi więc wykonywać wszelkie polecenia starszych kolegów, przynosić piwo, gasić lampy uliczne itp. Stawszy się już doskonałym sługusem może wreszcie opuścić szereg lisów i teraz sam wydaje mniej lub bardziej absurdalne rozkazy młodym korporantom, nie zaniebując oczywiście obowiązkowych częstych, o ile nie codziennych, piątków w piwiarni, w czasie których rozbrzmiewa znów „Deutschland, Deutschland über alles...”

W czasie komersów, na których również bywają „starzy panowie”, seniorzy korporacji, zajmujący często wysokie stanowiska w aparacie sprawiedliwości czy służbie państwowej (81 posłów do Bundestagu to korporanci) — omawia się dalsze losy „aktywnego” członka i obiecuje protekcję. Po dwu- czy trzyletniej intensywnej działalności korporanckiej przyzwyczajają się młody człowiek nie tylko do ślepego posłuszeństwa, ale i do wydawania poleceń, które bez względu na ich sens muszą być wykonane. Nie pogłębiwszy swej wiedzy ani wykształcenia ogólnego (korporacja bardzo absorbuje a na wykłady i ćwiczenia nie trzeba uczęszczać) przechodzi korporant w „stan spoczynku”, by przygotować się do egzaminów prawniczych.

Teraz zapisuje się do korepetytora, który za odpowiednią opłatą zapoznaje studentów z pytaniami stawianymi przez profesorów. Rola korepetytora jest dla

studentów prawa w NRF ważniejsza aniżeli rola profesora, z którym mają oni tylko minimalny kontakt. Tak przygotowany student, a jest to przecież sposób prawie średniowieczny, staje — jeżeli ma dobrą pamięć — pewny siebie do egzaminów. Następnie odbywa trzy- i półroczną praktykę, przeważnie w instytucji, w której pracuje jego przyjaciel, senior z korporacji, i wreszcie może myśleć o objęciu posady w służbie państwowej. Zdaje teraz jeszcze jeden egzamin, w którym ocenia się również jego walory moralne. Jeżeli okazał się w czasie referendatury posłuszny, nie naraził się swym przełożonym — wszystko przebiega pomyślnie.

Tak więc około trzydziestoletni Herr Doktor, pewnie operujący paragrafami, ale silnie „odczłowieczony”, oddalony od prawdziwego humanizmu, zaczyna swą działalność w służbie państwowej. A służba państwowa to w Niemczech zachodnich marzenie wielu ludzi. To stosunkowo wysokie uposażenie, spokojna starość, no i niemały zaszczyt.

Zresztą prawnicy odgrywają w NRF rolę szczególnie ważną. Opanowali oni cały aparat administracyjny, ministerstwa i urzędy, nadają w pewnym stopniu ton całemu państwu. Kiedy zapytałem, dlaczego kierownik działu kulturalnego w jednym z ministerstw jest prawnikiem a nie fachowcem, wyjaśniono mi, iż tylko prawnik daje gwarancję, że aparat państwowy będzie dobrze działał.

Taki cierpiący na martwicę formalizm, w którym nie treść, lecz forma jest ważna, przeraża nas w konfrontacji z niedawną przeszłością. Stawiamy sobie bowiem pytanie, czy przy pojawieniu się w NRF nowego dyktatora, czego chociażby teoretycznie nie można wykluczyć, aparat państwowy nie będzie równie sprawnie i formalistycznie, ale i równie niehumanistycznie działał jak za czasów III Rzeszy.

Andrzej Kowalski



W Y W I A D Z M I A S T E M

ROMAN KARPIŃSKI

I jakże w końcu wygląda prawdziwa twarz miasta? Tego nie największego, dwudziestotysięcznego miasta, spływającego kapryśnie powyginanymi falami dachów wzdłuż zbrocza, którego szczytem jest twierdza. Co w tej twarzy jest prawdą, a co tylko grymasem?

Relacje z Polski powiatowej są w ogóle dość względne, subiektywne, lecz można w nich prześledzić dwa odrębne style, różnice, które odnoszą się przede wszystkim do czasu, w jakim te relacje powstały. Lat temu dwa-trzy delegacja służbowa do Polski powiatowej wypełniana była na ogół czarnym atramentem, zaś wrażenia zawierały niemało smutnych obserwacji mówiących o zastojach, a może nawet nie tyle o zastojach, ile o ludziach, którzy nie potrafią — uwikłani w drobne święte wojny i prowincjonalne krucjaty — ogarnąć szerszych horyzontów, wyzwolić się od drobnych zawiści, odnaleźć w sobie i innych zapалу i inicjatywy. Od paru lat owe relacje zmieniły radykalnie swój charakter. Czyta się je niemal jak dokumenty, jak załączniki do planów gospodarczych, niby ubrane w literacką szatę sprawozdania Głównego Urzędu Statystycznego. I jeśli nie dotyczą ośrodków, w których inicjatywa i rozmach stanowią istotnie oś wszystkich poczynań i dają się sprawdzić na każdym kroku — wówczas czytelnik odkłada je także z pewnym uczuciem niedosytu.

W grę wchodzi tu, oczywiście, wrażenie raczej subiektywne, odczucie niedostatku, niepełności relacji, które się zauważa tym łatwiej, im więcej odbywa wędrowek po Polsce powiatowej. Ta kraina zmieniła się, i to bardzo, stała się synonimem — zwłaszcza na Dolnym Śląsku — szybkiego rozbudzenia się lokalnych ambicji, owego patriotyzmu regionalnego, który przewędrował ze stolic województw „w dół“, docierając nie tylko do powiatowych metropolii.

II

W redakcji powiedzieli mi:

— Może pojedziesz do Kłodzka? Tam jest ciekawie, wydają „Rocznik Ziemi Kłodzkiej“, pomyśl, jedno z dwóch czy trzech powiatowych miast w Polsce posiadających tego rodzaju wydawnictwa. Są tam stowarzyszenia regionalne i ciekawie, prawie piętnastoletnie tradycje współpracy z Instytutem Śląskim...

Wziąłem więc różową delegację do tego miasta. I przez pierwszy dzień pobytu dowiadywałem się samych miłych, łatwo wpadających w ucho wieści.

Więc przede wszystkim tezy kłodzkie. Mniej głośnie niż jeleniogórskie, jako że tamten okręg wymyślił to pierwszy, popędził się, otworzył „Orlinek“, wybudował wyciąg narciarski na Małą Kopę, powołał Przedsiębiorstwo Usług Turystycznych, zyskując sobie tym samym rozgłos i miano „krainy z tezą“. Kłodzko się spóźniło. Tłumacza to tutaj innym charakterem miejscowości wypoczynkowych Ziemi Kłodzkiej. Są to przede wszystkim uzdrowiska; przyjeżdżają tutaj osoby pragnące się podleczyć czy wyleczyć. Tak, nawet pensjonariusze domów wczasowych FWP wybierają Polanicę, Duszniki czy Kudowę właśnie dlatego, iż wiedzą, że w Karpaczu lub Szklarskiej Porębie nie mogliby korzystać z zabiegów leczniczych. Tutaj zaś sanatoria rozbudowane i wyposażone w fachową obsługę, są w stanie opiekować się również tą rzeszą pacjentów.

Dlatego ponoć tezy kłodzkie rodzić się musiały nieco dłużej. I nie mogą być wiernym powtórzeniem zamierzeń obszaru jeleniogórskiego. Sprawą numer jeden nie jest tu na przykład uatrakcyjnienie warunków wypoczynku. Tutaj — mówiono — trzeba zacząć od zrozumienia odrębności regionu, zająć się przede wszystkim umożliwieniem lepszego, bardziej zgodnego ze wskazaniami korzystania z leczniczych właściwości terenu.

Program rozwoju przewiduje zresztą uatrakcyjnienie rejonu również z punktu widzenia tych osób, które pragną tu tylko odpocząć, znaleźć rozrywkę. Zamierza się m. in. powołać samodzielne powiatowe przedsiębiorstwo organizujące wycieczki zakupionymi przez to przedsiębiorstwo mikrobusami i w ogóle dbać, by letnicy czuli się tutaj dobrze i żeby im się tu podobało. Zamierza się rozbudować ośrodki campingowe, a na przyszłość podjąć starania o większą kontrolę i możliwość koordynowania zamierzeń i wysiłków pomiędzy powiatowymi władzami a ośrodkami wczasowymi i sanatoryjnymi. Te ostatnie bowiem stanowią dotychczas coś zupełnie samodzielnego, sterowanego zdalnie z warszawskich central.

Tędy, przez Ziemię Kłodzką, wiedzie międzynarodowa trasa wycieczkowo-turystyczna łącząca Mediolan z Moskwą, i w związku z tym program przewiduje otoczenie szczególnie troskliwą opieką takich miejscowości, jak Słone, Bardo Śląskie i samo Kłodzko — po to, aby było się czym pochwalić.

O wszystkich tych zamierzeniach mówi się oczywiście w czasie przyszłym. To dopiero ma być. Miejscowe władze mają już oparcie w postaci uchwały Rady Ministrów, zatwierdzającej wstępny projekt programu rozwoju Ziemi Kłodzkiej i przyznającej w perspektywie duże kwoty na ten cel.

I tylko przez chwilę tego pierwszego dnia reporter, z satysfakcją notując zamierzenia i projekty, odczuwa jakieś drgnienie niepokoju. Przypomina sobie bowiem, że niespełna rok temu zdarzyło mu się już czytać o identycznych zamierzeniach w Kłodzku, o projektach znajdujących się tuż-tuż w przededniu realizacji.

Ale zaraz potem zmienia się temat tego wywiadu z miastem. Miła kawiarenka w Powiatowym Domu Kultury, przyjemnie, nowocześnie urządzona, a w imieniu miasta mówi tym razem Eugenia Bożkówna, dyrektor PDK. Okazuje się, że dziennie we wszystkich salach i pomieszczeniach — a jest ich tutaj do licha i trochę, bo duża sala kinowa, mniejsza telewizyjna, pokój brydżowy, szachowy i tak dalej — szuka rozrywki około tysiąc osób. W tygodniu, nie licząc regularnych seansów filmowych, odbywają się tu przeciętnie dwie-trzy imprezy: odczyty, spotkania z literatami lub specjalistami z różnych ciekawych dziedzin nauki, bo — jak się okazuje — Kłodzko chętnie odwiedzają niektórzy naukowcy z Wrocławia a nawet z Opola. Oprócz tego dość regularnie przyjeżdżają teatry, operetka nie tylko wrocławska, ale i gliwicka. Kłodzko jest bowiem w sta-

nie zapewnić im frekwencję również w miejscowościach uzdrowskich, a to dzięki „niezadekretowanej“, ale tradycyjnie istniejącej od dawna współpracy pomiędzy zarządami uzdrowisk a Powiatowym Domem Kultury.

Znowu to wyliczanie plusów. Bo przecież powinienem wiedzieć, że kręci się tutaj film o Kłodzku. Robi to amatorski klub filmowy działający przy PDK dzięki dotacji Wydziału Kultury Powiatowej Rady Narodowej. Mają już prawie tysiąc metrów, połowę pełnospektaklowego filmu, a ciągle jeszcze coś domaga się uwzględnienia, „dokręcenia“.

Wywiad z miastem trwa dalej. Bo przecież jeszcze nie było ani o Stowarzyszeniu Miłośników Ziemi Kłodzkiej, ani o Klubie Twórczej Inteligencji, ani o Towarzystwie Miłośników Kłodzka. Zatem po kolei.

„Rocznik Ziemi Kłodzkiej“. Duży, po każdym tom w ładnej obwolutie.

— Proszę mi pokwitować odbiór — mówi pani Helena Getterowa, prezes miejscowego oddziału CPLiA a zarazem osoba, która wiele energii i wytrwałości włożyła w to, aby „Rocznik“ ów ukazywał się w miarę regularnie.

Wpisuję swoje nazwisko na liście i przeglądając tę prawie 400-stronicową książkę, zeszyt podwójny za lata 1959 — 1960. Jest tu publikacja Władysława Dziwulskiego o Bystrzycy Kłodzkiej i jej rozwoju przestrzennym do końca drugiej wojny światowej. Józef Leszczyński pisze o ruchach chłopskich w gminium gorzanowskim po wojnie trzydziestoletniej. Wojciech Walczak zajmuje się Ziemią Kłodzką w epoce lodowcowej oraz — w drugiej pracy — jaskiniami, które mogłyby stanowić ciekawy obiekt wycieczek turystycznych. Można jeszcze wymienić na przykład artykuł Eugeniusza Kaczmarka o właściwościach biologicznych i terapeutycznych mleczka pszczołego, a także sprawozdanie z prac speleoklubu warszawskiego w Kłodzku.

— Dobór tekstów nie jest przypadkowy — tłumaczy pani Getterowa. — Decydują o tym specyficzne potrzeby oraz okoliczności występujące w naszym regionie. Dla przykładu, jeśli w poprzednim „Roczniku 1958“ — znacznie brzydszym graficznie, ale przecież czytany — umieściliśmy pracę analizującą warunki geologiczne naszego regionu, to miało to znaczenie nie tylko ogólne, popularyzujące. Chodziło przede wszystkim o dostarczenie miejscowej administracji rolnej materiału naukowego, dzięki któremu mądrzej i skuteczniej będzie ona oddziaływać na rolników.

Powinno mi bowiem być wiadomo,

że w czasie zasiedlania województwa wrocławskiego, na Ziemię Kłodzką nie przybyli rolnicy z regionów podgórskich, ale przeważnie ludzie z nizin, nie mający pojęcia, jak radzić sobie z tułtejszymi warunkami, próbujący więc np. siać pszenicę na stokach najbardziej stromych, na Zieleńcu. Dziwili się później nieco, że pierwsze deszcze bardzo im to wszystko pozmywały i pszenica rosnąć nie chciała, uciekając w dół zbocza razem z glebą. Po dziś dzień wielu rolników nie może pogodzić się z faktem, że tu trzeba opierać gospodarkę przede wszystkim o hodowlę. I niech mnie nie śmieszy nawet artykuł o mleczku pszczelim. Jest to przecież sprawozdanie z eksperymentów i badań podjętych przez sanatoria znajdujące się na Ziemi Kłodzkiej i jako takie zasługiwało aby je pomieścić w „Roczniku”. Kiedy powstała myśl wydawania „Rocznika”? O, to stare dzieje, jeszcze z lat czterdziestych. Bezpośrednio po osiedleniu się w mieście dobrała się grupa osób, które zapragnęły przyczynić się do jego rozwoju, odnalezienia śladów polskości, poznania i opisania bogactw tego regionu, a także ciekawostek, zdarzeń i plotek, wiadomości naukowych oraz legend. Wtedy właśnie powstało Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Kłodzkiej, pomocy udzielił Instytut Śląski, zwłaszcza jego dyrektor, dr Roman Lutman, i dr Władysław Dziwulski. Do roku 1950 zdążyły się ukazać dwa tomy „Rocznika”. Potem była długa przerwa, „Rocznik” bowiem nigdy nie posiadał jakiegś stałej dotacji. Był i pozostaje na garnuszkę władz powiatowych, dokładnie – Wydziału Kultury, i jak władze doceniają i dają pieniądze, to „Rocznik” wychodzi, a jak nie – to nie. Więc po kilkuletniej przerwie ukazał się dopiero „Rocznik 1958”, a teraz podwójny tom czwarty i piąty. Ale należałoby chyba skończyć z tą nieustanną szarpaniną i stworzyć stałą dotację dla „Rocznika”.

— A pani przez cały czas współpracowała przy wydawaniu „Rocznika”? — pyta reporter.

Odpowiedź jest twierdząca. Jak się okazuje — pani Getterowa przez kilka lat była także prezesem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Kłodzkiej, kierowała Komisją Kultury i Oświaty Powiatowej Rady Narodowej oraz analogiczną komisją Komitetu Powiatowego PZPR. Obecnie chce się zajmować tylko „Rocznikiem”, jest zresztą w kolegium redakcyjnym. To ją interesuje najbardziej. Bo „Rocznik”, jego publikację, znajduje później namacalny odźwięk. Sprawiają, że miasto staje się przedmiotem polemiki i zainteresowania nie tylko w kraju. Interesują się nim wydaw-

nictwa i instytuty zagraniczne: na przykład Ziomkostwa Śląskie w NRF (rzecz jasna, w specyficzny, właściwy im sposób) czy Gottfried Herder-Institut. Zgłosił się nawet ktoś z USA, z Waszyngtonu, prosząc o dostarczenie kilku egzemplarzy.

To właśnie ten „Rocznik” stał się z zamysłu założycieli Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Kłodzkiej, którym marzyło się uczynienie z tego miasta czegoś w rodzaju dawniejszego Krzemienia.

★

Z kolei reporter rozmawia z Wacławem Breiterem, prezesem Klubu Twórczej Inteligencji a zarazem kierownikiem Oddziału Związku Plastyków, jedynego na Dolnym Śląsku powiatowego oddziału ZPAP. Tu zostaje reporterowi zademonstrowany wydawniczy dorobek klubu (również w oparciu o dotację, ale o innym charakterze): przewodnik po zabytkach Kłodzka napisany przez Annę Zelenay, wiele katalogów, wystaw malarstwa i grafiki, jakie się tu odbyły staraniem Klubu oraz Oddziału Związku Plastyków, i wreszcie „Kamerton” — jednodniówka literacka. Nazwiska autorów powtarzają się w pełnym brzmieniu i w skrótach. Na koniec jeszcze jednodniówka poświęcona Ziębicom, ponieważ w ramach Tysiąclecia państwa polskiego miasteczko to obchodziło w roku 1960 swoje tysiąclecie.

Próby na lepszym albo gorszym poziomie, jakieś rzeczy pozaczynane, widać wiele starania i wystarczy chcieć tylko słuchać, aby dowiedzieć się, ile wysiłków kosztowało wydanie, zdobycie pieniędzy, ulokowanie zamówienia w drukarni... Kto to zrobił? Klub. A w szczególności kto? I tu pada znowu parę nazwisk, które powtarzają się potem w podpisach pod publikacjami.

Na koniec wypada posłuchać bynajmniej nie krótkiego exposé dr Kaczmaraka, prezesa Towarzystwa Miłośników Kłodzka. Zreszta... nie. Przynajmniej nie w tej chwili. Niechże to exposé, zawierające sporo ciekawych danych, planów i zamierzeń, zostanie tylko zapowiedziane i poczekajmy z tym trochę. Towarzystwo Miłośników Kłodzka jest inicjatywą tak niedawną, młoda, że nie obrazi się o tę zwłokę. Nie ma ono jeszcze dorobku i posiada na razie zamierzenia i ambicje. Natomiast Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Kłodzkiej i Klub Twórczej Inteligencji ów dorobek posiadają, tylko gdy reporter pyta o plany — uzyskuje odpowiedzi niezdecydowane, niekonkretne: stwierdzenia, że trzeba będzie dalej wydawać „Rocznik”, może zdarzy się okazja wydania drugiego numeru „Kamertonu”...

trudno powiedzieć. Ta jakaś nutka zniechęcenia, brak świeżości pomysłów. Reporter zaczyna zapytywać sam siebie, jaka jest przyczyna tej nieśmiałości w zaglądaniu w przyszłość.

III

A potem jest sobota. Któryś tam dzień w mieście, kiedy już oficjalny z nim wywiad został zakończony, oficjalne prawdy zebrane i odnotowane i trzeba by wyjeżdżać mając w kieszeni gotowy materiał. A jednak zostaje się ze względu na tych parę niejasnych i niepokojących nut, które mimo woli przewinęły się w wypowiedziach ojców i działaczy miasta.

Więc zasiadam znowu w kawiarence PDK. Z doświadczenia bowiem wiadomo, że kawiarnia odgrywa specyficzną rolę. Tutaj przekazuje się prawdy nieoficjalne, działa plotka, poczta pantoflowa, tu jest domena subiektywizmu.

I rzeczywiście. Najpierw spotykam pewnego młodego poetę. Też nie bardzo wie, co począć z wolnym wieczorem. Siedzimy więc razem. Można by pójść na występ zespołu CPLiA. Podobno bardzo dobrego, wyróżnianego na eliminacjach wojewódzkich i centralnych. Mój rozmówca stwierdza jednak, że zespół widział mnóstwo razy i ma dość. Ale mimo to warto, abym ja sobie to obejrzał.

— Bo to jest jedna z niewielu prawdziwych rzeczy w tym mieście — dodaje.

A gdy pytam, co chce przez to powiedzieć, słyszę odpowiedź bardzo subiektywną, fragment prywatnej historii młodego poety. Bo przecież kłódzcanin to z niego niewielki — w tym sensie, że mieszka tutaj nie od roku 1945, ani nawet od 1950, tylko trzy lata. Pochodzi z województwa katowickiego, a przeniósł się do Kłodzka trochę dłatego, że go wziął urok tego miasta, trochę zaś z przypadku. Było to tak: przyjechali tu jednego z letnich popołudni z kolegą również obdarzonym ambicjami poetyckimi. Wieczorem siedzieli w „Ratuszowej“. Ale traf chciał, że akurat tego samego wieczora, w tym samym lokalu szukało rozrywki kilku ojców miasta i znalazło ją w towarzystwie dwóch młodych wędrujących poetów. I o jakiejś późnej godzinie padła propozycja: — Zostańcie tu, panowie, piszcie o tym mieście, a my wam pomożemy, postaramy się stworzyć w miarę godziwe warunki, żebyście mieli gdzie mieszkać i z czego żyć oraz pisać. — I mój nowy znajomy został. Nie dlatego, że w stosunku do niego obietnice zostały wypełnione konsekwentnie, bo nie zostały. Chyba po prostu dlatego, że jest człowiekiem chorym, zmęczyło go życie wędrownego poety. A może również z tej

racji, że zdarzyło mu się napisać kilka naprawdę dobrych wierszy — właśnie o Kłodzku. Dość że został — ale żyje tutaj na zupełnie wariackich papierach. Tyle, że to określenie odnosi się nie tyle do pobłażliwego traktowania jego wyskoków przez władze, ile do sposobu, w jaki zdobywa on środki egzystencji. Raz jest to kilkusetzłotowa zapomoga, kiedy indziej jakieś drobne honorarium za wydrukowany wiersz. Pani Anna Z., również poetka — mieszkająca w Kłodzku od wielu lat — żyje w podobnych warunkach. Na szczęście ostatnio otrzymała stałe zajęcie jako kierownik czytelni w Powiatowym Domu Kultury. A stałe zajęcie to już także stała, comiesięczna kwota pozwalająca wiązać koniec z końcem.

Przy stoliku robi się tłok, przysiadają się młody architekt, potem jakieś małżeństwo. I pod koniec tego wieczoru reporter ma — tym razem już nie w notesie, lecz w pamięci — sporo wiadomości o tonacji znacznie smutniejszej. Pozostaje je posprawdzać.

Bo to jest trochę tak, jak z owym stopniowaniem, które przeprowadził Steinbeck w „Tortilla Flat“. Pisze on: „Teoretycznie poszczególne etapy opróżniania gąsiorków można stopniować następująco: nieco poniżej szyjki pierwszego gąsiorka — rozmowa poważna i skoncentrowana; dwa cale poniżej — smutne romantyczne wspomnienia; trzy cale poniżej — analiza minionych, sycących miłości; cal niżej — analiza minionych, niezaspokojonych namiętności; dno pierwszego gąsiorka — ogólnie niesprecyzowany smutek“.

Steinbeck znał się na winie oraz Danym i jego przyjaciółach. Reporter siłą rzeczy musi się trochę znać na atmosferze powiatowych metropolii i też skłonny jest posiadać pewien schemat. Nie dotyczy on wina, lecz tego, co i o kim przychodzi mu poufnie wysłuchać — przy kawie. Ten schemat wygląda następująco: nie mówią żadnych złośliwości o nikim — miasto-sielanka, albo są bardzo doświadczeni; jedna strona się wybrzydza, druga zachowuje milczenie — ci pierwsi są w ataku, potęga drugich została nadwątlona; obie strony się obgadują — w miasteczku szykują się zmiany, nie ma silnych, pewnych siebie; wszyscy mają coś przeciw wszystkiemu, a tylko ktoś jeden nie chce o tym słyszeć i zajmuje się sprawami naprawdę merytorycznymi — należy przypuszczać, że niedługo ten właśnie człowiek przejmie inicjatywę w swoje ręce; opowiadają najchętniej o pogodzie i omijają zwłaszcza parę nazwisk — no... To trafia się na szczęście rzadko.

Jak to wygląda tu, w Kłodzku? Otóż

tutaj powiatowa puszka Pandory, jeśli się chce do niej zajrzeć, jest w całym tego słowa znaczeniu otwarta. Więc człowiek się dowiaduje. Na przykład o jakiejś zastarzałej historii z jednym z muzeów w małym miasteczku pod Kłodzkiem i o projektach założenia muzeum w stolicy powiatu. Bo był ponoć taki projekt, zebrano ekspozyty, fundusze na remont pomieszczenia. Był już nawet etat kustosz. Wszystko co prawda ze społecznych pieniędzy i bez perspektyw na szybkie otwarcie placówki — ale etat był. I potem ktoś się z kimś pokłócił, podobno o samą zasadę kierowania życiem kulturalnym w mieście, o samą zasadę podziału wpływów — i wówczas etat został zlikwidowany. A chodziło o dwie osoby, które w Kłodzku miały dość znaczną popularność. Spore wpływy nie we władzach, lecz w regionalnych stowarzyszeniach. I od tego czasu datuje się rozłam. Święta wojna dwóch indywidualności, dwojga ludzi, którzy przybyli tutaj rzeczywiście jako jedni z pierwszych i mają każde na swój sposób niemało osiągnąć. I tu należy ponoć szukać genezy faktu dość dziwnego. Oto w tym małym mieście, gdzie liczba osób chcących w sposób zorganizowany dawać wyraz swojemu lokalnemu patriotyzmowi jest niewielka — obok Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Kłodzkiej powstaje raptem Klub Twórczej Inteligencji, a następnie Towarzystwo Miłośników Kłodzka. I wieść powiatowa natychmiast interpretuje to w kategoriach czysto personalnych, upatrując w tej inflacji tytułów osobiste rozgrywki „heroldów” od organizowania lokalnych ambicji.

Niechże czytelnik wybaczy to streszczenie i jego niejasność. Jest to przecież mieszanka plotki i prawdy o nie dającym się stwierdzić procencie zawartości czystej prawdy, a więc mieszanka, która w razie nieostrożnego obchodzenia się może eksplodować i sprawić wiele kłopotu nie tylko piszącemu, ale również miastu. Piszę o tym nie po to zresztą, aby pobudzić ciekawość, ale dlatego, by chociaż w ten niejasny sposób dać pojęcie o tym, co określałam mianem powiatowej puszką Pandory.

Zajadłe wojny domowe, niewyżyte ambicje ludzi, którzy nie zdołali dokonać czegoś, co uważali za swoje życiowe cele, bronienie się, okopywanie na zajętych pozycjach, skojarzone z poczuciem, że się jest coraz bardziej słabym, poddanym rutynie, utracanie pomysłów i inicjatyw nie dlatego, że są niesłuszne, lecz dlatego, że mogą pochodzić od konkurenta i oznaczać dywersję. Tak, to wszystko mieści się w tej puszcze. Ale czy tylko plotka i obmowa, kołtuństwo

szprzymierzone z wygórowanymi ambicjami? To jest chyba najtrudniejsze — ustalić granice pomiędzy subiektywnym zaangażowaniem w sprawy społeczne i subiektywnym ograniczeniem, wadami i błędami. I czy prawdą są tylko wieści oficjalne, te pozytywne, optymistycznie brzmiące — czy może wyłącznie te, które słyszy się za uszami i po cichu? Które z nich charakteryzują miasto?

Może zaczniemy właśnie od tego. Bo przecież tak, jak nie sposób negować, że w Kłodzku robi się sporo rzeczy sensownych, że powstaje jakaś dobra atmosfera lokalnego patriotyzmu — tak samo nie są zupełnie pozbawione racji twierdzenia, iż niewiele jest tutaj rzeczy autentycznych. Faktem jest na przykład, że trzy stowarzyszenia miłośników to nieco za dużo jak na ilość ludzi aktywnych w tym mieście, że z powodzeniem wystarczyłoby jedno, posiadające odpowiednie sekcje zajmujące się poszczególnymi dziedzinami działalności. I że jest wiele racji w tym, iż stowarzyszenia owe prowadzą ze sobą rodzaj skomplikowanej gry konkurencyjnej, zwłaszcza zaś Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Kłodzkiej i Klub Inteligencji.

Niepokojące jest również co innego. Z wyjątkiem lekarzy — brak młodych fachowców, którzy by do Kłodzka ścigali. Odczuwa się tu niedobór inżynierów, architektów, humanistów z wyższym wykształceniem, młodej, rzutkiej, fachowej generacji. O tych zaś, którzy zdecydowali się tu osiedlić, mówi się albo że są niepoważni, beztroscy, noszą brodę i niewiele sobie robią z tak zwanej dobrej opinii, albo że przystali do starych, przejęli ich metody i sposób rozumowania, pchają się na tak zwane dobre stanowiska, stosując metody walki podjazdowej. I że chociaż mówi się od przeszło roku o potrzebie ufundowania przez miasto pewnej ilości stypendiów dla studentów, którzy by potem osiedlili się w mieście i pracowali dla niego, chociaż wszyscy zgadzają się co do słuszności tego postulatu, nikt po dziś dzień nie zajął się realizacją tej myśli. I że podobno identycznie wygląda sprawa organizacyjnych wysiłków koniecznych dla realizacji też kłodzkich.

A kiedy reporter, aby sobie to wszystko trochę wyjaśnić, składa wizytę przewodniczącemu Powiatowej Rady Narodowej oraz sekretarzowi Komitetu Powiatowego partii — słyszy słowa uspokajające, ale również dosyć ogólnikowe.

IV

Teraz właśnie nadszedł czas, aby na scenie pojawił się dr Eugeniusz Kaczmarek, prezes Towarzystwa Miłośników

Kłodzka. Na spotkanie przyszedł z plikiem gęsto zapisanych kartek, z rzeczowością i rozmachem, z młodą twarzą niedawnego absolwenta Akademii Medycznej. Na tych kartkach miał dokładnie zapisane i streszczone plany kampanii, którą oni nazwali „Akcja Kłodzko“. Ma się ta akcja zacząć w maju, od Dni Kłodzka. Złożą się na te uroczystości: Wiosna Poetycka z udziałem młodych poetów ziem zachodnich, sesja krytyków z referatami Zbigniewa Bienkowskiego, Wilhelma Szewczyka oraz kogoś z miejscowych twórców. Następnie noc poezji, jazdu, kilkanaście wieczorów autorskich, koncerty w Kłodzku i w Poianicy a także na koniec, czy może na początek, uroczysta sesja Miejskiej Rady Narodowej pod patronatem prof. Stanisława Kulczyńskiego — na której to sesji pragnęliby uchwalić między innymi przyznanie stałych nagród za najlepszą publikację o Kłodzku, albo może stypendium doktorskiego dla kogoś, kto prace doktorską pisałby na tematy związane z Kłodzkiem. Dalej sesja naukowa Ziemi Kłodzkiej z pięcioma referatami: historycznym, dotyczącym rolnictwa i hodowli, zagadnień przemysłu terenowego, lecznictwa i uzdrowisk, czasów i turystyki. Zainteresowali już tym docenta Dziewulskiego, oraz profesorów Świętochowskiego, Kozłowskiego, Falkiewicza i Wiktora. Stenogram owej sesji chcą wydać drukiem. A już na wydanie pod auspicjami Towarzystwa czeka przewodnik po Ziemi Kłodzkiej Wojciecha Walczaka, tomik poezji Jana Kulki, zbiór legend kłodzkich Anny Zelenay. Myślą o otworzeniu wreszcie muzeum Ziemi Kłodzkiej i chcieliby podyskutować z władzami na temat koncepcji wykorzystania twierdzy kłodzkiej, tym bardziej, że istnieje ciekawy projekt architektów Zuczkwicza i Semoniuka, wychodzący z założenia, że twierdza idealnie nadaje się na urządzenie tam „kombinatu“ rozrywkowego i turystycznego.

Mają łączność z władzami wojewódzkimi TRZZ i postanowili działać wspólnie ze Stowarzyszeniem Miłośników Ziemi Kłodzkiej oraz Klubem Inteligencji. Nawiązali ścisłą współpracę z radami narodowymi i z Komitetem partii, zwłaszcza z sekretarzem propagandy Skarżyńskim.

Czy towarzystwo, jego aktualne władze nie obawiają się, że owe dwa pozostałe stowarzyszenia będą krzywym okiem patrzeć na tak aktywną działalność? Dlaczego mają to czynić? Przecież założeniem jest tu otwarcie drzwi i przyjęcie do współpracy każdego, kto pragnie coś zrobić dla Kłodzka. Przecież pomysłów i zadań jest tyle, że im wię-

cej osób — tym lepiej. Utworzono przecież sekcje problemowe, można się w końcu dogadać: tamte stowarzyszenia będą spełniały rolę niektórych sekcji problemowych, zachowując równocześnie całkowitą autonomię. Stare swary i zawiści nie powinny tu przeszkadzać — jeśli odwrócić rozumowanie i przyjąć, że chodzi nie o dzielenie sfer wpływów, lecz podział zadań. Nie o ustalenie z góry, kto jest czym, lecz o stworzenie warunków dla pozytywnej działalności. Najlepiej zresztą byłoby zrealizować projekt połączenia tych trzech stowarzyszeń w jedno, ale za to sensowne i przężne.

V

Więc dopiero teraz można było z jakimś spokojem i przekonaniem, że się wie dostatecznie dużo, wyjechać z tego miasta. Prawda o nim okazała się niejednolita, kilkuwarstwowa, diabelnie powikłana, a zarazem w jakiś sposób prosta. Jest to bowiem prawda nie tylko o tym mieście. I dlatego nie mają sensu próby drobnostkowego ustalania linii demarkacyjnej oddzielających rzetelną chęć zaangażowania się po stronie inicjatywy i przywiązania do miasta od prywaty, osobistych ambicji, niewyżytych marzeń. Te dwa obszary są ze sobą związane i nie tylko w Polsce powiatowej. To są dwie strony tego samego procesu społecznego, dwa czynniki warunkujące i określające a czasem ograniczające rozwój i postępek.

Postępek i rozwój nie zależą bowiem wyłącznie od pieniędzy ani uchwał. Ważne jest także to, kto i jak wydaje pieniądze, wciela w życie postanowienia. A ten ktoś jest zawsze konkretny, osadzony w sytuacji, która tylko z wierzchu, w pierwszym dniu wydawać się może nieskomplikowana.

Ludzie uczeni nazywają to spiralą postępu. Zjawia się w jakimś ośrodku czy mieście grupa ludzi, którzy w aktualnych warunkach podejmują działanie, organizują się, stwarzają konieczne hierarchie. Dobierają się początkowo nie na zasadzie koterii i znajomości, lecz na zasadzie pragnienia, aby czegoś dokonać. Przyznawania każdemu zasług w miarę tego, co potrafi. A potem? Potem, gdy zmieniają się okoliczności, poczyna wkradać się rutyna, poczynają grać rolę sfery wpływów, obrona zdobytych pozycji. Ktoś awansuje i dochodzi, ktoś się zniechęca i odchodzi. A potem, za kilka lat, zjawia się jakaś młoda, przyjaźnie uśmiechnięta gęba, która zapytuje: „O cóż wy się właściwie żecie? Dlaczego tak nie lubicie nowych twarzy i myśli? Pozwólcie, toż przecież trzeba otworzyć drzwi dla inicjatywy i rozmachu“.

Roman Karpiński

Któż nie zna relacji o obronie Głogowa i kłęsce Henryka V na Psim Polu w roku 1109. Wiele było rzeczywistych i legendarnych powodów tej smutnej dla cesarza awantury. Zwołany na dzień św. Izydora sejm cesarski w Merseburgu postanowił ponieść krzyż na Wschód przeciw „zuchwałym a w skóry odzianym poganom”. Wyprawy do Ziemi Świętej zbyt drogo kosztowały, gdy tymczasem tutaj nie trzeba się było nawet przez morze przeprawiać. Przygotowania odbywały się przy entuzjastycznej aprobacie rycerstwa. Tak rozpoczęła się pierwsza bitwa o Głogów.

Mały Bytom Odrzański pod Głogowem. Tu, po Krośnie, odbyła się jedna z potyczek cesarza. Osadnicy z roku 1945 zastali dużą płaskorzeźbę wmurowaną tuż przy wejściu do ratusza. Przedstawia ona zmagania rycerstwa z czasów cesarskiej wyprawy.

Nawet pani, piastująca dziś godność sekretarza MRN, w roku 1945 jeszcze bawiła się lalkami, a później miała okazję wysłuchać tylko jednej prelekcji o przeszłości Bytomia. Warto więc przypomnieć, że znajdował się tutaj „święty gaj” wodza plemienia słowiańskiego — Bythurixa. W XIII wieku osiedlili się w Bytomiu winiarze frankońscy. Uczniem miejscowej Akademii, która działała w latach 1599—1628 i miała dwunastu profesorów, był m.in. Marcin Opeć, sekretarz króla Władysława IV. Tu żył i zmarł Andrzej Neuman, król mieszczan, posiadacz trzech czwartych miasteczka, a na wieży kościoła farnego zobaczyć można dziś jeszcze kule armatnie z wojen szwedzkich.

Na długo przed wkroczeniem wojsk I Frontu Ukraińskiego marszałka Koniewa i II armii Wojska Polskiego generała Waltera — wielu było w Bytomiu Odrzańskim Barczów, Bobkiewiczów, Dudków, Janeckich, Kowalskich, Kwiatkowskich, Ławeckich, Łupickich, Marcinkowskich, Morawskich, Napierałów, Pawlickich, Przybylaków, Rogalskich, Sikorów, Stachowiaków, Wojciechowskich czy Ziębów.

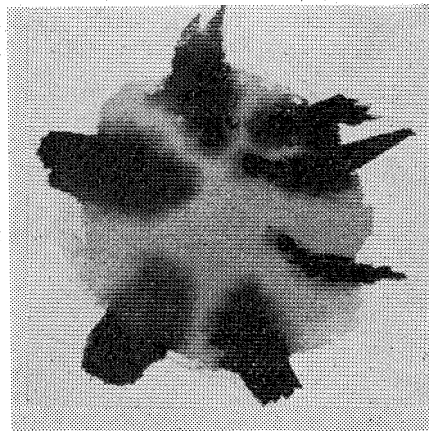
Zniszczony w 60 procentach Bytom liczył niegdyś cztery tysiące mieszkańców — dzisiaj ma ich już prawie trzy. Wybudowano nowe domy, remontuje się wszystkie stare, zabytkowe. Natknąłem się właśnie na gromadkę zielonogórskich plastyków i architektów, którzy debatowali nad sposobami odbudowy tego cudownego „Kazimierza nad Odrą”. Praca idzie całą parą.

Takie już nieromantyczne czasy: wtedy chodziło o los królestwa — teraz o nową studnię głębinową dla miasteczka, o roz-



Trzy bitwy o Głogów

TADEUSZ ZIMECKI



budowę izby porodowej, o wybrukowanie ulicy Kozuchowskiej.

★

Cały tzw. „niemiecki Wschód”, a ziemia głogowska w szczególności, były miejscem jeszcze jednego konfliktu. Tym razem była to wielka wojna psychologiczna. Trwała od mniej więcej roku 1843 do wybuchu II wojny światowej. Blisko stuletnia – jak ją nazwaliśmy – „wojna psychologiczna” znana jest bliżej tylko nielicznej garstce historyków, socjologów, ekonomistów i aż dziw bierze, że tak mało o niej piszemy. Rzecz dotyczy tzw. Ostflucht – zjawiska masowej ucieczki Niemców ze wschodnich terenów Rzeszy. Dość szczegółowo opowiedzieli o tym sami Niemcy w poufnym memoriale z roku 1937 o położeniu powiatu głogowskiego. Dokument ten znaleziono na strychu byłej ludowej szkoły ewangelickiej w Sławie Śląskiej. Tu przypomnijmy, że w latach 1843–1939 ze „wschodnich terenów Niemiec” wyemigrowało prawie 4 miliony ludzi. Ucieczka w głąb Rzeszy trwała nawet wtedy, kiedy „fuehrer” uzasadniał swój marsz na Wschód brakiem... przestrzeni życiowej. Z pewnością początkiem tej masowej emigracji w głąb kraju była pruska reforma rolna i w konsekwencji pozbawienie ziemi znacznej liczby mieszkańców. Zabierał robotników, a później i chłopstwo, rozbudowujący się przemysł w zachodnich i środkowych rejonach Niemiec. A po roku 1933 wschodnie tereny Rzeszy ze względów strategicznych nie mogły liczyć nawet na inwestycje zbrojeniowe. I chociaż czyniono wielkie starania (w ostatnich latach przed wojną aktywowano te okręgi dużymi nakładami na drobny przemysł terenowy) – nie zatrzymano procesu naturalnych ruchów ludnościowych. Na całe Nadodrze, a w szczególności na przygraniczny powiat głogowski parł „element polski”. Zaniepokojeni tym faktem politycy i ekonomiści niemieccy w wielu pracach sygnalizowali niebezpieczeństwo wciąż postępującego Ostflucht. Na trzy lata przed dojściem do władzy Hitlera Wilhelm Volz pisał w swej książce „Die ostdeutsche Wirtschaft”, że chętnie mówi się o jego narodzie jako o narodzie bez przestrzeni, gdy tymczasem należałoby mówić o Wschodzie niemieckim, że jest to przestrzeń bez narodu.

Powiat głogowski, zamieszkały w roku 1939 przez 61.905 osób, stracił w latach 1871–1937 aż... 40.233 mieszkańców! Podobnie rzecz się miała w innych rejonach administracyjnych pogranicza. Obszary nadgraniczne należały ze swą gęstością zaludnienia, wynoszącą 32 mie-

szkańców na kilometr kwadratowy, do najrzadziej zaludnionych terenów Rzeszy.

Tak więc w całym powiecie zlikwidowano wówczas 107 większych i mniejszych zakładów przemysłowych oraz przedsiębiorstw. W samym Głogowie zamknięto wielki zakład kartograficzny, fabrykę kapeluszy, pończoch, przetworów ze szczeciny, wielki zakład przemysłu skórzanego, odlewnię żeliwa, warsztaty kolejowe, cukrownię, rafinerię cukru, fabrykę mebli, cztery zakłady budowlane. Pozostały w mieście i całym powiecie tylko stocznia rzeczna, jedna cukrownia, roszarnia lnu, fabryka pieców kaflowych i wytwórnia krochmału.

Następstwem gospodarczego upadku – czytamy w poufnym memoriale – są wysokie liczby bezrobotnych, niskie zarobki (o 35 proc. niższe niż w centrum Rzeszy – przyp. mój T.Z.), wysokie podatki, wielkie niedobory w powiatach i gminach oraz ogólny spadek stopy życiowej. W mieście Bytom Odrzański zimą 1936/37 dziesięć procent mieszkańców pozostawało bez pracy. W miasteczku tym zbankrutowało 16 przedsiębiorstw.

W samym Głogowie w styczniu 1937 roku Urząd Pracy zarejestrował 2.599 bezrobotnych. Podobnie wyglądała sytuacja na wsi głogowskiej. Piszą więc autorzy memoriału:

Jeśli ucieczka ludności wiejskiej do innych obwodów Rzeszy trwać będzie nadal w dotychczasowych rozmiarach, to doprowadzi to do katastrofy, która będzie polegała na tym, że z braku koniecznych sił roboczych dalsza uprawa ziemi stanie się niemożliwa. Aby zapobiec brakowi robotników rolnych, wprowadzono już w tym roku kilka setek robotników polskich i czeskich. W następnych latach zatem trzeba będzie stanąć przed koniecznością wyboru: albo ziemi więcej nie uprawiać, albo wpuścić do kraju wielką liczbę polskich robotników sezonowych. Ciężkie szkody poniosła już niemiecka polityka ludnościowa.

I tu następuje coś, co nazwano „polskim niebezpieczeństwem” – naturalny marsz ludności polskiej na Zachód.

W Polsce międzywojennej rodziło się rocznie pół miliona ludzi. Coraz mniejsze były możliwości wyemigrowania do krajów zamorskich. Tak więc pograniczne tereny niemieckie ulegały coraz to większemu naciskowi osadników z przeludnionej Wielkopolski. Chłopi i robotnicy polscy masowo zaczynają wykupywać tutaj gospodarstwa.

Już w roku 1904 niemiecki ziemianin Ackerman pisze do rządu pruskiego list

z wymówkami i informacją, że w jego inalej mieście letniskowej pod Głogowem jednej tylko wiosny 101 gospodarstw przeszło w ręce Polaków. „...kiedy ja piszę do Panów Ministrów — kończy list — siedmiu innych Polaków dobija targu w Przydrożu, Lipince, Strzym Strączu, Kamiennej i Dąbiu”.

Wielkie jest „polskie niebezpieczeństwo”. Zajmują się tym problemem znani politycy i ekonomiści. Oto zestaw wypowiedzi ekonomistów Rossa i Ringiela z prac ogłoszonych w przeddzień II wojny światowej:

ROSS: *Polski przyrost naturalny musi coraz wydatniej zwiększać nacisk na niemiecką granicę wschodnią. Niebezpieczeństwo biologicznego, a tym samym narodościowego wyparcia jest na wszystkich odcinkach granicznych równie wielkie, występuje jednak zwłaszcza na północno-wschodnich obszarach niemieckich na wschód od Odry.*

RINGIEL: *Niebezpieczeństwo wyludnienia się niemieckiego Wschodu nie jest zażegnane. (Ringiel ma na myśli hitlerowskie próby aktywizacji tych terenów). Z nieubłaganą konsekwencją muszą kiedyś ludzie z sąsiednich przeludnionych terenów zalać tę próżnię, jeśli nie ustawimy żadnego muru przeciw ich ekspansji. Nacisk, jaki naród polski wywiera na nasze granice wschodnie, będzie się w ciągu przyszłych dziesięcioleci coraz bardziej wzmacniał.*

Tę najnaturalniejszą z katastrof, polegającą na ciężeniu ludności polskiej ku starym ziemiom piastowskim, dostrzegają autorzy memoriału. Oni również — podobnie jak Ringiel — zalecają coś w rodzaju muru obronnego. Kończy się więc ów dokument ostrzeżeniem:

Odptyw naszej ludności jest nie tylko jakimś swoistym, ludnościowym i gospodarczym procesem, któremu można przyglądać się spokojnie. Oznacza on zagrożenie naszego Wschodu, a przez to przyszości całego narodu niemieckiego. Niebezpieczeństwo to może być wstrzymane tylko przez użycie wszystkich rozporządzalnych środków.

...jedynie bowiem odbudowa niemieckiego Wschodu może stworzyć podwaliny polityki wschodniej, której drogi wskazał fuhrer w słowach: „Zatrzymujemy odwieczny pochod Germanów na południe i zachód Europy, a kierujemy wzrok ku ziemiom na wschodzie”.

Tak wyglądała druga bitwa o ziemię głogowska.

★

Głogów był już niejedynym raz symbolem klęski, może więc dlatego cofający

się wiosną 1945 roku hitlerowcy wyznaczili mu duże zadanie obronne. Trzydziestopięciotysięczne miasto otrzymało nakaz ewakuacji. Oblężenie trwało sześć tygodni. Wojska I Frontu Ukraińskiego opanowały Głogów dopiero 1 kwietnia. Niemcy bronili każdego domu — ocalało więc ich bardzo niewiele, przy czym ani jeden nie miał dachu. Bronili się również w zabytkowych budowlach — zginęły więc i one. Pozostały tylko szkielety: kolegiaty ufundowanej przez Krzywoustego, świątyni barokowej wybudowanej przez Simonetta, czternastowiecznego kościoła farnego, którego jednym z proboszczów był Andrzej de Francheville, sekretarz Voltaire'a.

Po zakończeniu działań wojennych, mimo ewakuacji, okazało się, że w gruzach miasta i okolicznych wioskach pozostało jeszcze 6 tysięcy Niemców. W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu liczbie tej odpowiadało... 24 Polaków, w tym czterech milicjantów. Młoda polska dziewczyna, studentka medycyny, kierowała wówczas największym bodaj w byłej Rzeszy Niemieckiej szpitalem głogowskim, składającym się z 320 pokoi. Tak było do czasu zjawienia się w miasteczku pierwszego lekarza, dr Ludwiczaka.

Wśród owych 24 osadników był, popularny dziś w Głogowie, Adam Królak, z zawodu nauczyciel, ale przede wszystkim miejscowy kronikarz, autor pierwszej powojennej monografii o Głogowie, zapalony historyk-amator i działacz społeczny. On też chyba najwięcej poświęcił swemu miastu pracy i energii, bardzo przyczynił się do jego odbudowy, uratował wiele pamiątek starej architektury, wiele dokumentów mówiących o polskości tego miasta.

★

I tak już zaniedbany przemysł Głogowa zniszczono w czasie działań wojennych w 97 procentach. Wspominam tak obszernie o pierwszych dniach wyzwolonego Głogowa, by można było zrozumieć fakt istnienia do dziś śladów zniszczeń. Miasto jest zamieszkałe w tej chwili przez 8 tysięcy ludzi. Będzie się odbudowywało jeszcze przez kilka lat.

Według pierwotnych przewidywań MRN za lat pięć Głogów ma liczyć 15–16 tysięcy mieszkańców. Na każdy rok planuje się budowę i remont około 2 tysięcy izb mieszkalnych. Powstanie 30 dużych sklepów, olbrzymi dom towarowy, a kosztem 4 milionów odbuduje się teatr miejski. Do 26 czynnych dziesiąt zakładów przemysłowych (w tym 13 typu kluczowego) przybędzie duża przetwórnia mięsna, fabryka makaronu, fabryka cukierków, trzy rzeźnie, prze-

twórnia owocowo-warzywna, fabryka motorowerów, wytwórnia zabawek, kilka nowych cegielni.

Owe plany rozbudowy przemysłu są konsekwencją zdecydowanych zmian w głogowskim rolnictwie. Ziemia głogowska ma świetne warunki dla rozwoju sadownictwa i hodowli. Chociażby łagodne stoki Kocich Gór. Są tu urodzajne glinki lessowe, mady nadodrzańskie. Tymczasem osiadły tu, prymitywnie gospodarujący chłop zabużański obsiewał tradycyjnym żytem aż 56 procent pól, pozostawiając tylko 10 procent na rośliny przemysłowe. Obecnie więc o 250 ha zmniejszono uprawę zbóż na korzyść roślin pastewnych, o 400 ha zwiększono pola warzywne, przybędzie też 50 tysięcy drzew owocowych. Zmiany to możliwe tylko przy konserwacji i regulacji 850 km rzek i rowów oraz stałej konserwacji i naprawie urządzeń drenujących na obszarze 950 ha. Mechanizacja, odbudowa zagród chłopskich, budowa nowych zagród, budownictwo mieszkaniowe i gospodarskie dla Państwowych Gospodarstw Rolnych — pochłona 98 milionów złotych. Łącznie z projektowanymi zakładami przemysłowymi i odbudową największego w kraju szpitala ortopedycznego koszt głogowskich inwestycji do roku 1965 wyniesie kilkaset milionów złotych.

Wspomniałem, że według pierwotnych przewidywań za lat 5 Głogów ma osiągnąć około 15 tysięcy mieszkańców. W ostatnich czasach zaszło jednak tyle zmian, że trzeba korygować dalekie plany perspektywiczne. W nowych zamierzeniach mowa już nie tylko o przywróceniu miastu dawnej liczby mieszkańców, o budowie nowych zakładów przemysłowych, ale o Głogowie jako ważnym elemencie nowego zagłębia miedzianego.

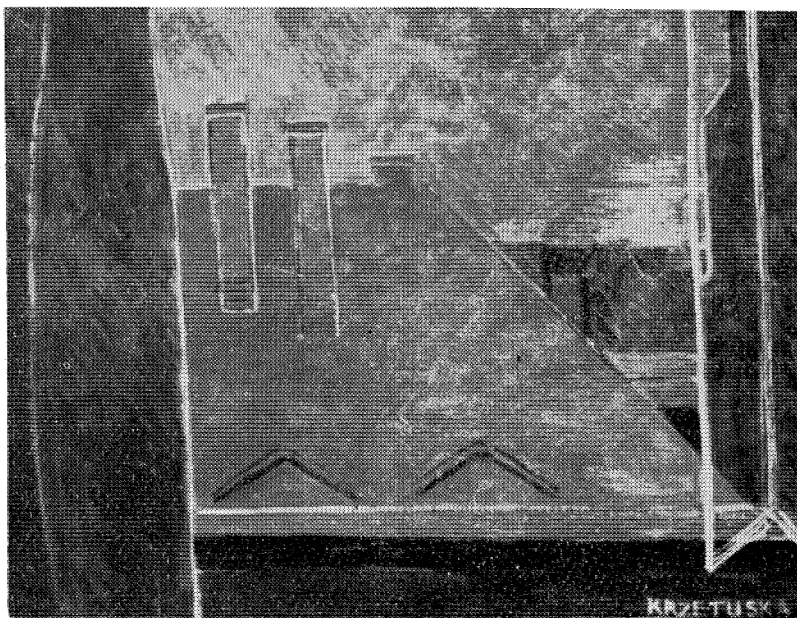
A więc nowa bitwa pod Głogowem. Bitwa nie mniej wielka, nie mniej romantyczna — o wydarcie zasobnej ziemi cennej rudy. Pokłady lubińsko-głogowskie sięgają 10 milionów ton, niewiele więc ustępują złożom Konga (drugim na świecie). Głogów otrzyma wielką hutę miedzi.

Małe, zagubione w prowincjonalnym narażmie miasteczka budzą się do życia. Tak jest w Głogowie, Lubinie Legnickim, w Sierszowicach, Polkowicach. Mały, trzy i półtysięczny Lubin należał dotąd do rzędu takich miścin, które się maluje z umorusanym prosiakiem na ryneczku. Będzie liczył niedługo... 30 tys. mieszkańców.

Młodzież, przede wszystkim młodzież wielu sennyh miast i miasteczek ogarnęła już romantyzm górniczego fachu. Wśród załóg wież wiertniczych spotkałem „nafciarzy” z 30-letnim stażem w geologii, ale również i takich, którzy rozpoczęli pracę dopiero przed rokiem. Nie pytałem, ilu ich jeszcze stanie do pneumatycznych świdrów i maszyn, ale na pewno w całym zespole kopalnianym i przerobowym zagłębia będzie takich tysiące. Jest to jeden z piękniejszych awansów tej ziemi — kariera na miarę Nowej Huty.

Od dawna zawitała tu atmosfera nie naruszonej niczym stabilności, od wielu lat nie ma mowy o „walizkowych nastrojach”, ale ostatnie inwestycje, przygotowania do wielkiej kampanii przemysłowej, do jeszcze jednej bitwy o Głogów — już z udziałem naukowców, inżynierów, techników — utrwaliły głębokie przekonanie, że ta trzecia bitwa zostanie wygrana na pewno.

Tadeusz Zimecki

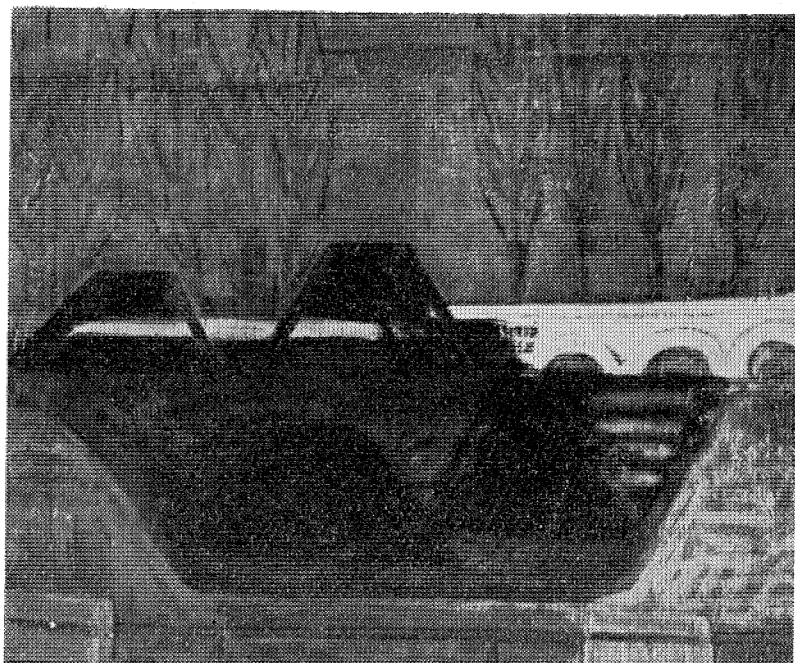


Okno (1959 r.)

H a n n a K r z e t u s k a

Sztuka, podobnie jak i nauka, ustawicznie się rozwijają. To zdanie, które padło w rozmowie z artystką, można by wyodrębnić jako motto. Bowiem twórczość i doświadczenia artystyczne Hanny Krzetuskiej potwierdzają w pełni, że malarstwo ulega przemianom i za-

Nad Odrą (1960 r.)



razem, tak jak nauka, zachowuje trwale elementy poznawcze.

Pierwsze wtajemniczenia w sztukę otrzymała malarka w Krakowie, kiedy jeszcze ówczesne życie artystyczne decydująco określała tradycja Matejki i jego uczniów, na Akademii wdzili jej „Huculi” (Jarocki i Sichulski). Jej studia przypadają już na okres, w którym coraz bardziej zaznaczały się wpływy kolorystów. Była więc świadkiem a potem uczestnikiem przemian w malarstwie polskim, przemian, które z perspektywy czasu, z perspektywy jej dorobku sumują się w całość, potwierdzają ciągłość rozwoju. Uczennica Pronaszki i Fedkowicza, rozpoczęła swą twórczość w kręgu doświadczeń kolorystycznych. Ten nurt naszego malarstwa międzywojennego można by krótko określić posługując się formułą, której użył Zdzisław Kępiński w stosunku do malarstwa Cybisa: „Widzenie rzeczywistości przez kolor, wyrażanie kolorem bryłowości, przestrzeni, światła, zasada barwności całego pola obrazu”. Ale w tym nurcie ścierały się różne indywidualności, w różny sposób pojmowano zasadę widzenia rzeczywistości przez kolor. Pronaszko a potem Fedkowicz operowali kolorytem syntetycznym, budowali formę niezależnie od spraw światła i atmosfery. Tutaj należy doszukiwać się pierwszych prób przechodzenia do malarstwa płaskiego (dekoracyjność kompozycji, dwuwymiarowość). Po analizie zjawiska barwnego przyszła potem kolej na syntezę, uogólnienie zjawiska. W twórczości Hanny Krzetuskiej proces ten dokonał się szczególnie wyraziście po wojnie. Fewne predyspozycje w kierunku skrótu

i uproszczenia mogła wynieść z obcowania ze sztuką fowistów jak i z własnych „rzeźbiarskich” upodobań.

Przemiany w malarstwie polskim w latach 20-tych i 30-tych nie przechodziły bez tarć, przybierały nieraz formę zabawną. Hanna Krzetuska w rozmowie sypie anegdotami. Kraków był miejscem narodzin wielu grup i wielu inicjatyw twórczych. Działali tam formiści (Chwiastek, Czyżewski), papież polskich kapistów — Pankiewicz, w roku 1925 powstała grupa „Jednoróg”, od roku 1928 działała grupa „Zwornik” (członkami jej byli później Hanna Krzetuska i Eugeniusz Geppert) i najbardziej awangardowa „Grupa krakowska” (Stern, Jareńkianka, Wiciński, Kantor).

W twórczości Hanny Krzetuskiejoczesne miejsce zajmują: pejzaż, martwa natura, portret. Inspiruje ją sensualny „odbior” rzeczywistości, ale w trakcie pracy twórczej bezpośrednio doznania ulegają przetworzeniu — syntezie. Proces ten najlepiej charakteryzują portrety, które artystka maluje... z pamięci, zachowując istotne cechy modelu. Można to samo powiedzieć o jej krajobrazach, studiach wnętrza i martwych naturach. Wydobywa w nich syntezę barwy i kształtu. W ostatnich pracach odznaczających się dużymi płaszczyznami i zwartą konstrukcją obserwuje się rozbijanie szpachlą jednolitej dawniej plamy barwnej w ramach jednak tej samej tonacji, traktowanie kompozycji mniej dekoracyjnie. Więc ciągły rozwój: od postimpresjonizmu, poprzez świadomie zamierzoną dekoracyjność, do skrótu, pełnego wyrazu dobywanego drogą syntezy.

Piotr Kajewski

Hanna Krzetuska urodziła się w Krakowie, tam ukończyła studia malarskie w Wolnej Szkole im. Mehofferowej. Przed wojną wystawiała od roku 1927 w Krakowie, Warszawie, na Śląsku. Od roku 1934 brała udział w salonach Instytutu Sztuki w Warszawie. Wystawy indywidualne w Krakowie — 1931, 1939, 1956, w Warszawie — 1959, we Wrocławiu — 1949 i 1959. Od roku 1937 członek Zrzeszenia Artystów Plastyków „Zwornik”. W roku 1946 osiedla się we Wrocławiu. Bierze czynny udział w wystawach, pracy organizacyjnej i publicystyczno-odecytowej.

Raport o truście mózgów

Wydarzenie było zgola niezwycajne. Kilkaset najprzedniejszych umysłów miasta zgromadzonych w jednej sali ogromnego gmachu nad brzegiem Odry. Walny sejmik wrocławskiego środowiska naukowego, powszechnie uchodzącego za trzecie w kraju po warszawskim i krakowskim, tak dla swojej liczebności, jak osiągnięć badawczych. Zorganizowana przez KW PZPR, kolegium rektorów i Wrocławskie Towarzystwo Naukowe impreza par excellence robocza, bez precedensu we Wrocławiu, a w skali jednego środowiska regionalnego nie znana anna-łom nauki polskiej.

Oczywiście wiadomo dobrze i szeroko, że Wrocław ma osiem wyższych uczelni, instytut im. Hirszfelda, „Ossolineum”, piętnaście tysięcy studentów. To elementy encyklopedycznej charakterystyki Wrocławia równie znamienne, jak „Pafawag” czy, ostatnio, „Elwro”. Można tę listę uzupełnić kilkoma dalszymi. Więc profesorów i docentów pracuje w środowisku wrocławskim z górą trzystu, adiunktów i asystentów przeszło tysiąc sześciuset, wyższe uczelnie Wrocławia wydały już ponad dwadzieścia pięć tysięcy dyplomów, w tym kilkaset — doktorskich.

Jest to statystyka, zauważmy, bez wszelkiej przesady imponująca, zwłaszcza jeśli zważyć słabość niemieckiego ośrodka naukowego w przedwojennym Wrocławiu — dwie wyższe uczelnie i niespełna trzy tysiące studentów — oraz nade wszystko jego kompletną zagładę w roku 1945. Wrocław naukowy roku 1961 to zatem efekt pracy podjętej przed szesnastu laty niemal dosłownie od zera. Jak na powstanie, okrzepnięcie i zapewnienie sobie poważnego autorytetu w kraju i nawet daleko poza jego granicami, jest to dla ośrodka naukowego okres zdumiewająco krótki.

Raport o tym truście mózgow obradującym przez pełne dwa dni pierwszego tygodnia kwietnia, musi, ma się rozumieć, wyjść poza tę lakoniczną statystykę i zaprezentować ogromne zaplecze rzeczowe tych kilku liczb. Trudno — i powody tego są przecież zrozumiałe — spodziewać się prezentacji zupełnie kompletnej. Siłą rzeczy nie sposób uczynić coś innego, jak tylko wskazać na istotne dominanty i akcenty.

CZTERY DOMINANTY

Bez wszelkiej wątpliwości w środowisku wrocławskim są nimi: matematyka, chemia i fizyka oraz nauki medyczne. Tu ranga Wrocławia ma wy-

**I G N A C Y
RUTKIEWICZ**

miar więcej niż tylko krajowy i nawet więcej niż europejski.

Oto matematyka. Mówi się dzisiaj o wrocławskiej szkole matematycznej, jak o warszawskiej czy niegdyś lwowskiej. Ton jej nadają wybitne indywidualności profesorów Hugona Steinhausa, Edwarda Marczewskiego, Bronisława Knastera. Zwraca uwagę własny, zespołowy styl pracy. O rezultatach wychowawczych świadczą nazwiska uczniów, dzisiaj niekiedy już profesorów — jak Czesław Ryll-Nardzewski i Kazimierz Urbanik, wychowanków Uniwersytetu Wrocławskiego od pierwszego czy drugiego roku studiów.

Kierunki badań nawiązują w części do tematyki przedwojennych środowisk Lwowa i Warszawy, w części zostały zainicjowane już we Wrocławiu. Ich terminy brzmią dla ucha laika egzotycznie, mówią niewiele, ale to całe światy problemów — teoria mnogości i topologia, teoria miary, aproksymacje diofantyczne, teoria ergodyczna, teoria procesów stochastycznych, logika matematyczna.

Zarazem celuje Wrocław w tym dziale matematyki, który wiąże się z gospodarką i techniką najzupełniej bezpośrednio, mianowicie w zastosowaniach matematyki, świetnie tu rozwiniętych za sprawą prof. Steinhausa. Wiąże się z tym także rozwój metod numerycznych.

Uniwersytet Wrocławski ma odrębny Instytut Matematyczny z siedmioma katedrami, na Politechnice istnieje zespołowa katedra matematyki, nadto Wrocław jest siedzibą trzech (plus częściowo dwóch dalszych) działów Instytutu Matematycznego PAN, trzy spośród siedmiu ogólnopolskich czasopism matematycznych (plus jedyne czasopismo dydaktyczne dla nauczycieli matematyki) redagowane są przez wrocławian, piątkowe posiedzenia oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego należą do najbardziej trwałych tradycji środowiska naukowego Wrocławia, co tygodniowo odbywa się ponad dwadzieścia seminariów.

Druga karta atutowa naukowego Wrocławia to chemia, mająca silnie rozbudowane pozycje przede wszystkim na Politechnice, Uniwersytecie, Akademii Medycznej oraz — samodzielne zakłady i pracownie chemiczne PAN. Badania z dziedziny chemii podstawowej i stosowanej prowadzone są w 28 katedrach wyższej uczelni i 4 zakładach lub pracowniach Instytutu Chemii Fizycznej oraz Zakładu Syntezy Organicznej PAN.

Na czoło wrocławskiej chemii wysuwa się wielki zespół badawczy chemii nieor-

ganicznej, kierowany przez prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego i prof. Bogusławę Trzebiatowską, łączący w swojej symbiozie katedry politechniczne i uniwersyteckie oraz Zakład Badań Strukturalnych Instytutu Chemii Fizycznej PAN. Szeroka problematyka badawcza tego zespołu czy — by użyć znowu owego terminu — szkoły obejmuje fizykochemię ciała stałego, chemię związków kompleksowych, kinetykę i mechanizm reakcji, przy czym przedmiotem badań są przede wszystkim metale rzadkie, jak uran, tytan, ren, wanad — o podstawowym znaczeniu dla nowoczesnej techniki. Jednocześnie rozwinięto tu kierunki i metody mało lub wcale indziej w Polsce nie uprawiane — magnetochemię, rentgenografię, chemię wysokich i niskich temperatur, chemię radiacyjną i chemię jądrową.

W innych dziedzinach wysoką notę zdobyło co najmniej kilka grup czy — jeśli kto woli — szkół chemicznych. Odnotujmy badania prof. Henryka Kuczyńskiego nad terpenami, prof. Edwina Płażka nad chemią pirydyny, prof. Bogusława Bobrańskiego w zakresie syntezy leków kojących, jedyne w Polsce prace z chemii steroidów, ostatnio zupełnie nowy dział — badania własności półprzewodnikowych związków organicznych. W technologii organicznej o pozycji Wrocławia decydują przede wszystkim prace prof. Błażeja Rogi w zakresie chemicznej technologii węgla i prof. Zdzisława Tomasika w zakresie petrochemii, a w technologii nieorganicznej — prof. Włodzimierza Bobrownickiego prace podstawowe i metody produkcji nawozów sztucznych. Osobne miejsce zajmuje fototechnika, katedra prof. Witolda Romera na Politechnice Wrocławskiej jest jedyną w kraju. Specjalnością wrocławskiej chemii jest również inżynieria chemiczna, mająca na swoim koncie poważne sukcesy w dziedzinie procesów ekstrakcji.

Trzeci wreszcie element trójcy czołowych dyscyplin nauk ścisłych — fizyka, jest związany przede wszystkim z Uniwersytetem. Znamionym dowodem jej awansu we Wrocławiu było wydzielenie ubiegłej jesieni trzech katedr uniwersyteckich w Instytut Fizyki Teoretycznej, a rok wcześniej utworzenie Zakładu Niskich Temperatur Instytutu Fizyki PAN. Nie od rzeczy będzie też zaznaczyć, że cała kadra instytutu uniwersyteckiego zdobyła szlify profesorskie już po wojnie i to we Wrocławiu.

Warto wydobyć z serii terminów nic lub zgoła niewiele mówiących profanowi

kilka istotnych akcentów. Więc prace prof. Jana Rzewuskiego nad strukturą i oddziaływaniem cząstek elementarnych mają charakter podstawowy, a prowadzone przy pomocy metod kwantowej teorii pola znajdują się w centrum zainteresowań fizyków całego świata. Żywe kontakty łączą w tej dziedzinie ośrodki wrocławski ze Zjednoczonym Instytutem Badań Jądrowych w Dubnej pod Moskwą, ostatnio też z największym obecnie centrum badań jądrowych w Genewie. Prof. Roman S. Ingarden uzyskał poważne wyniki w badaniach z zakresu teorii ciała stałego i niskich temperatur, a prof. Jan Łopuszański prowadzi jedyny w kraju zespół zajmujący się na szerszą skalę zastosowaniem metod statystycznych w fizyce. We Wrocławiu pracuje również jedyna grupa teoretyków interesująca się optyką geometryczną.

W fizyce eksperymentalnej Wrocław jest znany przede wszystkim dzięki Zakładowi Niskich Temperatur Instytutu Fizyki PAN, prowadzącemu jako jedyny ośrodek krajowy — badania nad supra-przewodnictwem metali, własnościami ferromagnetycznymi i emisją elektronów w niskich temperaturach.

Na równi z matematyką, chemią i fizyką, zwłaszcza teoretyczną, o swoistym wyrazie oblicza naukowego Wrocławia stanowi wrocławska medycyna. Dwa jej ośrodki to Akademia Medyczna oraz Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. L. Hirszfelda PAN.

Biochemia, hematologia, kardiologia, mikrobiologia i onkologia doświadczalna, synteza nowych leków (o czym już się słowo rzekło przy okazji chemii) — to szczególnie tytuły do chwały Wrocławia. W każdej z tych dziedzin — każda jest przecież rozległą gałęzią nauk medycznych — pozycja wrocławskiej medycyny liczy się na miarę bez przesady światową.

Więc w biochemii badania prof. Tadeusza Baranowskiego nad krystalizacją białek i enzymów, w hematologii prace prof. Hugona Kowarzyka z zakresu krzepliwości krwi, w kardiologii również prof. Kowarzyka teoria i technika wektorkardiografii przestrzennej, w chirurgii operacje prof. Wiktor Brossa na otwartym sercu, w mikrobiologii i wirusologii prace prof. Stefana Słopka w dziedzinie badań nad pałeczką czerwonki i fagocytozą wirusów, w onkologii doświadczalnej studia prof. Zygmunta Alberta, w chemii farmaceutycznej syntezy nowych leków kojących — prof. Bogusława Bobrańskiego. Podkreślić się godzi, że istotny udział w tych osiągnięciach ma Instytut Immunologii i Terapii Doświad-

czalnej im. L. Hirszfelda pod dyrekcją prof. Słopka.

Osobnej wzmianki wymaga jeden z działów tego Instytutu, Ośrodek Cięży Patologicznej, zajmujący się zagadnieniami związanymi z tzw. konfliktem serologicznym. Ten ważny z punktu widzenia naukowego i społecznego kierunek badań zainicjował we Wrocławiu jeszcze prof. Ludwik Hirszfeld, odkrywca dziedziczenia grup krwi i ich geograficznego rozprzestrzeniania się.

Jedynym w swoim rodzaju przedsięwzięciem naukowym były kompleksowe badania nad występującym szczególnie w regionach górskich wolem nagminnym, które objęły — przy współudziale lekarzy czeskich — cały obszar sudetki. Warto dodać, że ani Alpy, ani Pireneje dotychczas takiej monografii nie mają.

KILKA LITER ALFABETU

Lista aktywów naukowego Wrocławia jest ma się rozumieć jeszcze daleka od zamknięcia. Do wpisania się na nią pretenduje co najmniej kilka czy nawet kilkanaście innych dyscyplin, w których środowisko wrocławskie wyrosło znacznie ponad poziom tylko regionalny. Podkreśla to kreowanie właśnie we Wrocławiu zakładów czy pracowni badawczych Polskiej Akademii Nauk, z reguły jedynych w swojej specjalności, wolnych od zadań dydaktycznych, a pozostających nieodmiennie w unii personalnej ze swymi odpowiednikami, katedrami uczelni.

Tu przede wszystkim — z racji nie tylko alfabetycznych — antropologia, której pozycję akcentuje Zakład Antropologii PAN i Komisja Antropometryczna PAN. We Wrocławiu powstaje pierwszy atlas antropologiczny Europy, tu mieści się sztab główny masowych badań antropometrycznych obejmujących cały kraj. Jeszcze informacja, że prof. Adam Wanke jest autorem dwóch nowych metod antropologicznych uchodzących za poważne osiągnięcie antropologii światowej.

Trzymajmy się i dalej porządku alfabetycznego. Rangę Wrocławia w archeologii dokumentuje Zakład Archeologii Śląska Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN, prowadzony przez prof. Włodzimierza Hołubowicza, w etnografii — Zakład Etnografii Polski IHKM PAN pod kierownictwem prof. Józefa Gajka, w historii — Zakład Historii Śląska Instytutu Historii PAN, którego kierownikiem jest prof. Kazimierz Popiołek oraz Pracownia Atlasu Historycznego III PAN.

We Wrocławiu powstaje pierwszy Atlas Etnograficzny Polski, tu też mieści

się siedziba główna Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, wrocławscy archeologowie penetrują cały Śląsk, Wrocław jest bazą badań nad przeszłością ziem śląskich, czemu początek dali już zaraz po wojnie profesorowie Karol i Ewa Maleczyński. Nazwisko prof. Władysława Czaplńskiego ma ustaloną pozycję w historiografii Pomorza i Bałtyku. Pionierską pracę nad niemieckimi archiwami policyjnymi 20-lecia i ostatniej wojny na Śląsku prowadzi zespół prof. Seweryna Wysłoucha.

Polonistyka wrocławska swoje imię bez wątpienia zawdzięcza przedwcześnie zmarłemu prof. Tadeuszowi Mikulskiemu, który we Wrocławiu zgrupował wokół siebie zespół badaczy polskiego Oświecenia. Obecnie nadal istnieje Pracownia Oświecenia Instytutu Badań Literackich PAN, a obok niej dwie pracownice leksykograficzne IBL PAN, kierowane przez prof. Stanisława Bąka i prof. Stanisława Rosponda.

Geografia, geologia, zoologia — przynajmniej w tych trzech dziedzinach nauk przyrodniczych Wrocław zajmuje w nauce polskiej miejsce wybitne.

Międzynarodowe znaczenie mają wyniki badań polarnych prof. Aleksandra Kosiby i prof. Alfreda Jahna, uczestników wypraw naukowych na Spitsbergen i Alaskę, nie mniej szeroki zasięg mają badania klimatologiczne prof. Kosiby na Dolnym Śląsku. Wrocław jest jednym z dwóch ośrodków polskiej kartografii, tu nazwisko prof. Józefa Wąsowicza, współpracownika znakomitego Eugeniusza Romera. Prof. Bolesław Olszewicz uprawia rzadką dziedzinę geografii — geografii historyczną i prowadzi Pracownię Historii Geografii Instytutu Geografii PAN. Dla geologów naturalnym obiektem badań są Sudety, których znajomość pogłębiła się poważnie dzięki rezultatom badań zespołu prof. Henryka Teisseyre, kierownika Pracowni Sudeckiej Zakładu Nauk Geologicznych PAN. Instytut Zoologiczny Uniwersytetu Wrocławskiego pod kierownictwem prof. Kazimierza Sembrata stanowi jeden z najpoważniejszych ośrodków zoologii w Polsce, wyróżniając się w zoologii ogólnej, ornitologii i entomologii.

Raport taki, jak ten — pisany przez profana, nie ustrzeże się bodaj nigdy dysproporcji, nie wszystko bowiem będzie mógł wyważyć z dostateczną kompetencją. To uwaga po trosze o charakterze alibi, wszak siłą rzeczy wiele kierunków badań czy dyscyplin nauki zostało pominiętych i w raporcie znalazły się jedynie dyscypliny mające największy dorobek teoretyczny i najwyższe noty w skali krajowej, jakkolwiek doko-

nany wybór z pewnością nie jest i chyba być nie może całkiem idealny.

Wciąż tedy nie rezygnując z nieuniknionej selekcji, w tym samym stylu na poły telegraficznym, prezentacja dwóch jeszcze wyższych uczelni — poza Uniwersytetem i Akademią Medyczną, zatem Politechniki i Wyższej Szkoły Rolniczej, obydwóch blisko powiązanych z praktyką, czy to przemysłu lub budownictwa, czy to rolnictwa.

Zrozumięliśmy, że tylko część, zresztą nie największa, katedr i zakładów Politechniki zajmuje się działalnością naukowo-badawczą w sensie ściślejszym. Tu przede wszystkim cytowana już chemia, w mniejszym stopniu elektrotechnika, łączność, kierunek konstrukcyjny budownictwa lądowego. Znakomita większość tkwi w pracach mających znaczenie praktyczne, jak problemy konstrukcji maszyn, projekty budowli, technologia procesów produkcyjnych. Tu decyduje nie tyle kryterium absolutnej oryginalności, ile ważność w skali gospodarki państwa czy danej gałęzi przemysłu, poziom i dostosowanie do warunków polskiej techniki i ekonomiki.

Kilka nazwisk i kierunków. Prof. Roman Kurdziel w elektrotechnice teoretycznej, prof. Jerzy Skowroński w technologii materiałów izolacyjnych, prof. Jan Kożuchowski w automatyzacji systemów elektroenergetycznych, prof. Andrzej Kordecki w konstrukcjach wielkich maszyn elektrycznych, prof. Andrzej Jellonek w miernictwie elektronowym, prof. Zygmunt Szparkowski w automatyce i telemekhanice, prof. Marian Suski w podstawach telekomunikacji, prof. Igor Kisiel w problemach fundamentowania i reologii gruntów, prof. Tadeusz Broniewski i prof. Jerzy Guerquin w historii architektury i budownictwa.

To oczywiście nic więcej jak pars pro toto, ale pars istotna.

Wyższa Szkoła Rolnicza bodaj w stopniu większym niż Politechnika interesuje się badaniami typu podstawowego, ogólniejszego. Tematyka wielu kierunków badawczych zbliża ją do badań przyrodniczych katedr uniwersyteckich.

Badania kompleksowe nad życiem gleby, nad biologią i zwalczaniem chwastów, nad przyrodniczymi podstawami melioracji, nad metodyką rejonizacji przyrodniczo-rolniczej, nad podniesieniem żywności gleb lekkich, nad zasadami analizy i planowania ekonomicznego w rolnictwie, liczne prace i kierunki badawcze z zootechniki i weterynarii, prace nad rolniczym wykorzystaniem ściętek, rejonizacja pluwiometryczna Polski, badania nad erozją gleby. Zestaw obszerny i ma się rozumieć także niepełny.

By tę część raportu o wrocławskim truciście mózgów zamknąć akcentem silniejszym, jeszcze zwięzła statystyka reprezentacji naukowego Wrocławia w Polskiej Akademii Nauk. Członków PAN jest tu trzynastu — w tym dwóch rzeczywistych, to prof. Steinhaus i prof. Trzebiatowski. A od innej strony: dwóch matematyków — prof. Steinhaus i prof. Marczewski, czterech chemików — prof. Trzebiatowski, prof. Bobrownicki, prof. Bobrański, prof. Roga, dwóch przedstawicieli nauk medycznych — prof. Baranowski i prof. Kowarzyk (jeszcze trzeci, cytowany co dopiero prof. Bobrański), trzech rolników — prof. Bac, prof. Świętochowski, prof. Konopiński, wreszcie geolog — prof. Teisseyre i elektrotechnik — prof. Skowroński. Uhonorowanie gałęzi nauk — charakterystyczne.

NIE TYLKO BILANS

Oczywista, konferencja kwietniowa stawiała przed sobą cele szersze, niż tylko zestawienie aktywów kilkunastoletniego okresu pracy, określenie naczelných dominant i akcentów środowiska wrocławskiego. Do tego, być może, nie byłaby potrzebna konferencja, wystarczyłaby okolicznościowa akademія, ot na przykład w rocznicę przybycia do płanącego jeszcze Wrocławia Grupy Kulturalno-Naukowej prof. Stanisława Kulczyńskiego czy — dzień wcześniej — jej członkowie, którą prowadził dr Antoni Knot.

Tym celem było wytyczenie programu dalszego rozwoju nauki we Wrocławiu, przy czym sprecyzowany on był w dwóch głównych kierunkach — rozwoju nauki w ogóle, zwłaszcza tych jej dyscyplin, które mają tu dobrze już ugruntowane pozycje i liczne kadry, a równocześnie szczególnego rozwoju czy wręcz kreowania takich gałęzi nauk, które posiadają bezpośrednio odniesienie do praktyki gospodarczej i społecznej regionu. Akcent na powiązanie naukowego Wrocławia z problematyką regionu stawiany był przez organizatorów bardzo wyraźnie i spotkał się z chyba równie wyraźnym aplauzem.

Jak to zwykle bywa, podstawowa praca dokumentacyjna, bilans powojennego kilkunastolecia zostały wykonane już przed konferencją, tak że jej uczestnicy mogli otrzymać do rąk gotowe referaty sprawozdawcze, bogate w fakty, nazwiska, cyfry itp. konkrety. Sama dyskusja w tym stanie rzeczy generalnego obrazu zawartego w ozych referatach problemowych nie zmieniła, tu i tam dorzucając jedynie mniej lub bardziej istotne uzupełnienia, zarazem skupiając

się raczej na cieniach niż blaskach naukowego Wrocławia i dorzucając to i owo do przygotowanego również zawczasu projektu uchwały programowej, wciągającej dwudniowe, bardzo pracowite obrady plenarne i sekcyjne.

O cieniach mowa była w sensie dwójjakim — o kłopotach trapiących w gruncie rzeczy całe środowisko, chociaż pewne dyscypliny dotkliwiej niż inne, oraz o wyraźnym niedorozwoju całej gałęzi nauk o istotnym znaczeniu dla regionu, mianowicie humanistyki, czy szerzej — nauk społecznych.

Kłopoty ogólnorośnowiskowe to chyba przede wszystkim ciasnota lokalowa, odczuwana — jeśli tak rzecz można — instytucjonalnie i personalnie. Nie brakuje paradoksów: własnego locum nie ma świetna uniwersytecka matematyka, nie mieści się w posiadanych lokalach chemia, na gwałt trzeba nowych pomieszczeń dla klinik Akademii Medycznej i Instytutu im. Hirszfelda, więc są to zmartwienia dyscyplin stanowiących bezspornie o wysokiej randze wrocławskiej nauki. Trudności mieszkaniowe we Wrocławiu nie omijają środowiska nauki. Na niedostateczne wyposażenie w nowoczesną aparaturę skarżą się liczne zakłady nauk technicznych, przyrodniczych, medycznych.

Program inwestycyjny najbliższego pięciolecia zdoła rozwiązać problemy jedynie najbardziej pilne, jak nowe gmachy uniwersyteckiej matematyki, chemii, wydziału łączności, Instytutu im. Hirszfelda, Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, wydziału filologicznego, ale wiele bardzo istotnych inwestycji trzeba będzie przełożyć na lata dalsze.

I teraz ów niedorozwój nauk społecznych, praktycznie niemal zupełna nieobecność socjologii i demografii, z pewnością niedostateczny rozwój ekonomii, ograniczenie psychologii — dyscyplin bez wszelkiej wątpliwości o wręcz elementarnym znaczeniu dla praktyki życia społecznego i gospodarczego w nowoczesnym świecie. Tu zresztą idzie o rozwinięcie nawet nie tyle badań podstawowych, ile przede wszystkim stosowanych. Że właśnie Dolny Śląsk potrzebuje tego najpilniej, dowodów nie brak.

Pilna tu jest zatem potrzeba szeroko zakrojonych badań socjograficznych i demograficznych, a obok nich trzeba przeciw rozwinąć działy socjologii takie jak socjologia przemysłu, rolnictwa czy urbanistyki, nieodzowne dla przemysłowego i świadomego formowania oblicza tej ziemi dzisiaj i jutro.

Nie ma powodu ukrywać, że walną przeszkodą dla tego koniecznego rozwoju są trudności kadrowe, odczuwane

zresztą nie tylko w dziedzinie nauk społecznych, lecz również i w pewnych działach nauk przyrodniczych czy technicznych. Ta sprawa zajęła więc z natury rzeczy sporo miejsca w obradach. Jest tu właściwie kilka spraw odrębnych, sumujących się w problem bynajmniej niebagatelny. Szybkie wykruszenie się starej kadry, niekiedy — jak na wydziale prawnym w ostatnich latach — odczuwane szczególnie dotkliwie. Stanowczo zbyt wolno postępujący proces awansu młodszego pokolenia, zbyt wysoka przeciętna wieku pomocniczych pracowników nauki. Nadmierne obciążenie pracowników nauki pracami technicznymi. Kłopoty powszechne w skali kraju, jak niskie uposażenie młodszych pracowników naukowych, i typowo wrocławskie, jak wyjątkowo niekorzystna sytuacja mieszkaniowa, znacznie gorsza niż np. w Krakowie.

Wzmocnienie kadrowe ośrodka wrocławskiego, tak silnie postulowane na konferencji, stanowi zresztą wymóg bodaj podstawowy spełnienia innych zadań, jakie są przed nim stawiane. To dalsze zacieśnienie więzi nauki z praktyką. Rzecz ma co najmniej dwie warstwy. Pierwsza to po prostu funkcje dydaktyczne zespołu wyższych uczelni Wrocławia. Ich absolwenci zasilają szkolnictwo, administrację terenową, służbę zdrowia, kadry kierownicze przemysłu, budownictwa, rolnictwa. Współdziałają wszystkie formy kształcenia, obok studiów stacjonarnych, rozbudowany system studiów wieczorowych i zaocznych na Uniwersytecie, Politechnice, Wyższej Szkole Ekonomicznej, Wyższej Szkole Rolniczej. Nadto jeszcze osobne Zawodowe Studium Administracyjne, podnoszące poziom kadr administracji całego pasa województw nadodrzańskich. Tu problem szczególnie: komu w pierwszej linii mają służyć wyższe uczelnie wrocławskie, najbliższemu regionowi śląskiemu czy całej Polsce? Sprawa niełatwa, raczej są podzielone, ale przecież nie może nie budzić niepokoju spadek procentowego udziału młodzieży z najbliższego regionu, wypieranej przez kandydatów najodleglejszych okolic kraju, dokąd wracają po ukończeniu studiów we Wrocławiu.

W innym sensie kwestia związku nauki z praktyką — jeden z koronnych tematów konferencji — znajduje swój wyraz w postaci bezpośrednich kontaktów wyższych uczelni z określonymi przedsiębiorstwami przemysłowymi, administracją rolną, instytucjami władzy terenowej. Problemy konstrukcyjne, techno-

logiczne, programowe brane na warsztat naukowy, różnorodne formy współpracy uczonego z inżynierem przemysłu czy rolnictwa. Chemia ma już takie powiązania z kombinatami w Oświęcimiu, Brzegu Dolnym, Blachowni, Kędzierzynie, elektrotechnika z zakładami wielkich maszyn elektrycznych M-5, wydział mechaniczny z fabryką kotłów parowych w Raciborzu, elektronika (i matematyka!) z zakładami elektronicznymi „Elwro”; radiotechnika z dzierżonioską „Diora”. Wyższa Szkoła Rolnicza ma na swoim koncie plan rejonizacji produkcji rolnej dla województw wrocławskiego i opolskiego. Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych utrzymuje regularne kontakty z przemysłem ceramicznym i szklarskim. Wyższa Szkoła Ekonomiczna wykonuje liczne ekspertyzy dla przedsiębiorstw i całych gałęzi przemysłu dolnośląskiego.

W tej współpracy nauki i praktyki znaczył się ostatnio pewien nowy akcent, nowy na Dolnym Śląsku. Jest nim powstanie najpierw przed dwoma laty Wrocławskiego Ośrodka Badawczego, z kolei przekształcenie go we Wrocławski Instytut Naukowy. To już zupełnie określona forma organizacyjna badań regionalnych, o których dotychczas na Dolnym Śląsku było najzupełniej głucho. Tu paradoks dostrzegany powszechnie: wrocławskimi uczonymi stoi sąsiedni Instytut Śląski w Opolu, wrocławianie wspierają Śląski Instytut Naukowy w Katowicach, ale na własnym polu ugory. Powstała więc forma dla objęcia tymi badaniami już nie tylko samego Wrocławia, lecz całego Dolnego Śląska, ma za sobą doświadczenia i Opoła, i Katowic, doświadczenia — jak wolno utrzymywać — pomyślne. Lepsze zaś poznanie specyficznych problemów gospodarki, techniki, kultury Dolnego Śląska stanowić będzie sprawne narzędzie lepszej, mądrzejszej polityki i działania.

DWA NURTY ROZWOJU

Uchwała końcowa, podjęta na zakończenie konferencji, wytyczyła główne kierunki rozwoju naukowego Wrocławia. Dość wyraźnie da się spośród nich wyróżnić dwa nurty. Jeden to nieomal wnioski realizacyjne, mające na swoje poparcie i uzasadnienie silny rozwój dotychczasowy pewnych gałęzi wiedzy i dobrze rozwiniętą kadrę naukową.

Tak najzupełniej naturalny jest postulat kreowania we Wrocławiu ośrodka teorii i zastosowań maszyn matematycznych, utworzenia ośrodka chemii jądro-

wej, rozbudowy zespołu katedr elektrotechniki i automatyki, zorganizowania ośrodka medycyny pracy, rozwinięcia melioracji i geodezji — by wyliczyć tylko kilka z kilkunastu najważniejszych kierunków.

Nurt drugi, to zespół postulatów dotyczących kreowania zgoła nowych czy silniejszego rozwinięcia pewnych kierunków naukowo-badawczych (i dydaktycznych) znajdujących we Wrocławiu uzasadnienia z racji określonego profilu gospodarki Dolnego Śląska czy specyficznych dla tego regionu procesów społecznych. Tu więc przede wszystkim technologia rud miedzi z racji Lubina, chemiczna przeróbka węgla brunatnego z racji Turowa i Ścinawy, budownictwo wodne i konstrukcje statków rzecznych z racji Odry, socjografia dolnośląska i z racji by tak rzec powszechnie znanych, i z racji powstawania nowych okręgów przemysłowych między Odrą a Nysą Łużycką. Doliczyć tutaj wypada kilka innych postulatów z kręgu humanistyki, jak przede wszystkim rozbudowa slawistyki i filologii germańskiej, wreszcie najnowszej historii Polski.

Wreszcie jeszcze jeden problem czyśto organizacyjny, ale o znaczeniu szerszym, niezmiernie dla sytuacji Wrocławia w nauce polskiej charakterystyczny. Mowa o postulacie stworzenia instytucji delegata Prezydium PAN dla środowiska wrocławskiego. Kilka lat temu Wrocław pierwszy w kraju stworzył kolegialne ciało reprezentujące wszystkie wyższe uczelnie — kolegium rektorów. Rozbudowany zespół samodzielnych zakładów i pracowni PAN stwarza również potrzebę instytucji będącej w skali środowiska czynnikiem koordynacji i reprezentacji.

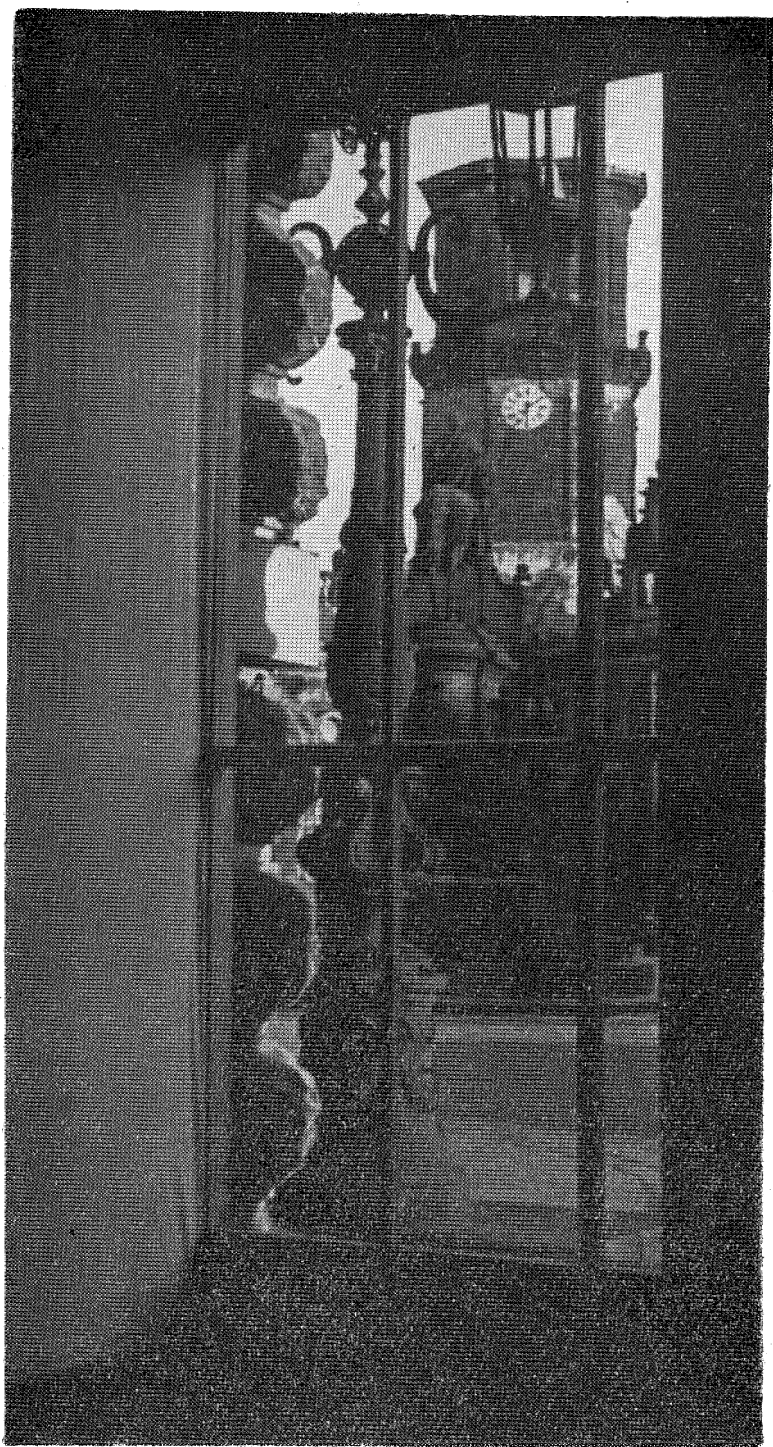
I tak kolegium rektorów wspólnie z przedstawicielem Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego i stałym delegatem Prezydium PAN stanowiłoby wielogłowy, to prawda, ale zgodnie występujący na zewnątrz organ zwierzchni naukowego Wrocławia. Sprawa z pewnością już dojrzała do takiego rozwiązania.

★

W sumie, jeśli trzeba jeszcze ten raport kończyć stereotypowym podsumowaniem, sejmik wrocławski był wydarzeniem co się zowie. Potraktowany niezwykle serio przez wszystkie partyjne i administracyjne władze Wrocławia, spotkał się też z poważnym potraktowaniem przez władze centralne. To może być dobry prognostyk na przyszłość, zapowiedź rzeczowego spełnienia programu, jaki jest jego efektem.

Niepostrzeżenie umknęła nam jeszcze jedna obserwacja istotna. W referatach nie był ewokowany problem rewizjonizmu. Owszem w dyskusji pojawiał się on raz i drugi, przecież w sumie zawsze wyłaniał się on na marginesie. Próbując streścić w paru słowach ten stan rzeczy — powiedzmy, że konferencja mówiła o tym, co zrobiono i co pozostaje do zrobienia dla nas, dla siebie. Ale sam fakt takiej konferencji, możliwość zaprezentowania rzetelnego i imponującego dorobku kilkunastolecia inaugurowanego na ruinach i zgliszczach były same przez się faktem politycznym, i to niemałej wagi. To, by tak rzec już poza protokołem, może już wykracza poza ściśle naukowe principia, ale nam — profanom — i to warto dostrzec i odnotować.

Ignacy Rutkiewicz



Drezno

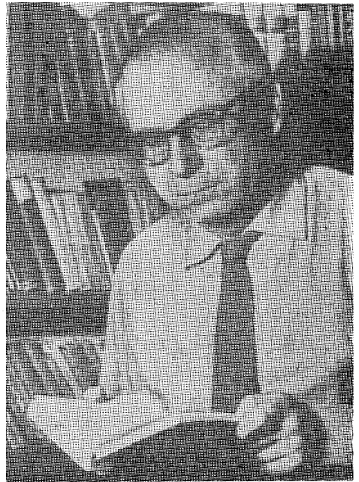
Fot. Henryk Derczyński

OBŁĘD

WOLFGANG KOEPPEN

Mogę jadać według bawarskiej tradycji kulinarnej, ale mogę także według sposobu włoskiego, bałkańskiego, chińskiego, a dzisiaj wieczorem myślę o menu według smaku francuskiego. Mam wybór. Air France dostarczyła ostryg. Wczoraj jeszcze pływały one w zielonym morzu pod Arcachon lub mieszkwały na bretońskich rafach, dziś podane zostaną mi w lodzie do cierpkiego wina z zamczysk Loary przez miłego Francuza, który studiuje filozofię niemiecką. Lokal jest bardziej burgundzki niż burgund. Moje sumienie nie ma wyrzutów socjalnych, gdy zjadam ostrygi i spoglądam na ulicę. Taksówkarz z prawej mógłby, gdyby chciał, pozwolić sobie okazjnie na muszle i wino. Nie chce; ponad muszle przedkłada swoją golonkę wieprzową; jest to sprawa albo ograniczenia, albo smaku. Karawany przybyły, wygnani znaleźli przytułek, żyją jak pod ochroną — cudowne osiągnięcie naszej społeczności. Apteka z lewa błyszczy od chromu i kryształu. Neony obiecują utraconą linię. Piękna aptekarka gasi akurat, jak jakaś Danae sceny, złocisty deszcz reklamowego światła. Przyjaciel jej czeka przed drzwiami, projektowanymi przez jakiegoś ucznia Picassa. Przyjaciel przyjechał

Wolfgang Koeppen, urodzony w roku 1906 w Greifswaldzie a wychowany w Prusach Wschodnich, należy do grupy najwybitniejszych pisarzy zachodnioniemieckich. Spośród kilku jego książek karierę światową zrobiła powieść „Śmierć w Rzymie”, przetłumaczona również na język polski. Jest to opowieść o reakcji faszystowskiej w Niem-



czech zachodnich po wojnie, wysnuta z losów dwóch rodzin niemieckich: byłego hitlerowskiego nadprezydenta, obecnie oportunistycznego zachodnioniemieckiego burmistrza, oraz byłego generała SS, obecnie sprzedawcy broni dla pewnego państwa arabskiego. Zamieszczony obok szkic pochodzi z niezwykle interesującego zbioru esejów piętnastu zachodnioniemieckich pisarzy i naukowców, wydanego niedawno w NRF przez Wolfganga Weyraucha (członka postępowej grupy literackiej „Gruppe 47”) pod tytułem „Ich lebe in der Bundesrepublik”. Szkic Koeppena, mimo apokaliptycznej przesady i chociaż nie z każdym jego zdaniem można się zgodzić, dobrze oddaje nastroje ucziwej części społeczeństwa w NRF.

białym sportowym samochodem. Dach jest opuszczony. Wieczór jest łagodny. Radio gra amerykańską melodię o urodzie Wirginii. Dziewczęta ubrane są jak w Nowym Jorku lub Paryżu, ufryzowane jak w Londynie lub w Rzymie. Nie są to jakieś dziewczęta spod znaku BDM¹⁾. Nie ma dla nich ograniczeń. Nikt z nas nie jest ograniczany. Nie wydaje się, by ktoś głodował; nie wydaje się także, by ktoś sobie przypominał, dlaczego został wygnany ze swego rodzinnego kraju. Żyję w republice federalnej. Czy żyję w raju?

Utyłem. Nie oczekiwałem tego. Gdy spoglądam w lustro, widzę coś nieprzyjemnego. Widzę Kalibana, potwora lub też pieczeń, którą tuczy się dla Kalibana. Nie skarzę się. Przyglądam się innym gościom, obserwuję znowu przechadzających się na zewnątrz i czuję, że wszyscy dojrzeliliśmy do uboju. A więc dobrze. Po ostrygach zjadam kaczkę à la rouennaise. Ptaszę jest delikatne i tłuste. Kto by tam jednak współczuł biednemu zwierzęciu? Czy nie spełniły się wszystkie oczekiwania? Gdy ktoś dzwoni o świcie, wiemy, że jest to mleczarz. Ale to nie jest mleczarz; mleczarz jest królem i nie wstępuje do domu, nie jest to także człowiek z ochrony konstytucji w lodenowym płaszczu. To dzwoni goniec z telegramem i przekazuje mi pytanie: żyjemy w republice federalnej, niech pan odpowie za honorarium. Pisarz nie jest w Niemczech bożyszczem narodu, ale przyczynia się do jego wymiany duchowej.

A więc żyję dobrze. Kim jestem — Jasiem, który z wszystkiego jest zadowolony, czy też persilem, najlepszym proszkiem do prania, jaki kiedykolwiek istniał? Nawet wydawcy i redakcje honorują mój publicznie uznany non-konformizm. Skąd zatem bierze się jeszcze to niemiłe uczucie? Pewien krytyk stwierdził, że cierpię na nadmiar kwasów żołądkowych. Ależ nie, wcale nie! Moją chorobą jest nadmiar radosnego zaufania do dnia bieżącego. Nawet owego krytyka rozgrzesza moja łagodność.

Posiadam dobry paszport a podróżujące grupy moich rodaków zalewają ziemię. Czy coś widzą, czy coś przeżywają, czy się czegoś uczą? Plac św. Marka jest niemiecką kawiarnią, Morze Śródziemne prawdziwym „mare germanicum”, a w Zielone Świątki do nas ostatecznie należy Paryż. Siła przez radość²⁾ u stóp Akropolu, weekendowe wycieczki do Madrytu a potem na Florydę, nie żaden tam Legion Condor³⁾, lecz po prostu Lufthansa rozpościera swoje skrzydła i już szef w stepach Safari poluje na nosorożce. Cieszę się, gdy z podróży wracam do ojczyzny. SS-mani nie noszą już trupiej główki na czapkach. Urzędnicy są grzeczni. Ale te głosy! Na lotnisku we Frankfurcie, na skrzyżowaniu czarodziejskich dywanów, język ojczysty staje się nazbyt przenikliwy. Za każdym okienkiem czstuje się świat rozkoszami niemieckiego charakteru. Nie o słowa chodzi, ale o ich dźwięk. Człowiek jest mały wobec wszechświata i nie dostrzega tego. Miało się doskonałą szansę, żeby zostać Dawidem, ale bez ustanku pozuje się na Goliata. We wszystkich podróżach kupuje się za mocne niemieckie marki stare kłamstwo, jakobyśmy byli pepkiem świata. Żyje się rozpaczliwie nierealnie.

¹⁾ BDM — skrót nazwy hitlerowskiej organizacji dziewcząt w okresie III Rzeszy.

²⁾ Siła przez radość, czyli Kraft durch Freude — organizacja z czasów Hitlera, zajmująca się sprawami wypoczynku i rozrywki po pracy.

³⁾ Legion Condor — nazwa hitlerowskiej formacji lotniczej, biorącej udział w wojnie domowej w Hiszpanii po stronie faszystowskich oddziałów generała Franco.

Zdarzył się cud, ów zbyt często cytowany cud gospodarczy. A zatem teraz obwija się głowy w drogie chusty. Wypiera się tego, co było, nie przeczuwa się, co będzie. Zapomniano o martwych, wybaczone mordercom, miasta nasze — czyż nie przewidział tego ów Potwór? — zmartwychwstały piękniejsze niż kiedyś były: złym snem są ruiny, nie jest prawdą odepchnięcie nas przez świat. Nieprawdziwe są także fakty: Polska przeżyła cztery rozbiory, i to na długie stulecia, Niemcy rozdarte są od piętnastu lat na skutek wojny i zuchwalstwa; wielką naszą nadzieją, którą powinniśmy pielęgnować, mogłaby być Europa lub zjednoczony świat, ale nasi mówcy żądają w niedzielę granic z roku 1938 i spokojnie oraz bez wyobraźni przyglądają się martwej ludzkości. Nikt poważnie nie porusza tego problemu. Niech sobie minister gada, co chce. My jemy ostrygi lub golonkę wieprzową. Nie jesteśmy specjalnie zachwyceni, staliśmy się trzeźwi, ale młodzi nasi ludzie, nasze okrzykane uparciuchy dzielnie idą do koszar. Rozważa się istnienie stanu wyjątkowego z wszystkimi okropnościami dyktatury. Jaki stan wyjątkowy? Minister obrony oświadcza, że Rosja boi się wojny. Przed kim zatem chce nas bronić? Dlaczego się zbroi? Czerwony przywódca domaga się rozbrojenia aż do ostatniego żołnierza. My śmiejemy się złośliwie i krzyczymy: Utopia! Czemu nie wzrusza nas taka przyszłość? Czy należy wierzyć tylko w zło? Dlaczego nie łapiemy komunistów za słowo? Oblicze czerwonego przywódcy jest poważne. Jego oczy zdają się widzieć wielkie pole trupów, od którego może nam się zakręcić w głowie. Może Rosjanin kłamie. Nie wiem. Ale jeśli nie kłamie — ofiarowuje pokój, a nasz śmiech jest w każdym razie głupawy.

„Ale czy pan nie ma ochoty bronić swoich ostryg, pięknej aptekarki, samochodu sportowego, dobrego paszportu, z którym wszędzie może pan podróżować, wydawców i redakcji, nie stroniących od swobodnej dyskusji, prawa do opublikowania pańskiego szkicu”? Oczywiście, że tego pragnę, wszystkich tych praw bronił będę do ostatniego tchu, ale jako naród nie mam ochoty znowu grać roli tygrysa. Dwukrotnie pobiły nas bronie, generałowie dwukrotnie poprowadzili nas sławetnie w śmierć. Potem zaś zażądali swoich emerytur, w pamiętnikach klęski swoje przemienili w zwycięstwa, a w „Soldatenzeitung” nawołują do nowego umierania i lżą niedołęzne państwo, które opłaca ich uwiad starczy. A może byśmy raz spróbowali żyć przyjaźnie? Czy nie należy spieszyć z pomocą również swoim sąsiadom? Doktryna, nazwana imieniem niejakiego pana Hallsteina, twierdzi, że nie może być to, co być nie powinno.

Żyję w republice federalnej, spokojny obywatel, przestarzały gatunek. Nie wierzę, że długo jeszcze będę tak żył. Cuda nie trwają ciągle. Okresy ochronne kończą się według kalendarza. Nie byłoby to straszne, gdyby chodziło o przyszłość i jej konieczność. Ale wzdrzgam się przed umieraniem za brak rozsądku innych ludzi. Nie cierpię u nas wielu twarzy, wydarłych diabłu, rozbitych przez epokę masek śmierci, jak nam się wydawało, ale gdy myślę o roku 1945, sędzę, że wówczas, w tamtym okresie winien był począć się ruch pobitych, wiara tych, co sprzeciwiają się gwałtowi, skruszonych, pozbawionych sztandarów, ponadnarodowych, ludzi o braterskich uczuciach i dobrej woli w końcu. W tym samym stopniu absurdalna co wstrętna jest reprodukcja naszej poczciwości, tak jak ona się ujawnia w filmach, w odcinkowych powieściach magazynów ilustrowanych, w ogłoszeniach matrymonialnych, w kolorowych stowarzyszeniach, w reńskich czapeczkach błazeńskich oraz w załamanych ponownie czapkach leutnantów. Nieraz chce

mi się płakać nad delikatną rośliną naszej demokracji; w dumnych przylotach i odlotach, w podniosłych salutach i w zwycięskich wystąpieniach obłędu widzę, jak mi się zdaje, znak ostrzegawczy.

Jestem pisarzem. Niemieckim pisarzem. Nie chcę być niczym innym. Ale Hermann Kesten⁴⁾ porównuje naszą federalną krzątaninę pisarską do zorzy wieczornej. Czy oznajmia ona noc? Czy przynosi pogodny dzień? Nie odważam się przeczyć Kestonowi; nie wierzę w pogodny dzień.

**Przełożył i podał do druku
WILHELM SZEWCZYK**

⁴⁾ Hermann Kesten, wybitny współczesny pisarz zachodniemiecki, w okresie Hitlera na emigracji, ostrzegający dziś przed nawrotem faszystów w Niemczech.

Ranek nad Łabą

Fot. Tomasz Olszewski



Nieobecność

*Jest stary król — rondel
okopcony przez westnienie gazowych płomieni
jest miednica — królowa misek
cały korowód służek
garnczków
filizanek
spodeczków
jest też tarka
co wstydzi się wystraszonych skrzydełek
wiecznie patrzący durszlak — minister wywiadu
i podkomendny czajniczek
piec jak baszta
wszystko tu jest jak w najprawdziwszym królestwie
srebrna łyżka — kurtyzana
i drewniana kopyść
bezmyślna wykonawczyni wyroków
na niewinnych kartofelkach
i tasak
i kosz
i ogień
i woda
wszystko jest w komnacie twego królestwa
tylko ciebie nie ma
reżyserko z purpurowego fartucha*



Dobrzy umarli

*Umarli polykają świeczki jak cyrkowi łażni
W żołądkach noszą wiekuiście światło
i ciepło w żyłach
Przychodzą do nas nocą w kapeluszach ze stearyny
na progu zostawiają buty wyschłe jak studnie
i swoją śmierć
Żonglują świecącymi żołądkami
żebyśmy ze śmiechu nie poumierali.*

Pogody

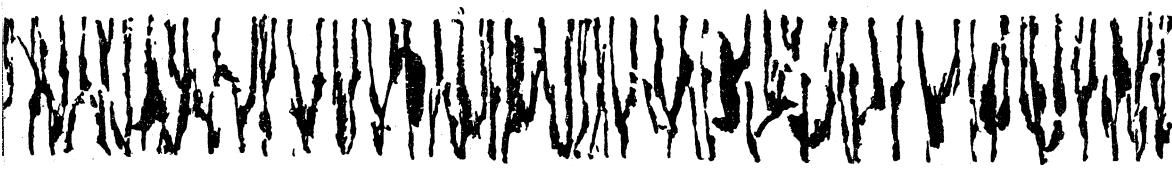
I.

*Gniazdo wyśpiewuje ptaka
wiosną chłopcy strąca z drzewa śpiewające gniazdo
Kwiaty pachną łąką
latem maszynista zapali nad kwiatami gwiazdę lokomotywy
Morze żyje wśród ryb
zimą marynarze wrzucą do morza łódź prochu*

II.

*Zawsze mieszka we mnie mój dom
miejsce zabrane ludziom spod stóp.*

Janusz Koniusz



Na wstępie stwierdzenie: nie należę do entuzjastów konkursów literackich ani do tych, co wierzą, że konkursy w sposób szczególnie sprzyjają rozwojowi twórczości literackiej, aktywizacji kształtujących się młodych środowisk pisarskich czy wzmoczeniu zainteresowań pisarzy określonymi dziedzinami tematyki. Ten brak entuzjazmu wynika z pewnej sumy doświadczeń, jakie przyniosły nam tak liczne w latach powojennych wielkie i małe konkursy, zarówno ogólne, jak określone jakimś zakresem potrzebnej i pozytywnej tematyki. Doprawdy na palcach jednej ręki zliczylibyśmy wybitniejsze utwory, które wyszły z takich konkursów i ostały się w literaturze. Ciągle np. mam w pamięci ogłoszone jeszcze kiedyś w krakowskiej „Twórczości” zestawienie, sporządzone przez jednego z naszych teatrologów, w którym utrwalono wyniki konkursów na utwory dramatyczne z okresu lat kilkudziesięciu. Spośród nagrodzonych kilkuset utworów tylko bardzo niewielka garstka zaznaczyła się jakoś w historii polskiego teatru i bardzo szczupła cząstka zasilila okresowo jego repertuar. Udokumentowane tym zestawieniem doświadczenie potwierdziło mi się kilka lat temu na wielkim konkursie dramatycznym Rady Narodowej miasta Krakowa. Wpłynęło na ten konkurs ponad 220 sztuk, nagród pierwszej i drugiej nie można było przyznać żadnej z nich, a te, które wyróżniono nagrodami trzecimi, poszły do lamusa i tylko jedna została wystawiona na jednej jedynej scenie prowincjonalnej, objazdowej.

Mimo tych doświadczeń polityka konkursowa kwitnie u nas w najlepsze. Ostatni rok przyniósł nawet pewien zalew konkursów literackich: co najmniej kilkanaście z nich właśnie się rozstrzyga, a drugie tyle trwa w oczekiwaniu na napływ prac. Nawet Warszawa, nie syła varsavianów, ogłosiła aż dwa konkursy — powieściowy i dramatyczny. A tymczasem przecież jedno z istotnych założeń konkursu literackiego — stworzenie szansy dla młodych talentów — dzisiaj stało się w dużej mierze iluzoryczne. Wydawnictwa czekają na dobre powieści i nowele, nie unikają ryzyka debiutów, teatry usychają z tęsknoty za dobrymi sztukami polskich autorów. Jest rzeczą mało prawdopodobną, by młody, utalentowany autor nie wywalczył sobie druku swej pierwszej interesującej książki czy scenicznej realizacji swojej sztuki. Wydawnictwa i teatry są raczej skłonne do udzielania debiutantom dość dużego kredytu.

W polityce kulturalnej pewne jeszcze

uzasadnienie znajdują konkursy tematyczne. Ale i tu już dochodzimy do sformułowań absurdalnych, skoro ogłasza się konkursy na powieść, której akcja toczyć się będzie na terenie województwa bydgoskiego lub na ziemiach Polski południowej ze szczególnym uwzględnieniem województwa rzeszowskiego. A takie konkursy zostały niedawno ogłoszone.

Z tymi wszystkimi oporami i wątpliwościami przyjmowałem propozycję wzięcia udziału w pracach jury konkursu literackiego i publicystycznego, ogłoszonego na II Zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich w Katowicach, konkursu którego fundatorem były Rady Narodo-

P l o n wrocławskiego k o n k u r s u

ZDZISŁAW HIEROWSKI

we miasta i województwa wrocławskiego, a organizatorem Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Był to konkurs tematyczny: chodziło o prozę — powieść i opowiadania — i publicystykę poświęconą problematyce ziem zachodnich i północnych ze szczególnym uwzględnieniem okresu od roku 1945. Człowiek bywa jednak niepoprawnym optymistą. Toteż i tym razem dałem się skusić nadziejom. Byłoby jednak przyjemnie asystować przy narodzinach nowych wartościowych książek, poświęconych sprawom i problemom, za którymi agitowało się tyle lat.

Pod tym względem konkurs ten dostarczył mi jednej większej satysfakcji. Źródłem jej nie była, niestety, żadna z nagrodzonych powieści, lecz ostatnia zażarta dyskusja jurorów. Ścieraliśmy się dość długo w ocenach powieści, która wszystkich zafrapowała swoim tematem, nowym i dramatycznym, ale która nie znalazła jednolitej oceny swoich wartości artystycznych. Autor jej podjął problem podwójny: winy i ekspiacji za zbrodnię popełnioną w czasie ostatniej wojny przez żołnierza Wehrmachtu, po-

chodzącego z Opolszczyzny, oraz konfliktów między ludnością miejscową na Opolszczyźnie a repatriantami. Ani jednego, ani drugiego problemu nie udźwignął, ale przebieg owych konfliktów między dwiema grupami ludności naszkicował tak dramatycznie, wypełnił tylu świetnymi szczegółami, że zasiadający w jury pisarze spoza Śląska byli rozentuzjasmowani. Orzekli, że temat jest znakomity, że autor powieści wprawdzie spadł z konia, ale ten koń jest wysokiej klasy. I nagrodzili ten upadek. Nie przesądzajmy zresztą sprawy: może autor się z tego wygrzebie i powieść otrzyma w końcu kształt kwalifikujący ją do opublikowania. Satysfakcja zaś, o której była mowa, polegała na tym, że pisarze, którzy nie mieszkają na ziemiach zachodnich, przekonali się namacalnie, na żywym materiale literackim, jakie znakomite i wielkie konflikty ludzkie i społeczne tkwią w życiu, które się tutaj toczy, jak wielkiej rangi tematy pozostały przez nich nie dostrzeżone.

Ale jedna satysfakcja to chyba za mało. Była i druga, znacznie ważniejsza. Konkurs, mimo swoich nierewelacyjnych wyników, stał się doskonałym potwierdzeniem tezy, że nie temat decyduje o regionalnym charakterze i regionalnym zasięgu dzieła literackiego. Ziemia zachodnie i północne to wprawdzie region — jeżeli w ogóle w ten sposób można je nazwać — olbrzymi, ale przecież każdy z utworów konkursowych rozgrywał się na jakimś znacznie węższym terenie, w bardzo określonym środowisku i ześlizgnięcie się autora ku sprawom nieważnym, zewnętrznym i drugoplanowym było tu bardzo łatwe. Zresztą znalazło się wśród prac nadesłanych kilka takich, które bardzo żywo przypominały znane modele literatury regionalnej ze wszystkimi jej schematami i pływaczami; były też powieści eksploatujące z upodobaniem małe plotki wielkiego miasta. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę utwory nagrodzone i wyróżnione, stwierdzić nam przyjdzie, że mimo swoich braków zdołały one nadać tematowi, czerpanym z konkretnych środowisk ziem zachodnich, rangę wysoką, wypełnić je treścią ludzkiego przeżycia i nadać temu przeżyciu sens ogólniejszy i głębszy, który zdolny jest zainteresować nie tylko czytelnika z tych terenów, ale po prostu każdego odbiorcę literatury. Organizatorzy domagali się od uczestników konkursu powieści i opowiadań z życia ziem zachodnich, otrzymali natomiast coś więcej: polskie powieści współczesne osnute na tematyce tych ziem.

Posłuszmy się przykładami. Leszek Prorok w powieści „Powroty” odtworzył losy i przeżycia ludności polskiej na dawnych krańcach polszczyzny, w rejonie Piły, gdzie Polacy zachowali się tylko jako wyspa w niemieckim morzu, odtworzył je w dwóch warstwach czasowych: dawnej, wspomnieniowej, i współczesnej. Zrobił to bez patriotycznej sztampy i szablonów, pokazał to środowisko w sposób bardzo zwyczajny, ludzki, bez deklamacji i frazesów na temat ich walki o polskość, bez jałowych utyskiwań na ich nieefektywny los dzisiejszy. Postacie jego powieści poza poczuciem polskości, patriotyzmem, poza oddaniem sprawie narodowej mają bogate i urozmaicone życie wewnętrzne, swoje bardzo osobiste i własne problemy i konflikty, według których przede wszystkim układa się ich los. I to jest największa zaleta tej powieści.

Maciej Patkowski w pełnej wad i niedociągnięć powieści pod efekciarskim tytułem „Kto rozpala sobótki” *) podbudował dolnośląską partię utworu, skoncentrowaną w Świdnicy, doskonałą partią powieściową zaczerpniętą z życia wsi podkarpackiej. Powieść nabrała przez to szerszego oddechu, problem wędrowni chłopca polskiego na Zachód, pokazany na przykładzie tylko dwojga ludzi, rodzeństwa, otrzymał bardzo interesującą, mającą ogólniejszy aspekt motywację.

Wreszcie dwa inne przykłady: krótkie powieści Tadeusza Mikołajka „Zarówka” i Elżbiety Drzewińskiej „Oczekiwanie”. Obydwie one są powieściami o powojennym pokoleniu polskiej młodzieży, ale osadzone bardzo konkretnie i wyraźnie w środowisku dźwigającego się z ruin Wrocławia, w którym życie kłębi się i wre od wymieszania różnych elementów ludzkich, w którym wszystko się zaczyna od nowa.

Podobnie rzecz się przedstawia z innymi nagrodzonymi i wyróżnionymi utworami, niezależnie od tego, że reprezentują one bardzo odmienne i różne typy prozy powieściowej, od tradycyjnej, ocierającej się o banał literacki powieści środowiskowo-obyczajowej — jak „Ludzie na ziemi” Krystyny Urbanowicz — do korzystającej dość jeszcze powierzchownie z wzorów prozy nowoczesnej krótkiej powieści, operującej zwięzłą, dramatyczną konstrukcją, dialogiem i sytuacją. Moim zdaniem laureaci konkursu w swoich utworach wydzwignęli

*) Jak wynika z określenia drukowanych w bieżącym numerze „Odry” fragmentów nagrodzonej powieści, autor już tytuł zmienił (przyp. red.).

— każdy na swój sposób — temat z życia ziem zachodnich, z wybranych przez siebie środowisk, do rangi polskiego tematu współczesnego. I to jest chyba w końcowym rozrachunku tego konkursu najcenniejsze.

Tak więc konkurs wrocławski jest w historii ziem zachodnich jako tematu literackiego bez wątplenia pewnym krokiem naprzód, wprowadza ten temat z regionalnych opłotków, z krępujących go schematów patriotycznych, pokazuje jego szerokie możliwości i perspektywę. Patrząc na rezultaty konkursu od strony czytelnika, wróżyć pewne powodzenie kilku nagrodzonym utworom, a więc powieści Leszka Proroka „Powroty”, Macieja Patkowskiego „Kto rozpala sobótki”, Tadeusza Mikołajka „Zarówka”, wreszcie powieści Krystyny Urbanowicz „Ludzie na ziemi”, najmniej ambitnej literacko, ale interesującej pod względem fabularnym i w sposobie odtworzenia procesu żywania się różnych ludzi z nową ziemią na zachodzie, mogącej liczyć na szerszy krąg czytelników, których upodobania zaspokaja najzupełniej tradycyjny model prozy powieściowej. Należy ponadto oczekiwać, że ceną pozycją może się stać powieść Albina Siekierskiego „Odra płynie powoli”, jeżeli autor nie poskąpi jej jeszcze pracy.

Zresztą bodaj wszystkie nagrodzone utwory wymagają ostatniego szlifowania autorskiego, a w niektórych wypadkach nawet poważnych ingerencji. Patkowski bowiem dał w swej powieści dziwny melanz powieści chłopskiej, produkcyjnej i kiepskiego romansu, przy czym powieść łamie mu się kompozycyjnie w połowie, z chwilą, gdy podejmuje jej drugi główny wątek i cofa akcję o lat kilkanaście. A Jerzy Piński („Oni przyszli po miasto”) i Romuald Cabaaj („Rozdział pierwszy”) przedłożyli właściwie konspекty utworów powieściowych, bardzo niepełne szkice powieściowe, którym — moim zdaniem — jury udzieliło dużego kredytu. W wypadku Pińskiego niektórych członków sądu konkursowego znów urzekł temat — zburzone miasto nad Odrą, zamieszkałe przez Niemców, i grupka, bardzo zresztą różnorodna i ciekawie naszkicowana, pionierów, którzy zaczynają tu budować nowe życie.

To niedopracowanie większości nagrodzonych i wyróżnionych utworów jest jedną z cech charakterystycznych konkursu. Czasem mógł tu zawinąć pośpiech podyktowany terminem, przeważnie jednak niedociągnięcia poszczególnych utworów wynikają z niedostatku warsztatu pisarskiego.

Bo jeszcze jednym rysem charakteryzującym wyniki konkursu jest przewaga

młodych piór. Poza Leszkiem Prorokiem, doświadczonym uczestnikiem i laureatem wielu konkursów, i Romualdem Caba-jem, wszyscy inni nagrodzeni i wyróżnieni autorzy to pisarze młodzi, bądź też znajdujący się dopiero w początkach pracy pisarskiej: Patkowski, Mikołajek, Siekierski. Poza tym konkurs przyniósł trzy debiuty: Jerzego Pińskiego, Elżbiety Drzewińskiej i Krystyny Urbanowicz. A zatem i pod tym względem okazał się on nie bez znaczenia, o ile oczywiście debiuty te spełnią pokładane w nich nadzieje.

Był też konkurs dużym sukcesem wrocławskiego środowiska literackiego: wśród pięciu nagrodzonych autorów znalazło się dwóch przedstawicieli tego środowiska, a z trzech wyróżnieni wszystkie zagarnęli również wrocławianie. Do niedawna udział prozaików był w życiu i rozwoju tego młodego środowiska literackiego niewielki. Wyniki konkursu, w których efektowne debiuty Patkowskiego i Mikołajka sprawdziły się, zmieniają tę sytuację i każą wiązać z młodą prozą wrocławską pewne nadzieje na przyszłość, zwłaszcza jeżeli ci dwaj autorzy zdołają uniknąć łatwizny i uwolnią się od nacisku dość łatwo i powierzchownie przejmowanych wzorów. Po Wrocławiu drugi z kolei sukces odniósł Poznań dzięki zdobyciom nagród drugiej i trzeciej — Leszkowi Prorokowi i Jerzemu Pińskiemu. Na trzecim miejscu wreszcie znalazły się Katowice, skąd pochodzi laureat trzeciej nagrody — Albin Siekierski, autor powieści „Odra płynie powoli”, tej właśnie najbardziej dyskutowanej i spornej. Takie środowiska literackie, jak Szczecin — który, sądząc według tematyki, reprezentowany był w konkursie kilkoma pozejejami — Olsztyn czy Zielona Góra odpadły na półmetku, choć i wśród tych utworów znajdują się pozycje godne zainteresowania wydawcy i dalszej pracy autorów. W każdym razie potwierdza się jeszcze jedno doświadczenie: literaturę o tematyce ziem zachodnich tworzą przede wszystkim środowiska na tych ziemiach rozsiane; one to stopniowo, wysiłkiem swoich młodych piór wprowadzają ten temat do polskiej literatury współczesnej. Oczywiście środowisko poznańskie i katowickie wchodzą w zespół tych środowisk bez zastrzeżeń ze względu na silne powiązania strukturalne z terenami odzyskanymi po roku 1945, współpracę z nimi i konsekwentne zainteresowanie skupionych tam literatów problematyką tych obszarów.

Natomiast udział środowisk literackich spca ziem zachodnich był w konkursie bardzo niewielki i — jak świadczą wy-

niki — nieciekawej. Przy bardzo słabej konkurencji w konkursie publicystycznym jedyna nagroda przypadła publicyście z Warszawy, redaktorowi Alojzemu Srodze za tom reportaży „Ludzie z Wału”, dający dość zresztą efektowny, choć i powierzchowny zarazem obraz życia w rejonie Wału Pomorskiego w latach 1945—1950.

Poza nagrodami i wyróżnieniami konkurs wyłonił kilka prac, które zasługiwałyby na zainteresowanie i opiekę wydawcy, w tym wypadku Ossolineum i jego redakcji literatury współczesnej, której praca rozwija się interesująco i która ma już na swoim koncie kilka sukcesów wydawniczych. Ten drugoplanowy rezultat konkursu też nie jest do pogardzenia: za godłami, którymi opatrzone są owe prace, z całą pewnością kryje się kilku autorów młodych, początkujących, którym należy się życzliwa

pomoc i rada, a to przede wszystkim dla dobra i rozwoju środowisk literackich, z których pochodzą, gdyż z dużą dozą prawdopodobieństwa chodzi tu o środowiska z ziem zachodnich.

Konkurs wrocławski był konkursem jednym z wielu. Jak wiele innych tego rodzaju imprez przyniósł raczej plon przeciętny. W sumie jednak dał pewne konkretne korzyści zarówno w postaci interesujących książek, jak i w formie możliwości dalszej pracy z młodymi autorami, którzy wzięli w nim udział. Sądzę też, że dla wzrostu zainteresowań pisarskich tematyką ziem zachodnich i północnych rezultaty tego konkursu nie pozostaną bez znaczenia. A więc jakaś sumia satysfakcji w ostatecznym rozrachunku pozostaje. I pozostają nadzieje.

Zdzisław Hierowski

Fot. Gustaw Rózański



Przemówienie laureata

LESZEK PROROK



Szanowni Państwo, Drodzy Koledzy.

Zabieram głos ze zrozumiałym wzruszeniem i obawą. Wzruszeniem, gdyż piękna i wielka idea przyświecała konkursowi, w którym dane nam było odnieść osobiste sukcesy.

Wierzę, że każdemu z uczestników towarzyszyło przekonanie, iż nie tylko o rezultat literacki tutaj chodzi. Że naszym trudem i pracą mogliśmy raz jeszcze potwierdzić fakt, iż działanie czynem i słowem na rzecz życia i rozwoju ziem zachodnich wyrasta z najżarliwiej przez wszystkich Polaków akceptowanego programu.

Naszemu pokoleniu dane jest zdawać ciągle trudny egzamin stosunku do historycznej szansy, tak wielkiej, jakich kilka tylko notuje tysiąclecie historii naszego narodu.

Wzruszenie — gdyż łączy nas nie od dzisiaj uznanie i szacunek dla inicjatorów literackiej imprezy, gdyż znajdujemy się w mieście, które liczę do kilku najdroższych i najbardziej kochanych miast. Zwykło się wybierać poligami-czny charakter takich wyznań, proszę więc i ja o wyrozumiałość.

Zaś obawa — bo nie chciałbym kilku chwil przemówienia rozmienić w słowach konwencjonalnych, wiemy zaś, jak trudno nie być konwencjonalnym w sytuacjach podniosłych.

W sukurs przychodzi mi jedna z ulubionych książek: „Rozmyślania” Marka Aureliusza, pisana w latach 171—174 „wśród Kwadów nad Granem”.

Pierwsza z dwunastu ksiąg zapisków cesarza-filozofa nosi charakter autobiograficzny. Przedziwnie mądra to biografia, która nie dozwala odmieniac zaimka „ja”, lecz przytacza rejestr osób ogarniętych wdzięcznością biografą i jego gorącą pamięcią.

Mówi zatem Marek Antonin, komu i za co winien wdzięczność. A więc: An-

niasowi Werusowi — za wzór domu rządzanego po ojcowsku; matce, dziadkowi — za atmosferę dzieciństwa; cynikowi Diognetosowi — za zrozumienie życia podług natury; niejakiemu Sekstusowi — za ducha życzliwości; Aleksandrowi Grammatykowi — za niechęć do ganienia innych.

Jakiż piękny wzór na wiele życiowych okazji; pozwólcie, że i ja się nim postuję, by wyrazić kilka słów wdzięczności.

A więc Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich — za nasze humanistyczne wychowanie. Któż z obecnych tutaj nie wzrastał w otoczeniu ksiąg i tekstów z tym znakiem wydawniczym. Było Ossolineum — jeśli ktoś nawet uciekał przed szkolną lekturą — dla wszystkich gwarantem, że pieczętowane jego godłem pozycje należą do najcenniejszych dóbr, jakie dziedziczymy po przeszłości. Tę długą galerię rozpoczynał Homer i zbiór okrucichów liryki starogreckiej. Świadomość, że jedna z moich książek ukaże się z ossolińskim znakiem wydawniczym, onieśmiela, lecz zarazem głęboko wzrusza. Kolegom wrocławskim, być może, spowszedniała ta emocja. Ja przeżywam ją głęboko.

Radom Narodowym — Wojewódzkiej i Wrocławskiej — za ich życzliwy stosunek do ogółu autorów zamieszkujących ziemie zachodnie oraz zainteresowanych życiem tych ziem — za hojny impuls, który stał się początkiem tego konkursu, za pomoc i opiekę, która nadała kształt pracom Komitetu Porozumiewawczego Pisarzy Ziemi Zachodnich.

Mgr Gerardowi Nowakowi — za jego owocną przyjaźń dla pisarzy, którą wszyscy wielce cenimy.

Członkom jury — za udzielenie autorytetu artystycznego tylu znakomitych nazwisk naszym staraniom i pracom.

Wrocławskiemu oddziałowi Związku Literatów Polskich — za ducha żywej

przedsiębiorczości i wzór godzenia nas-
szych zainteresowań zawodowych ze
służbą społeczną.

Tymoteuszowi Karpowiczowi oraz
wszystkim Koleżankom i Kolegom z tu-
tejszego środowiska pisarskiego za peł-
ne życzliwości koleżeństwo, ważny czyn-
nik zjawiska, które wystąpiło nad Odrą,
Nysą, Wartą i Pasęką w latach, jakie
upłynęły od inicjatywy wrocławskiej —
Zjazdu w Dusznikach. Myślę o szerzej
pojętym środowisku pisarskim, które
wyrasta poza granice Katowic, Opola,
Wrocławia czy Szczecina, a staje się
wartością coraz bardziej realną w na-
szym życiu.

Wśród nagrodzonych widzę twarze do-
brze znane z dorocznych zjazdów pisarzy
ziem zachodnich, z poznańskich semina-
riów prozy oraz innych podobnych oka-
zji. Znam wiele radości i kłopotów tych
kolegów, sądzę, że i moje są niejednemu
z nich znane.

Mamy więc prawo mówić, że ogarnia
nas teżejące i wspierające się środowi-
sko literackie polskiego Zachodu, że nie
jesteśmy podzieleni na drobne grupki
i samotne białe żagle, rozrzucone rzadko
jak punkciki świetlne na granatowym
firmamencie.

Mamy obowiązek spójność tę pogłę-

biać; okoliczność, która nas tutaj zgro-
madziła, przyczyniła się do integracji
kulturalnej polskiego Zachodu.

Otrzymaliśmy dziś nagrody i wyróżnie-
nia, lecz Konkurs Ziem Zachodnich nie
został rozstrzygnięty do końca. Gdy
ukazą się drukiem wszystkie prace i gdy
minie pół roku lektury — miejmy na-
dzieję: chętniej i powszechniej — trybunał
czytelników dokona ostatecznego zam-
knięcia i oceny.

Chcę wierzyć, że werdykt ten wypad-
nie pomyślnie dla wydawnictwa, organi-
zatorów, jurorów i laureatów. Że wyda-
rzenie, w którym mogliśmy wziąć udział,
uznane zostanie za sprawę cenną i lu-
dziom potrzebną.

W zakończeniu pragnę podkreślić, że
konkurs przyniósł przede wszystkim zbio-
rowy sukces pisarskiemu środowisku
Wrocławia. Pozwólcie, że w imieniu
Warszawy, Katowic i Poznania złożę tu-
taj wszystkim miejscowym serdeczne
gratulacje.

Pozwólcie także, że my — przybyli tu
mieszkańcy innych miast kraju — złą-
czeni bliżej niż dotąd więzami koleżeń-
stwa konkursowego, będziemy się odtąd
uważać także za wrocławiaków *honoris
et operis causa*.

Leszek Prorok



fragmenty powieści
pt. „Saga miasta Świdnicy”
nagrodzonej w konkursie literackim
na utwór o ziemiach zachodnich

Gdy Karol wrócił z wojska do swego domu na Podkarpaciu, dowiedział się o śmierci ojca i wyjeździe ze wsi dziewczyny, w której się niegdyś podkochiwał. Przemysłny brat Karola cichaczem przepisał całą ziemię na siebie. Zaprowadził w gospodarstwie nowe porządki. Zamiast siał żyto i sadził kartofle, założył sad, kupił za bezcen poniemieckie bunkry, gdzie zorganizował hodowlę pieczarek. Po wielu scysjach z bratem Karol postanowił opuścić swoją wieś. Wyjechał do miasta, w którym pełnił służbę wojskową i gdzie spodziewał się najprędzej zadomowić. Razem z Karolem wyjechała jego siostra, Felka, która do tychczas spełniała rolę dziewczyny do karmienia świń, koni i... braci. Dwoje młodych przyjechało więc do Świdnicy. Niełatwo im się było zadomowić. I z porządków miejskich, i z ludzkich charakterów niewiele potrafili zrozumieć. Żyli dalej po chłopsku — tyle że na peryferiach miasta.

Oto kilka fragmentów powieści. Partie te nie następują w książce kolejno po sobie. (M. Pat)

Po południu wprowadzili się do budy na skraju ogródka. Wyglądała jak bogaty ganek przyzwoitego domu. Malowana była zielonkawo, a jedną ścianę stanowiła krata z cienkich listew. Wiatr wchodził do środka, wypędzał sierpniowy zaduch, wgarniał różne zapachy: młodych jabłek, świeżo skopanej roli, kwiatów. Felka narwała wysokiej trawy, rozścieliła na podłodze, przykryła kocami. Stary taboret znalazł się na środku izby, obok walizka — zamiast krzesel.

— Widziałam tu gdzieś ławkę. Przyciągniemy, będzie jak w domu.

Rano poszli na targ szukać żelaznego piecyka i patelni. Felka sprawiła sobie garnek do gotowania ziemniaków, bo na sąsiedniej działce kopali już młode.

Karol zatrzymał się przed kramami starego żelastwa. Lemiesze, łożyska kulkowe, przeróżne klamki, klucze, cynkowe rynny, zardzewiałe śrubki, obręcze do kół, zegary, instalacja elektryczna. Można było z tego bazaru wynioskować nie tylko, co produkują świdnickie fabryki, ale nawet jak urządzona jest miejska kanalizacja i sieć telefoniczna.

Oglądał zniszczoną pompę. Zastanowił się, czy nie wysłać jej bratu. Spytał o cenę i postanowił wrócić tu jutro. Tak zaraz nie umiał się zdecydować. Wszystko trzeba obejrzeć, zanim się kupi. Felka zniknęła. Spotkali się dopiero przy piecyku. Dziewczyna niosła rurę z dwoma kolankami, Karol — resztę na plecach.

Wieczorem jedli pierwszą kolację ugotowaną już w mieszkaniu. Suchy płot palił się szybko i prawie bezdymnie. Tylko nieco czadu zbierało się przy podłodze.

— Wiesz — powiedział — widziałem pompę do studni. Przyda się Frankowi.

K O Z A
Z
O C Z A M I

M A C I E J
PATKOWSKI

- Nie mamy za co.
- Jak to. Frankowe pieniądze są, wystarczy.
- Tak, ale ...
- Co ale?

Felka położyła się na kocach. Wiotka trawa jeszcze nie szeleściła.

— Widziałam kozę...

— Kozę?

— Co się tak pytasz jak baran. Kozę widziałam. Żebyś wiedział, jakie ona miała oczy. — Felka uśmiechnęła się do siebie i założyła ręce pod głowę. — Z wierzchu nic szczególnego. Jak to koza: nogi, sierść, uszy, język normalny, wymiona duże, widać, że mleczna. Oczy jednak miała naprawdę. Gdy patrzyła, myślałam sobie: dziewczynka.

— Pewnie ją sprzedali.

— Kazałam do jutra zaczekać. Pieniądzy chyba wystarczy.

— Nie kupię żadnej kozy.

— A żyć chcesz?

— Nie rozumiem.

— Więc zostaw mnie te sprawy. Daj pieniądze i nic nie mów. Bez kozy nie poradzimy.

Karol wyszedł przed domek.

Bezczmurne niebo. Czasem gwiazda leciała z wiatrem i gasła. Od miasta dobiegał hałas. W ogródkach szeleściło. Trawy przysiadły pod ciężarem rosy, a świerszcze schowały się do kryjówek i natarczywie cykały.

Usiadł na progu. Za plecami, w izbie Felka rozbierała się do spania. Podniósł wyschniętą gałązkę, oberwał z liści, które trzaskały w palcach. Koniuszkiem rozchyłał je i zaglądał, czy nie biegają pod nimi mrówki. Lecz niczego już nie mógł dojrzeć.

O tej porze konie zują sieczkę. Ludzie siadają do kolacji po zwózce zboża. W dolinie Białej na żniwa jeszcze za wcześnie. Franek niczego zwozić nie będzie, kupił bunkry poniemieckie. „Muszę wysłać mu trochę rur. Widziałem na targu, pewnie gdzieś tu leżą, bo niby skąd by się wzięły w sprzedaży“.

— Chodź już — krzyknęła Felka.

Wrócił do izby. Położył się obok siostry i nakrył kocem.

Ktoś chodził po sąsiedniej działce. Ścieżką toczyło się światło latarki rowerowej. Widział to przez kratę ściany. Potem księżyc rozwalił sobie głowę o piecyk i zaczął wędrować po deskach podłogi.

Karolowi wydało się, że słyszy znany mu dobrze szelest, coś jakby szum wody poprzez wiatr i liście babichy. Uciszało się, to znowu, prawie przy kratowanej ścianie, płynęła niewidzialna rzeka. Skakała po bystrzynach, pieniając się przy brzegu jak mydło domowej roboty.

Odrzucił koc i cicho wymknął się do ogrodu. Biała nagle umilkła. Szosą przejeżdżał samochód, a gdy uspokoił się jego warkot, znów szeleściło pobliskie drzewo. Rozpoznał starą olchę, która tu rosła, zanim posadzono czereśnie i jabłonie. Wrócił do siostry i długo nie mógł zasnąć. W myślach zauważył: „Powietrze tutaj nie takie“.

★

Przed południem Felka wyciągnęła go na targ.

Między straganami warzyw znajdował się niewielki placyk wynajęty przez państwowe gospodarstwo. Sprzedawali stare części do wozów, ogumione koła platform, meble, uprząż... wszelką starzyznę prawie ze śmietnika.

— Tu wczoraj stała koza i patrzyła.

Dziewczyna posmutniała, bo dziś kozy nie było. Zapytała garbatego starca pochylonego nad stosem orczyków:

— Nie widział pan kozy z oczami?
Ludzie stojący wokół parsknęli śmiechem. Felka pokazała im język i wzięła Karola za rękaw.
Pomarudzili chwilę przy płocie i wycofali się w głąb targowiska.
Garbaty chłop zawołał na nich.
— Rozmawiałem tu z sąsiadem. On mówi, że wczorajsza koza była państwowa. Sprzedana czy nie, tego nie wiemy, ale przyprowadzili ją z gospodarstwa rolnego.
— Tak? — ucieszyła się Felka.
— Za Pszennem, będzie dwa kilometry.
Karol zapamiętał nazwę wioski. Zdecydowali się pójść tam nazajutrz.
Na wieczór w piecyku podpalili znowu deskami z płotu. Felka zbierała warzyw. Gotowała zupę na kolację.
— Skąd wzięłaś kalafiory?
— Z grządki.
— Ostatni raz! Mieszkanie nam dali, pracę mi mają załatwić, a ty grządki z kalafiorów czyszcisz. Rozumiem, gdybyś nie miała innych działek, ale wystarczy siatkę przeskoczyć.
— Dobrze, jutro wezmę od sąsiadów.
— Nie bardzo mi się to podoba — dodał Karol. — Żeby tak mieć trochę grosza i kupić morgę na przedmieściu, wolałbym ścinać warzywa na swoich grządkach.
— Cicho, ktoś idzie — rzekła siostra spoglądając przez ścianę.
Karol domyślił się, że to żona majora, więc poszedł na spotkanie.
— Pomożesz mi zebrać jabłka?
— Chętnie, pani majorowa.
Z niskich jabłoni Karol zrywał owoce i podawał kobiecie. Była jeszcze młoda, zwłaszcza gdy patrzyło się na biodra i nogi. Ręce miała szczupłe, z czerwonymi wisienkami lakieru na paznokciach. Gdy brała jabłka, na przegubie dłoni rysowały się cienkie żyłki.
Zapełnili obie torby. Karol przeciągnął się. Od zrywania bolały go mięśnie nad łopatkami.
— Jak się czuje pan major?
— Dobrze, a wy?
— Też.
— Macie jakieś zajęcie?
— Skąd. Pan major obiecał. Razem rzekę forsowaliśmy w czołgu.
— A dziewczyna co robi?
— Siostra?
— Uhm. Szuka czegoś?
— Niby szuka.
— Może byś ją namówił, żeby do mnie przyszła. Zje dobrze, ubiorę, nawet zapłacę czasami. Tylko jedno dziecko mam i pralkę kupiłam. Nie przemęcz się.
— Dobrze, powiem jej.
Majorowa dzwignęła torby.
Karol zerwał jabłko, ugryził kawałek, wypluł robaczywy naskórek.
W domu wytłumaczył siostrze, czego chciała żona majora.
— Może pójdziesz? Dobrze ci będzie. Patrz. Kożę kupisz, to u nich ją będziesz trzymać. Zawsze tak ugotujesz obiad, żeby koza się najadła.
Siostra nałała zupę do talerza. Sama jadła z garnka. Siorbali gorącą kolację. W piecyku dogasało. Z rury dobywał się czad, ale szybko uciekał przez kratowaną ścianę.

— Karol, ty chyba oszalałeś. Ja na służącą?
— Nie służącą, tylko gosposię.
— Tak się mówi. Nic z tego nie będzie. Mogłam to samo robić u bratowej. Teraz jest równość. Skąd ona wie, że ja nie będę majorową za dwa lata. Jutro idziemy do tej gospodarki rządowej.

★

Zostawił Felkę w barze mlecznym, a sam poszedł do majora. Właśnie rozpoczynała się odprawa dowódców kompanii. Major zdążył zamienić z Karolem tylko parę słów.

— Dzwoniłem. Czekam na odpowiedź. Na razie nic konkretnego. Tłumaczają się, jak mogą. Brak miejsca. Aż dziw bierze, skąd u nich nagle tylu fachowców. Może wpadnij za kilka dni.

— Jest przepis.

Karol wrócił do siostry. Gdy tylko nań popatrzyła, od razu wiedziała, że niczego nie załatwił. W milczeniu skierowali się ku wrocławskiej szosie, przy której leżało Pszenno.

Za żelaznym mostem, gdzie jezdnia się tak zwężała, że wyminąć się ciężarówkami było nie sposób, za tym mostem spostrzegli dwa kominy cukrowni i jej ceglaste zabudowania. W Pszenniu skręcili za drogowskazem. Mieli przed sobą ścierniska ze stertami zgrabionej słomy. Gdzieś tam brunatniały ściegi podorywek. Płytkie bruzdy nie przywalały szczeciny po skoszonym zbożu.

Felka zatrzymała się.

— Patrz!

— O Boże, tylko bić!

Przed nimi, w lewo, ciągnęły się szpalerami mendle nie zwiezonego żyta.

— Może jeszcze zdążą — zastanowił się Karol.

— Sparcieje, nie sparcieje, ale się wysypie — odrzekła Felka.

— Chyba tak.

Droga wiodła przez to pole do murowanych wrót. Felka rzekła:

— Wracamy.

— Coś ty?

— To ich pole. Zboża nie zwieźli, nie wierzę, by u nich były dobre kozy.

— Skorośmy tutaj doszli...

— A skąd mogłam wiedzieć, że tu nie ma dobrych kóz? Wracamy, Karol. Do Świdnicy blisko osiem kilometrów. Żar przepędził ptaki z pól, cofnęły się więc tylko do kolonii za Przennem i wstąpili na czyjeś podwórko.

— Jest pompa — ucieszył się Karol.

Felka chwyciła za kabląk, Karol chlustał w twarz zimną wodą. Potem zamienił się z siostrą.

Stara kobieta wyjrzała z domu.

— Wy czego? — rzekła oburzona.

— Umyć się. Gorąco.

— A co to, wasze podwórko?...

— Woda przecież idzie z ziemi. Niczyja.

— Wczoraj byli tu tacy, kurę ukradli.

— Po co nam cudze kury? My zwyczajni ludzie, z Grybowa, od Sącza.

— Od Sącza? To czego tu szukacie?

— Kozy, wszystkiego...

— Jak to się naród kołuje, widzicie ludzie, a ja zza Buga. Tu na kolonii sami ludzie, nie można powiedzieć. Wody sobie weźcie, ile potrzeba.

— Dziękuję, matko. A czy można położyć się za domem, aż upał przejdzie?

— Można, tylko z dziewczyną spokojnie.

— To moja siostra.

— Siostra? No to połóżcie się.

Za chwilę przyniosła im w bańce wodę z malinowym sokiem. Karol chciwie przyczepił się do naczynia, dopiero Felka trzasnęła go po rękach.

— Przy drodze mieszkamy — opowiadała kobieta — różne się takie płaczą, chapią co się da. Upilnować nie można. Gdy starszego syna nie ma, sama tylko patrzę przez okno. Prześcieradło wczoraj sąsiadka rozwiesiła. Dzieciaki, jak to dzisiejsze, chapnęły i w piasek.

Na drodze wiodącej do bramki skręcił rowerzysta. Obserwowali go w milczeniu.

— Ady, syn.

Zza domu wybiegł chłopiec z łukiem, popędził do brata. Usadowił się wygodnie na ramie i wjechał razem z nim na podwórko. Matka poczłapała obiad stawiać.

— Spragnieni. Od Sącza. — wyjaśniła synowi.

— Szczęścia szukają? — usłyszał Karol.

Matka coś odrzekła i szczupły mężczyzna zbliżył się do leżących.

— Jeśli szczęścia szukacie, to wam coś powiem. W Świdnicy, na placu Wolności, jeden gość strzelnicę sobie postawił. Oczywiście, nygus, przesunął szczerbiki, może znacie się na tym; więc pierwszy strzał — pudło, a później na przykład można wygrać kominiarza. Jak mówią ludzie, szczęście przynosi.

— Dziękuję panu, wolałbym jakieś zajęcie.

— Zajęcie łatwiej znaleźć, bo szczerbika nie trzeba regulować. U mnie w tartaku na przykład kobiety potrzeba. Dziś wypędziłyśmy babę z kiosku zakładowego. Lato suszy nam deski, ale bardziej żołądki. Piwo się kupowało, lemoniadę, papierosy. Tylko że ona upału nie znosiła. Zamykała kiosk i w trawę się kładła. Może pani jest robotna na przykład?

— Ona przyjdzie jutro na pewno! — krzyknął Karol.

Gdy ochłodziło się nieco, ruszyli w stronę domu.

Na rynku świdnickim kończyło się popołudnie. Małe słońca wisiały na szybach wystawowych. Głośniki jak zwykle śpiewały pieśni mazowszańskie. Spiker miejscowego radiowęzła przerwał muzykę. Zapowiedział komunikat o pogodzie. Karol wysłuchał z ciekawością. Chciał wiedzieć, jakie słońce będzie miała koszona pszenica.

— Karol — siostra pociągnęła go za rękaw.

— Czego?

— Skąd oni nadają?

— Chyba ze studia.

— Ale gdzie?

— Tobie na co?

— Chodź.

Wstąpili do radiowęzła. Felka zaczęła jakiegoś pana w krawacie.

— Czy można dać ogłoszenie?

— Można, jeśli się zapłaci.

— Karol, daj pieniądze.

Pracownik podsunął dziewczynie papier, ołówek, a później przeczytał, spojrzawszy na nich z nieklamną ciekawością i rzekł:

— Muszę to uzgodnić z redaktorem.

Jeszcze raz przyjrzał się Felce i wszedł do pokoju za szklanymi drzwiami. Po chwili wrócił.

— Jutro nadamy w komunikatach.

— Dzisiaj nie można, a jutro powtórzyć?

— Dzisiaj? Będzie kosztować podwójnie.

— Płać, Karol.

Gdy znowu oglądali wystawy sklepowe na rynku, koncert „Mazowsza“ został przerwany. Spikier odczytał komunikat:

„Potrzebna jest koza natychmiast. Zgłoszenia kierować i kozę przyprowadzić ...“ — tutaj numer działki ogrodowej.

Tego wieczoru tylko dwie kozy przywiodły na sznurku kobiety. Felka obejrzała i kręciła nosem.

— Wiesz, Karol, żal mi tamtej z targowiska. Człowiek zawsze jest głupi. Taką okazję stracić.

— A co? Nie podobają ci się oczy...

— To nie są oczy. Tamta miała, mówię ci, jak kobieta po urodzeniu.

Nazajutrz informacja spikera musiała trafić na targowisko. Od samego rana ludzie pędzili zwierzęta w stronę działki. Wyglądało to, jakby szły do szczepienia.

Wreszcie przed wieczorem trzeba się było zdecydować. Karol przerwał siostrze dalsze grymasy. Wybrali dobrze zbudowaną kozę, na długich nogach i z rozczapierzonym ogonkiem. Mleko miało dobry smak o silnym zapachu świeżego sera.

Do późna Karol strugał kołki na szkielec budy. Przykrył go potem długą trawą i gałązkami wierzby. Ciasno w niej było, ale koza mogła się położyć i leć wystawiać na słońce. Nocą zaś wystarczyło, by schyliła szyję i wyciągnęła język, a sięgała do wilgotnej od rosy trawy. Łańcuch przymocował do ściany domku.

Teraz, kręcąc się w izbie, słyszeli chrobot żelaznych ogni, trzaskanie patyków pod kopytami. Raźniej uczyniło się w mieszkaniu. Niemalże — bezpiecznie.

Nazajutrz odwiedził majora, ale niczego się nie dowiedział. Wspomnił tak na wszelki wypadek o przepisie. Major odrzekł, że przepis ten Karola już dawno nie obejmuje. Zbyt dawno zdjął mundur. Poza tym przepis prawny zobowiązuje tylko zakład, w którym żołnierz pracował.

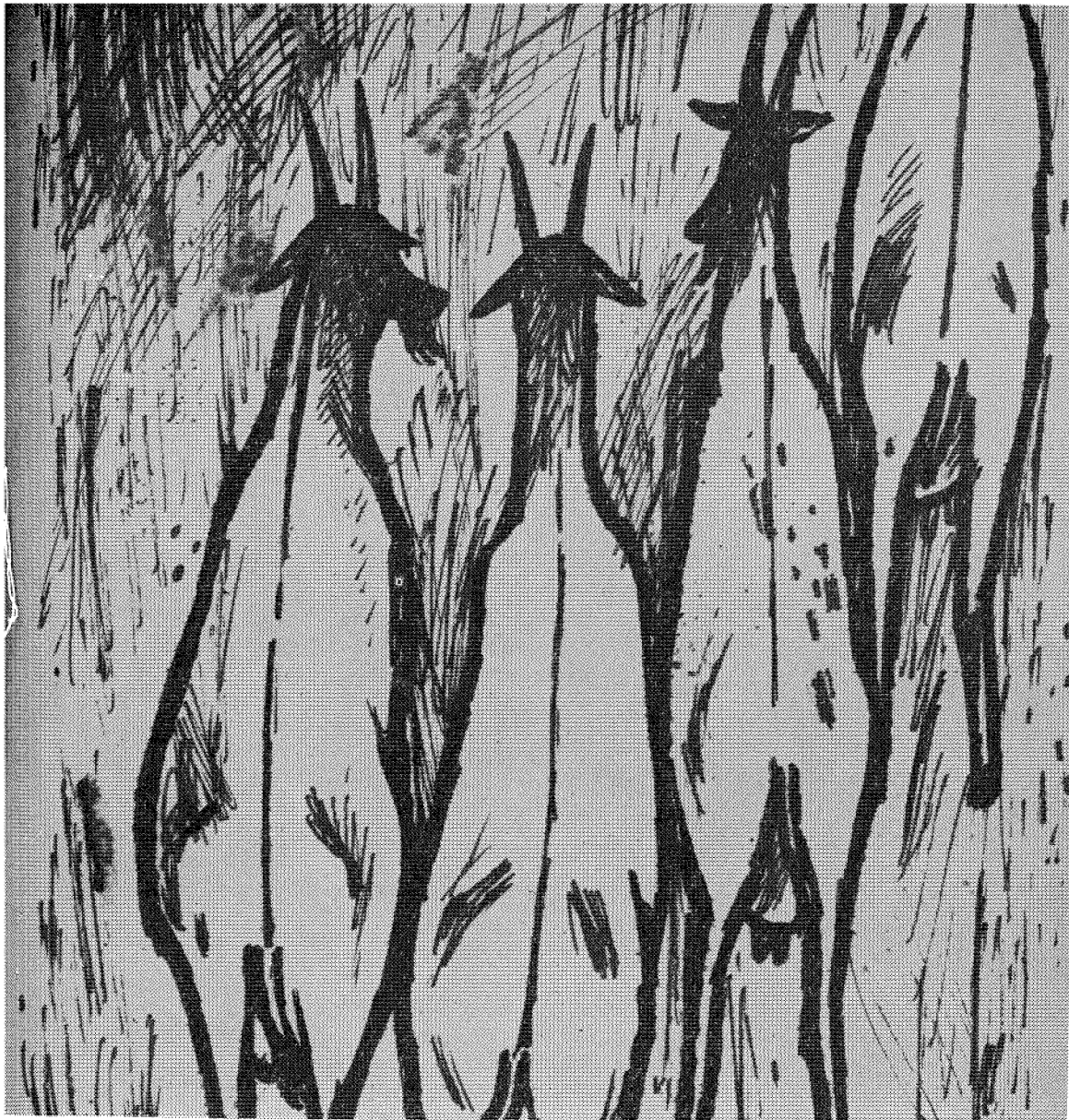
Zmęczony przywłókł się do izby. Duszo tu było mimo kratowanej ściany.

Felkę odnalazł na łące, za płotem. Koza pasła się niespokojnie. Ciągle stawała na tylnych nogach, sięgała językiem do najniższych gałązek drzew. Z pniami radziła sobie wcale nieźle.

Na sąsiedniej działce bawiły się dzieci w policję i złodziei. Przebiegały między płotami, zsunawszy kaszkiety na tył głowy. Później do akcji wkroczyła władza. Spacerowali oficerowie śledczy nie kryjąc się w ostach i łopanie. Nieopodal wybuchło starcie. Huknęły dwa korkowce. Podniósł się wrzask ściganych.

Wtedy koza szarpnęła obrozą i kółek uwolnił się z miękkiej gleby. Felka puściła się w pogoń za przestraszonym zwierzęciem. Karol chciał skoczyć na pomoc, ale dzieci zbliżyły się do niego, więc zaczął je głośno lajać. Gdy odwrócił się ku łące, ani siostry, ani kozy już nie zobaczył. Czekał w domu z godzinę, zanim usłyszał dyszenie za płotem. Wyjrzał. Prowadziły się obie jednakowo zmęczone. Potem wpędzili kozę do budy, łańcuch przywiązali do ściany. Wieczorem udało się Felce wydoić przy świetle lampy. Mleko było troszeczkę cieplejsze od sierpniowego powietrza. Przegryźli jabłkami z sąsiedniej działki. Karol nie nasycił się zupełnie, więc ostrugał jeszcze dwie marchwie.

W nocy głośno szumiały drzewa. Ich szelest mieszał się ze szmerami podłogi, którą zajęły szybko nogie karaluchy i polne myszy. Za ścianą niekiedy dźwięczało kółko łańcucha.



rys. Andrzej Will

Za dnia Felka wyprowadziła kozę na łąkę. Mocno wbiła kolek z łańcuchem. Uczesali się i poszli do tartaku. Tartak leżał za mostem, w dolnej części miasta, gdzie domy były niższe, bardziej odrapane, z wąskimi okienkami, przytulone do siebie, niekiedy złączone niczym syjamskie rodzeństwo; zbudowane bez ładu i pomysłu. Tu i ówdzie wznosił się fabryczny komin zaczadzając ulice wyziewami tlenu.

Portier wpuścił ich na dziedziniec, a potem zadzwonił do baraku po znajomego z kolonii. Właśnie zajechała ciężarówka z deskami. Usiedli na kłodach przy murze i czekali. Kilku robotników zeskoczyło z paki samochodu. Wy-

jęli z kombinezonów papierosy. Jeden z nich spojrział w stronę zamkniętego kiosku. Zaklął. Inni rozłożyli się w cieniu, ktoś wyciągnął chleb. Z baraku wyszedł jakiś mężczyzna. Karol podniósł się, lecz to był obcy. Zapytał siedzących robotników, dlaczego nie rozładowują ciężarówki. Tamci powiedzieli, że to do nich nie należy, pracownicy tartaku sami się mają zająć wyładunkiem. Rozgorzała kłótnia. Na placu mężczyźni wyłączali piły i przysłuchiwali się awanturze. Minał kwadrans i ludziom znudziło się gadanie. Wszyscy usiedli w cieniu, zapadła nieprzyjemna cisza. Ci z placu nie wracali do pił. Byli ciekawi, co dalej będzie.

W drzwiach baraku stanął znajomy. Przywitał się najpierw z Felką, następnie z Karolem.

— Czemu dopiero dzisiaj?

— Nie było kiedy.

— Może coś jeszcze wskóramy u dyrektora. Niech pani pójdzie ze mną. Spróbujemy umowę podpisać. Praca przyjemna, od ósmej do trzeciej, w sobotę aby do hejnału.

— Co? — obruszyła się Felka — od ósmej?

Znajomy zdziwił się nieco.

— To ja nie będę mogła.

— Kupiliśmy kozę i zostało nam dosłownie parę złotych — tłumaczył siostrze Karol.

— Wiem — odrzekła. — Dlatego nie mogę. Rano jestem zajęta przy kozie. Muszę znaleźć zajęcie popołudniowe.

— Bardzo pana przepraszamy — powiedział Karol odwracając się w bok.

Nie podawszy ręki skierował się ku bramie. Był zły na siostrę.

Z baraku wyszedł dyrektor i prosił o zrzucenie desek. Za ćwiartkę żytniówki.

Robotnicy unieśli się powoli z miejsc i zaczęli odpinać klapę ciężarówki.

★

W południe majorowa przyniosła kobiałkę na jarzyny. Zajrzała do ogródka i zaczęła krzyżeć. Lecz w domku nie było nikogo. Przybiegli mężczyźni z pobliskich działek, ale gdy zobaczyli, co się stało, wrócili do swoich zajęć. Majorowa usiadła przy płocie i czekała. Pierwsza przyszła Felka.

Majorowa skoczyła do niej, lecz nie uderzyła. Krzyk tylko znowu się podniósł i znowu zeszli się ludzie.

— Wynoście się zaraz! Wieczorem nie chcę was tu widzieć!

Felka zajrzała przez ramię kobiety i zaraz potem zerknęła w stronę domku, by sprawdzić, czy majorowa nie zrobiła czegoś niedobrego zwierzęciu.

— Kopaliście ziemniaki, zbierali jabłka, podbierali kapustę, rzodkiewkę, rwali porzeczki — niech tam. Jak nie wy, to kto inny wziąłby więcej. Ale tego za dużo. Do wieczora was tu nie chcę widzieć. Chyba, że zapłacisz i wygnacie kozę. Wygryzła ponad sto astrów, po piętnaście złotych każdy.

Felka odszukała wzrokiem kozę. Aż się zaśmiała. Majorowa pomyślała, że to z niej, i ruszyła do dziewczyny. Felka jednak śmiała się z kozy, która parzyła zza krzaków spokojnie żując astry.

Majorowa także się odwróciła.

— Biorę kozę w zastaw. Sprzedam bydłę i zwrócę się kwiaty, bo skąd weźmiecie pieniądze, chłopcy bezdomne.

— Ja pani dam kozę!

Felka skoczyła pierwsza i złapała za łańcuch. Majorowa chwyciła za obrozę. Każda ciągnęła w swoją stronę.

Umówiły się wreszcie, że koza w zastaw nie pójdzie, lecz Felka wyprowadzi się z bratem jeszcze dzisiaj. Majorowa poszła, a potem przyjechał na rowerze listonosz. Podał kopertę od Franka. Felka schowała ją za sweter.

Karol znosił tego dnia węgiel i wrócił zmęczony. Powiedziała mu, co się stało.

— Przenosimy się do Krzywdy. Może coś poradzi.

Karol przetarł twarz, skubnął szczawiu, zdmuchnął kurz i włożył do ust.

— Co za jeden? Ten, który cię rzeźbi?

— Ten.

— To bierz kozę i już nas tu nie ma.

— Oszalałeś. Gdzieś widział, by przyzwoici ludzie wyprowadzali się na piechotę!

— Przecież nie ma niczego do ładowania.

— Piecyk, rury, garnki, stołek, bielizna, koza, trawa dla niej na wieczór.

Felka narwała koniczyny. Karol sprowadził furmana. Wrzucili tobołek, żelazny piecyk, chcieli kozę umieścić między drabinkami, ale spłoszyła się. Felka siadła z tyłu okrakiem, wzięła do ręki łańcuch. Wóz jechał powoli, za nim szła koza drobnym kroczeniem zalotnicy. Oczy miała, jakby zbierało się jej na głośny śmiech. Nie bała się samochodów, lecz była niespokojna, gdy zaczepiały ją dzieci. Felka musiała pędzić je krzykiem. Ludzie przystawali na chodniku, obserwowali.

— Karol — przypomniała sobie Felka — list od Franka...

— Dawaj — zirytował się brat i szybko rozdarł kopertę. Wjechali ciasną uliczką na rozległy plac, skąd brała początek ulica Jagiellońska, do której przyczepił się Złoty Zaulek. Słoneczne popołudnie mieniło się od kolorowych sukien i białych wózków dziecięcych. Ludzie spacerowali jak w niedzielę po mszy. Felka mimo woli obciągnęła sweterek i poprawiła włosy.

Franek pisał:

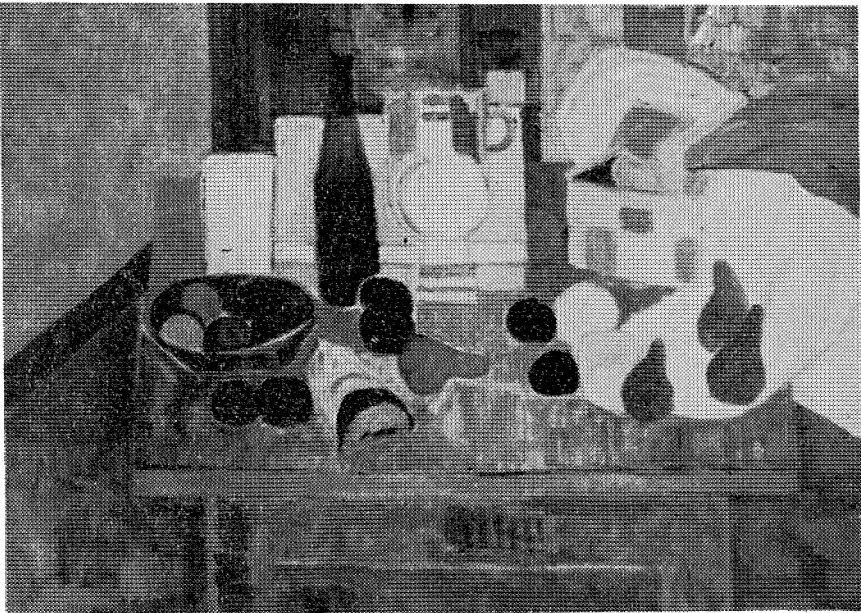
„Najukochańszy bracie i siostrzyczko, już kilka dni jak dostałem od was ten zachwycający drut, który do wiązania płotu wzięłem naokoło bunkru z pieczarkami, które wyhodowały się już na dolnej skrzynce i pierwsze grzyby zebrałem, do naczelnika stacji zaniósłem na smak, który powiedział, że pieczarki zachwycające i trzeba robić przy nich dalej, do Krynicy wieź na stragan i jak drut przyszedł na stację, to sobie pomyślałem, że może skombinujesz i ten samochód kiedyś, bo grzyby do Krynicy pociągami nie zajadą, samochód by w sam raz, najlepiej ropniak, żeby tanio kosztował, bo w domu jak to w domu, pieniędzy za wiele nie ma, jako że rośnie sad, ze smutkiem powiadam, że Cezar pies pomału zdycha i już w ogóle nie chodzi, tylko leży, prawie nie je, żona nie może ciągle go karmić, ale zabić jakoś nie mogę, może on sam zobaczy, że dalej życie jest niemoralne, a co do życia, to była Zeska z mężem, niedługo byli, wyjechali, ona wygląda na panią i jej mąż wielki rzeźnik w mieście, matka wszystko sprzedaje i jedzie tam córkę odwiedzić, a Zeska pytała o ciebie, nawet zmartwiona była, że cię nie ma, i list zostawiła, ale gdzieś podział się, jak to w gospodarstwie bywa, wszyscy mówią, że będzie powódź w tym roku, co by mnie bardzo przeszkodziło pieczarki zawozić do Krynicy, jeśli byś mógł żarówki skombinować, to przyslij, bo chcę bunkry oświetlić, na końcu dam zachwycającą wiadomość, że moja żona dziękując Bogu zaszła, całuję was brat Franek“.

— No i co? — Felka wzięła list i zaczęła czytać. Karol sięgnął po papierosy.

Furman szarpnął lejcami. Wokół pachniało końskim potem. Gdy Felka złożyła papier, Karol rzekł:

— Cezar umiera.

Maciej Patkowski



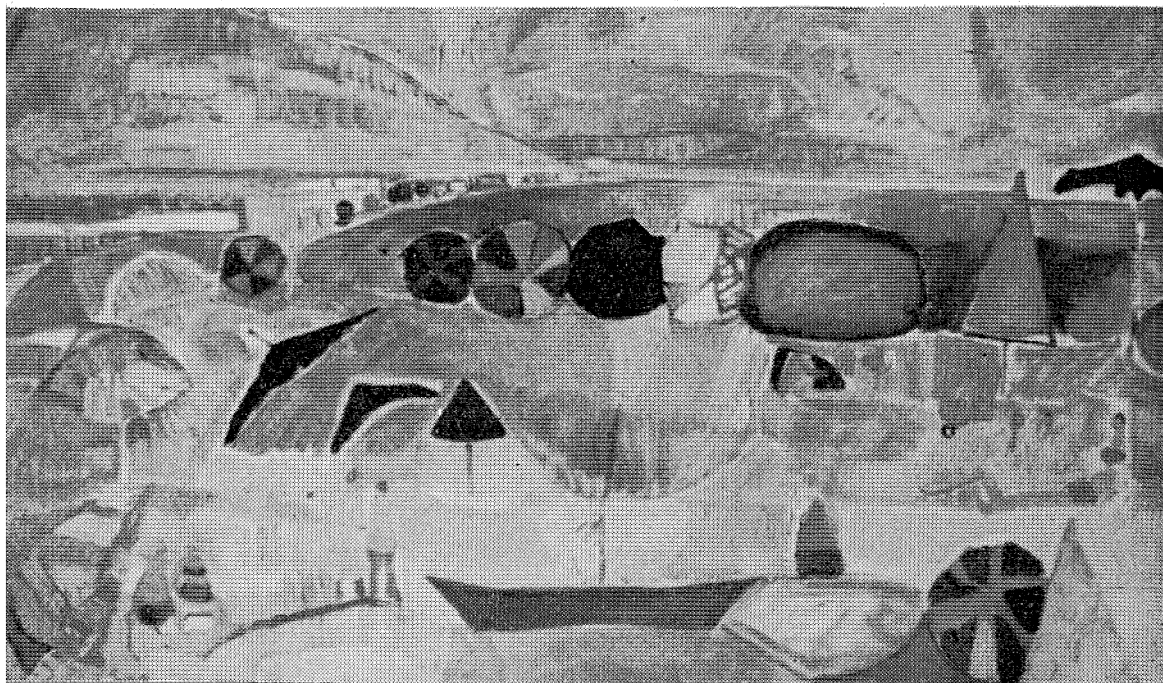
Eugenia Różańska

Martwa natura z koszykiem

Z wystawy we wrocławskim salonie CBWA.

Eugenia Różańska

Plaża



EUGENIUSZ WACHOWIAK

Konterfekt

*Dać trzeba światło
na kopułę czoła
choćby rumieńców
podpieranych świecą*

*Dać trzeba gryzmoł
nakreślony skośnie
nad jasnym okiem
brwią rzucony zgrabnie*

*Dać trzeba uszy, nos, usta i włosy
aby konterfekt
tak wyszedł plastyczny
jak długa szyja
pani Z. na szafie*

Eugeniusz Wachowiak



Malowanie p e j z a ż u

*W parku najwyższa sosna
zielonym grzebieniem włosy chmurom czesze
noc jak kapryśne dziecko
na szyi świerku gwiazdy wieszają
tu chodzą latarnie bosc
alejami wąskimi
grube buki oparły się o mrok
na kolanach skaczą liście
dziewczyzna obłąkana
swoje piersi pieści
jest bajorko
labędź swoje odbicie rzucił
a chłopcy w trawę idą
gdzie dziewczyny rudo płoną*

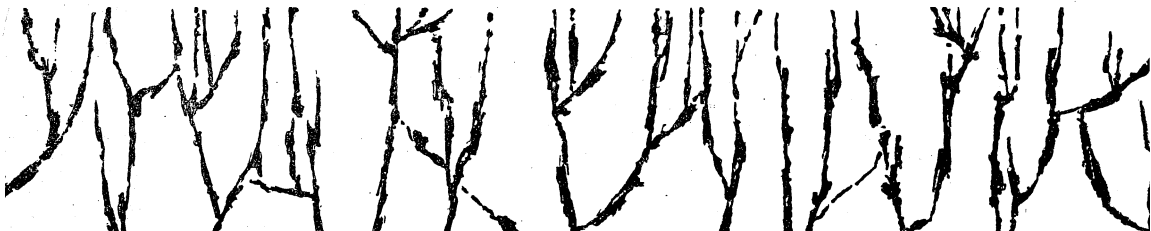


*moje drzwi
nigdy nie śpiewają
jestem zamknięty
na cztery zamyślenia
chodzę niby więzień
z kąta w kąt
oglądam szarość ścian
która już nawet nie dziwi
dotykam klamki
która uparcie milczy
wciąż jestem blisko
czekam na klucz*

zbliżenie kroków zza drzwi

Legnica 1960

Stanisław Srokowski



WŚRÓD ZIELONOGÓRSKICH PLASTYKÓW

ELŻBIETA DRZEWIŃSKA

Był to swojego rodzaju eksperyment, tylko że słowo to nie zrobiło wówczas jeszcze takiej kariery. Mówiło się po prostu: doświadczenie, próba. Taką właśnie próbą była rozpoczęta przed siedmioma laty akcja osiedlania się młodych artystów z całego kraju w Zielonej Górze, akcja zresztą nie nowa o tyle, iż coś podobnego, zainicjowano wcześniej w Rzeszowie, a później w Kielcach. Jednakże Zielona Góra pobila wszelkie rekordy liczebności — osiedlanie się młodych artystów stało się tutaj zjawiskiem niemal masowym. Na apel Ministerstwa Kultury i Sztuki przyjechało z Krakowa 9 osób — Apro, Bieniek, Byszewska, Falkiewicz, Jeleńnek, Kuzyszyn, Rojowski, Szpakowski i Zacharska; z Torunia Felchnerowski, Roszek i Rzeszewski, z Sopotu Pranga, z Warszawy Nowicki, z Wrocławia Gajos i małżeństwo Lisowie. W ten sposób zielonogórski Związek Artystów Plastyków, stanowiący do 1954 roku oddział okręgu poznańskiego, wzrósł do 25 osób, zyskując rangę samodzielnego okręgu. Na kulturalnej mapie kraju pojawił się nowy interesujący ośrodek plastyczny.

Byłoby oczywiście niesprawiedliwością twierdzić, że ci młodzi przyjechali, aby krzewić sztukę na zupełnie dziewiczym terenie. Na długo przed tym, nim zjawiała się grupa „malarzy” krakowskiej, toruńskiej czy wrocławskiej, w Zielonej Górze i okolicznych miastach osiedlili się artyści starszego pokolenia, tacy jak Brunèe, Korczak czy Kowalski. Młodzi przynieśli ze sobą nowe, choć może nie najbardziej oryginalne, idee plastyczne. Każdy z nich przecież, przybywając z innego, wielkiego ośrodka kultury, zabrał ze sobą, prócz багаżu osobistych ambicji, także i te nawyki

artystyczne, które były charakterystyczne dla jego środowiska.

Te wszystkie momenty sprawiły, iż linia podziału „młodzi” — „starzy” staje się od razu widoczna. Na wstępie chciałabym jednak zaznaczyć, iż różnice te dotyczą wyłącznie zagadnień estetycznych, bez jakichkolwiek konsekwencji natury organizacyjnej czy nawet obyczajowej, jak to obserwuje się w niektórych innych ośrodkach. W ogóle najbardziej chyba uderzającą rzeczą w Zielonej Górze jest harmonijna współpraca pomiędzy wszystkimi grupami twórczymi. Rzecz charakterystyczna np., iż grupa młodych artystów, odcinająca się wyraźnie od pozostałych chociażby gatunkiem temperamentu twórczego, nie tworzy jakiegos osobnego ugrupowania o specjalnej nazwie, a na ekspozycjach ogólnokrajowych występuje po prostu jako „Zielona Góra”.

Grupa młodych, zwłaszcza ta krakowsko-toruńska, nadaje ton całemu środowisku tak ze względu na swoją ekspansywność i ruchliwość, jak i na rysujące się w niej ciekawe indywidualności. Brak miejsca nie pozwala na omówienie twórczości wszystkich, z konieczności więc pozostaje metoda wyboru reprezentatywnego.

Jednym z najciekawszych młodych twórców jest niewątpliwie Marian Szpakowski, reprezentant „szkoły krakowskiej”. Artysta ten, mimo stosunkowo krótkiego stażu twórczego, przeszedł już dosyć długą ewolucję od impresjonizmu typu Pankiewicza, poprzez ekspresjonistyczne deformacje, stylizacje postkubistyczne, aż do abstrakcjonizmu. Pamiętamy go z indywidualnej wystawy wrocławskiej, na której mieliśmy możliwość obejrzeć cykl podłużnych temper utrzymanych w ciemnej tonacji zie-

ionawo-niebieskawej, pełnych ukrytego dynamizmu i napięcia. Obecnie artysta ten poszedł jeszcze dalej — kolor jego płócien stał się bardziej ascetyczny: kombinacje szarości, brązów, bieli; kompozycja wyraźniej asymetryczna, kapryśna, dynamiczna, zaś fakturę obrazów często wzbogacają kawałki naklejonego płótna, pozostawionego niekiedy w stanie surowym. Jest to poza tym chyba jeden z najpracowitszych i najpłodniejszych artystów środowiska.

Inny zupełnie typ abstrakcji unrwia Adam Falkiewicz. Można to zaobserwować np. w jego cyklu „Karuzele”, wyróżniającym się niezwykłą soczystością barw, gdzie stylizacja formy przedmiotu mającego swój odpowiednik w rzeczywistości (a więc „realnego”) prowadzi aż do zupełnego zatarcia jego pospolitego znaczenia, do transformacji na symbol plastyczny. W tym też typie robione są bardzo dekoracyjne wydzieranki z czarnego papieru. Artysta ten jest obecnie pochłonięty przygotowaniami do swojej pierwszej wystawy indywidualnej, której otwarcie nastąpi w najbliższym czasie w Zielonej Górze.

Ala Zacharska w swojej sztuce wchodzi również od przedmiotu, nie tracąc jednakże z nim kontaktu. Ta bardzo subtelna kolorystyka łączy w swoich obrazach liryczny klimat spod znaku Młakowskiego z elementami groteski. Często motywem jej płócien są figurki dzieci. Natomiast Kazimierz Rojowski (nagroda m. Zielonej Góry za rok 1959), to zdeklarowany abstrakcjonista, używający m. in. takich materiałów plastycznych jak nitrolakiery, dzięki którym uzyskuje swoiste efekty barwne.

To byłiby najbardziej chyba charakterystyczni przedstawiciele „szkoły krakowskiej”, zaaklimatyzowanej w Zielonej Górze. Czy są jakieś cechy pozwalające na wyodrębnienie tej grupy? Bałabym się uogólniać, wydaje się jednak, iż czymś wspólnym dla tych tak różnych przecież indywidualności jest duża wrażliwość kolorystyczna i budowanie obrazu przede wszystkim plamą barwną. Daje się to zauważyć w zestawieniu z twórczością innych artystów, z deformacją w stylu postkubistycznym Nowickiego (cykl Łodzi, albo plaż), a zwłaszcza z malarstwem Klema Felchnerowskiego, wywodzącego się z Torunia, w „cywilu” bardzo poważnego dyrektora Muzeum Okręgowego i członka kolegium „Nadodrza”. Tego artysty trudno scharakteryzować jednym przymiotnikiem. Pamiętamy go jeszcze ze słynnej wystawy w Arsenale (w której brali udział także Szpakowski i Nowi-

cki), zwłaszcza z jego surowych, monumentalizujących, silnie okonturowanych portretów. Ten typ stylizacji geometrycznej w odniesieniu do sztuki figuratywnej uprawia zresztą do dziś.

Twórcy starszej generacji reprezentują na ogół kierunek „przedstawieniowy” postimpresjonistyczny, który dzięki swojej specyfice pozwala na większe związanie ich twórczości (choćby poprzez tematykę) z regionem. Trzeba tu wymienić przede wszystkim twórcę ciekawego muzeum regionalnego w Międzyrzeczu, autora pejzaży z Ziemi Lubuskiej Alfa Kowalskiego; a dalej — również pejzażystę Jana Korczaka, oraz autora licznych portretów, autoportretów i martwych natur utrzymanych w bardzo intensywnej gamie kolorystycznej — Stefana Brunèa (wspólnie z Felchnerowskim laureat nagrody Zielonej Góry za rok 1960).

Jak z tego widać, 25-osobowy okręg zielonogórski reprezentuje dużą skalę możliwości, gustów i temperamentów artystycznych. Ta różnorodność, przy braku jednej obowiązującej mody czy stylu, wydaje się być czymś bardzo cennym. Ale to przecież nie wszystko. Warto by teraz prześledzić warunki, w jakich rozwija się ta sztuka.

★

Fama o luksusie, w jakim rzekomo żyją plastycy zielonogórscy, jest oczywiście przesadzona, niemniej jednak ich warunki materialne można określić jako dobre. Miasto, które ich tutaj ściągnęło poprzez akcję osiedleńczą, nie zawiodło: wszyscy dostali mieszkania, przeważnie w nowym budownictwie, i prawie wszyscy pracownie (na dziesięciu artystów mieszkających w samej Zielonej Górze pracownie posiada siedmiu, w tym sześciu w nowym budownictwie). Należy przy tym podkreślić, iż nie są to jakieś przerobione strychy czy poddasza, ale pracownie z prawdziwego zdarzenia. W najbliższej pięciolatce przewiduje się oddanie do użytku dalszych kilku pracowni nie tylko w samej Zielonej Górze, ale i w innych miastach województwa, jak np. w Gorzowie. Jednakże źródło owego doznemanego dobrobytu leży po prostu w tym, iż plastycy zielonogórscy pracują zarobkowo, oczywiście w swoim zawodzie. Oto małe dane statystyka: na 25 artystów — 14 pracuje etatowo (4 prowadzi działalność pedagogiczną, 3 pracuje w przemyśle, 3 w muzealnictwie, 2 w biurze projektów, 1 w miejscowym teatrze i 1 w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy). Warto dodać, iż na terenie województwa odczuwa się

jeszcze brak artystów-plastyków, zwłaszcza w fabrykach włókienniczych, a więc te 14 etatów nie jest szczytem możliwości, jakimi dysponuje Ziemia Lubuska. Ci z plastyków, którzy nie są gdzie zaangażowani na stałe, znajdują możliwość zarobkowania w Pracowni Sztuk Plastycznych, która istnieje w Zielonej Górze od roku 1954 i przyjmuje od różnych przedsiębiorstw zlecenia na wszelkie prace w zakresie wystawiennictwa, grafiki użytkowej, projektowania neonów itp. A więc możliwości są, chociaż i w tej dziedzinie nie wszystko obywateli się bez zgrzytów. Ciągłe jeszcze większość miejskich wystaw sklepowych urządza jakiś domorośli „artyści” zatrudnieni w wzdziałach handlu, ciągle jeszcze niektórzy inwestorzy budowlani spoza Zielonej Góry, wykonujący tutaj swoje prace, ściągają jednocześnie własnych plastyków z innych ośrodków (np. wnętrze Hotelu Śródmiejskiego, które tak nie podobało się p. Madejskiemu w 7 nrze „Życia Literackiego”, nie jest dziełem plastyków zielonogórskich). Sa to jednak zjawiska mające raczej charakter zanikowy. Obecnie plastycy zielonogórscy, dzięki możliwości projektowania różnego rodzaju urządzeń użyteczności publicznej, niewątpliwie kształtują smak i gust tutejszego społeczeństwa, wpływają na jego poczucie estetyki. Ale — rzecz charakterystyczna — odbywa się to niemal wyłącznie poprzez sztukę użytkową. Obserwuje się tutaj pewien rozdźwięk, znany zresztą i w całym kraju, ale na tym terenie występujący ze szczególną wyrazistością: popularność plastyka jako twórcy sztuki „stosowanej” i całkowita niezajomość dzieł kameralnych, obrazów sztalugowych czy rzeźby.

W tej dziedzinie kontakt utrzymywany jest tylko za pośrednictwem wy-

staw, i to niezbyt częstych, pomyślnych raczej jako przeglądy aktualnego dorobku poszczególnych twórców, a nie np. problemowo, dzięki czemu bardziej interesują one kółko profesjonalne aniżeli przeciętną publiczność. Poza tym co roku urządza się tu wystawę okregową. Ekspozycje te odbywają się wyłącznie w lokalu Związku, w dodatku niezbyt fortunnie położonym.

Ostatnio myśli się w Zielonej Górze o zorganizowaniu pierwszego kiermaszu sztuki w kuluarach teatru. Oby ta cenna inicjatywa jak najszybciej została zrealizowana!

Wydaje się też, iż dla propagowania sztuki współczesnej można by zastosować te środki, które zdały już egzamin gdzie indziej (np. we Wrocławiu), jak chociażby urządzenie ekspozycji obrazów w dużych zakładach pracy, kawiarniach i innych lokalach, a więc tam, gdzie człowiek może się zetknąć ze sztuką chcąc nie chcąc, jak gdyby mimochodem; organizowanie konkursów otwartych z nagrodami za rozpoznanie autorów dzieł wystawionych anonimowo (we Wrocławiu podobna impreza cieszyła się ogromną popularnością); dalej — subskrypcje obrazów czy grafiki, bezpłatne wypożyczanie przez zakłady pracy, kluby itp. Są to wszystko nieefektywne i żmudne formy „pracy organicznej”, które jednak w przyszłości mogą dać pozytywne rezultaty. Oczywiście, trudno to wszystko zwać na barki samych tylko plastyków — coś do zrobienia miałyby również prasa. Przydałyby się rzetelne, krytyczne omówienia twórczości poszczególnych artystów. Bo, jak dotychczas, środowisko to zdane jest głównie na siebie.

Elżbieta Drzewińska



Fot. Bogdan Bugiel

BALLADA O „DIABLE”

BOGDAN BAK

Trzy z górą lata minęły już od czasu, gdy oglądałem prapremierowe (różnica jednego dnia pozwala mi użyć w tym wypadku liczby mnogiej) przedstawienia „Wracamy późno do domu” w Nowej Hucie i Zielonej Górze. Dziś niedawny debiutant jest już autorem trzech wystawionych („Wracamy późno do domu” — trzy teatry, „Wszędzie są studnie” — dwa, „Zielone rękawice” — trzy), i dwu spoczywających dotąd w szufladzie („Piąta strona świata” i „Cavernus”) utworów scenicznych. Jest więc już dramaturgiem ze stażem i dorobkiem.

Opolska premiera „Zielonych rękawic” może więc stać się punktem wyjścia dla zgłoszenia kilku bardziej ogólnych wniosków porównawczych. Jeśli odrzucić historyczny kostium, jeśli sięgnąć głębiej poza warstwę fabularną, okaże się, że ostatnia sztuka Tymoteusza Karpowicza podejmuje, jak poprzednie, bardzo istotne i bardzo współczesne problemy moralne. Niewątpliwa wyższość „Rękawic” tkwi więc nie w temacie, lecz w formalnej realizacji zamysłu. Dwie „obyczajówki” (choć konsekwentnie przez inscenizatorów — nie zawsze z dobrym skutkiem — „wyobcowywane” z realiów) formułowały wnioski nieomal ostateczne, a już na pewno zupełnie jednoznaczne. Metaforyczne uogólnienia kłóciły się z codziennością tematu. Karpowicz miał skłonność do udziwniania, a trochę zresztą „wydumanego”, co stwarzało dodatkowe trudności inscenizatorom. Zwłaszcza, że (głównie w „Studniach”) niejednolitość stylistyczna, pomieszanie zupełnie odmiennych konwencji, przeładowanie ornamentyką utrudniało percepcję utworów.

„Zielone rękawice” wiąże się najściślej ze „Studniami”. Obie sztuki utrzymane są w konwencji ballady. „Studnie” wprowadzają się balladą podwórzową, współczesną, „Rękawice” — jak chce sam autor — średniowieczną, niemniej ich balladowość jest w obu wypadkach oczywista.

Po tych kilku ogólniejszych — choć niewątpliwie subiektywnych — uwagach o dramaturgii Karpowicza udokumentować wypada postawioną przedmiotem tezę o wyższości „Zielonych rękawic” nad utworami wcześniejszymi. Tkwi ona dla mnie przede wszystkim w konsekwencji. Tym razem Karpowicz utrzymał w ryzach temperament pisarski, wszystkie poczynania podporządkowane są idei naczelnej. Autor nie usiłuje (z jednym wyjątkiem — aluzje do Łokietka) z okazji postawionego problemu nadrzędnego załatwiać spraw może istotnych, ale

dla koncepcji utworu nie najważniejszych. Poza tym już sam fakt przeniesienia akcji w początki czternastego stulecia umożliwił pisarzowi większą swobodę. Przykład: bliskim krewnym Sylweriusza („diabła albo nie” — według określenia autora) jest Sprzedawca Makatek ze „Studni”. Różnica jest jednak oczywista — Sprzedawca „wystaje” (mimo balladowości i mimo tego, że w końcu odkrywa prawdziwe oblicze) z utworu współczesnego, Sylweriusz, frant i wprawny „kostyr” (jeśli już przyjąć, co zresztą nie jest istotne, że diablem nie jest), mieściłby się w balladzie średniowiecznej nawet w swym czarcm wcieleniu. Nie bez znaczenia jest fakt, że „Rękawice” nie narzucają (poprzez warstwę obyczajową) stosunku do realiów, są bardziej finezyjne, pozostawiają więcej „luzu interpretacyjnego”. Pod poszczególne pojęcia — „Sylweriusz”, „rękawice”, „kości” — podstawiać można różne treści, większość zaś wysnutych stąd wniosków można by było wybronić. Bez względu jednak na odmienną poglądów nie ulega tu kwestii, że ogólna wymowa utworu jest jednoznacznie humanistyczna. Autor „Kamiennej muzyki” podejmuje w swej najnowszej sztuce problem, który — w dużym oczywiście uproszczeniu — można wyrazić tak: „Trzeba zawsze strzec swej ludzkiej godności, zachować człowieczeństwo”. Powiada pisarz: „Bądź człowiekiem, ale szanuj diabła”, w tym paradoksie zamykając sens utworu.

Oczywiście z większym entuzjazmem pisałoby się o utworze mówiącym o sprawach dnia dzisiejszego w sposób mniej metaforyczny, niemniej i „Zielone rękawice” przywitać trzeba serdecznie.

Przedstawienie opolskie (trzecie po kazańskim Teatrze Bałtyckim i krakowskim „38”) reżyserował Stanisław Wieszczycki. Reżyser nie budował „nastroików”, choć tu i ówdzie było to na pewno

pociągające. Stworzył spektakl jednoznacznie groteskowy, konsekwentnie punktując wszystkie ironiczne i satyryczne akcenty. Zastrzeżenie podstawowe: wprawdzie „Zielone rękawice” są najbardziej dramaturgicznym zwartym utworem Karpowicza, i tu jednak skreślenia na pewno ani sztuce, ani jej scenicznej wersji nie zaszkodziłyby.

Należy także podkreślić, że zamysłowi reżysera (groteska nie gubiąca ogólniejszego sensu utworu) przyszedł w sukurs scenograf Zbigniew Smandzik, który nie zagubił się w natłoku drobnych realiów. Na trzech podestach jedynie dowcipnymi elementami dekoracyjnymi markował zmiany „miejsca akcji”. Chwałebna oszczędność niewątpliwie ekspozowała słowo Karpowicza i pomysły inscenizacyjne Wieszczyckiego. Równie interesujące były kostiumy, z jednym zastrzeżeniem: niepotrzebnie chyba kostium Sylweryusza kojarzy się z Mefistem.

Aktorstwo nie było najsilniejszą stroną przedstawienia, co jednak nie znaczy, by wykonawcy z zadań się nie wywiązali. Najwyżej ocenić można obu bra-

ciszków jakby z kart „Monachomachii” wyciętych – Bonifacego (Juliusz Zawirski) i Barnabę (Zbigniew Kłopotcki). Konsekwentnie i jednoznacznie zbudował swego Łukę Zbigniew Cynkutiś. Marian Godlewski (Symeon) – nierówny. Obok scen bardzo dobrych tu i ówdzie razila pewna sztywność i sztuczność gestu. Wielką zasługą Winicjusza Więckowskiego jest to, że nie usiłował „diabolizować” swego „diabła”, opowiedział się za aktorskim „albo nie” – i wygrał. Waldemar Łabędzki (Błażej) po pierwszej nie najfortunniejszej scenie, miał potem wiele dobrych momentów. Spory zawód sprawiła mi Danuta Kierkło (Matylda). Po ciekawej Katarzynie, (w jeleniogórskim „Widoku z mostu”), tym razem wprawdzie roli nie „rozłożyła”, ale też nie zbudowała postaci.

Bogdan Bąk

Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej w Opolu.
Tymoteusz Karpowicz: „Zielone rękawice”,
ballada średniowieczna w 5 obrazach. Reżyseria: Stanisław Wieszczycki. Scenografia Zbigniew Smandzik. Premiera: 30. IV. 1961 r.

Jadwiga Skupnik (Mańka) i Bogusław Daniłowski (Seweryn) we wrocławskim spektaklu „Pana Damazego” Blizińskiego reżyserowanym przez Andrzeja Dobrowolskiego.

(fot. T. Skorulski)



Zdawać by się mogło, że na temat tak doszczętnie opisany i tak długo dyskutowany, jak problem regionalizmu w literaturze i rozwoju życia literackiego w środowiskach tzw. prowincjonalnych — nie można już nic sensownego powiedzieć do chwili, w której pokażą się nowe fakty, nowe książki, coś, co usprawiedliwiłoby podjęcie dyskusji. Chyba że się zaproponuje zupełnie nową płaszczyznę rozumowania, nowy i świeży punkt widzenia. Nic więc dziwnego, że z wielkim zainteresowaniem przeczytałem dwa szkice Stanisława Pietraszki: „Spotkanie z pożegnanym” w pierwszym numerze „Odry” i „Normy i ekstremy” w numerze trzecim. Z zainteresowaniem tym większym, że w wielu miejscach Pietraszko podejmuje polemikę z moimi artykułami i recenzjami, z prawdziwą elegancją nie wymieniając zresztą nazwiska, czym mu, niestety, nie mogę się zrewanżować. Każda rzetelna praca wyobraźni zasługuje na odnotowanie, a więc i o tych konstrukcjach teoretycznych nie sposób pisać bezimiennie.

A konstrukcje Pietraszki są istotnie tak sugestywne, że wydają mi się chwila mi, iż sam autor w nie wierzy i z prawdziwym przekonaniem stara się tą wiarą zarazić czytelników. Składają się one z pewnych gotowych elementów, jak Gogolowski obraz prowincji, jak romantyczny protest przeciw ciśnieniu skostniałej poetyki, lecz elementy te połączone zostały z dużą logiką i konsekwencją i przyłożone do dość mglistego w ujęciu Pietraszki tła, jakim jest życie literackie ziem zachodnich. Trzeba uznać ten zabieg za celowy, ponieważ

tylko na zamglonym tle elementy pierwszego planu występują z całą wyrazistością.

Obraz życia literackiego na ziemiach zachodnich jest w tych szkicach dość prosty. Składają się nań małe grupki „profesjonalnych literatów”, które wszelkimi środkami starają się wyrobić sobie okazałą pozycję w prowincjonalnym światku, nie dopuszczając do swego zaśniedziałego grona młodych, acz zdolnych pisarzy, którzy wskutek tego tracą wszelkie szanse, jeśli zaś wytrwają, to spełnić muszą pewne złowróżbne warunki i potem dopiero mogą ubiegać się o przyjęcie do cechu. Bowiem te małe, zaskorupiałe, zawistne i zarozumiałe środowiska chorują na nieuleczalny kompleks niższej wartości w stosunku do środowisk „centralnych”. Żyją tylko tym, „co dzieje się w Peterburku” i oczywiście przedrzeźniają modne w stolicy prądy i kierunki z nieuchronnym opóźnieniem o przynajmniej jeden sezon, tak jak małomiasteczkowe eleganki, które wkładają suknie-worki wtedy, kiedy kończy się moda na „trapezy”. I co się teraz dzieje? Modne było w Warszawie poszukiwanie nowych form wypowiedzi w powieści, modne były w poezji kontynuacje odkryć krakowskiej awangardy. Moda dociera na prowincję i zamienia się w reżim. Brak tradycji nie pojętej komunikatywności, charakterystyczny dla niektórych odmian tych poszukiwań, pełni na prowincji dwojaką funkcję: po pierwsze, pozwala profesjonalnym literatom na puszenie się wobec społeczeństwa swą artystowską niedostępnością, dzięki czemu wzmacnia się

ich pozycja, po drugie zaś określa kryteria oceny „cechu”, którym muszą się poddać młodzi, jeśli nie chcą być zniszczeni przez miejscowych Torquemadów.

I kółko się zamyka. Moda jest już niemodna, Breza pospółu z Jasienicą wyparli Faulknera, na prowincji zaś taniec dopiero się zaczyna. Literaci głośno wołają o „normalizację”, co ma oznaczać, że nie zyczą sobie żadnych rozróbek i nie chcą słyszeć o regionalizmie, bo to uraża ich chorą ambicję. Tymczasem rysuje się coraz głębszy konflikt między kliką profesjonalistów a czytelnikami, między tą kliką a tendencjami polityki kulturalnej, wreszcie między kliką a młodymi talentami a także — uwaga! — starszymi pisarzami, którzy lubią rymy i trwają na swoich tradycyjnych pozycjach artystycznych.

Proszę mi wybaczyć to obszerne streszczenie też Pietraszki, chodziło mi jednak o sprawę bardzo określoną. Mianowicie „Normy i ekstremy” tylko pozornie zajmują się problemami ściśle literackimi i temu służy język szkicu, jego teoretyzujące pozory. W istocie zaś cała analiza Pietraszki sprowadza się do konkretnej materii życia literackiego, procesów psycho- i socjologicznych, które go wyznaczają, podlega zatem trochę innym normom dyskusji. Trzeba więc to było wyraźnie powiedzieć.

Tu zastrzeżenie: jakkolwiek jest, uważam szkice Pietraszki za cenny fragment dotychczasowych dyskusji, cenny dlatego, że doszły w nich do głosu tezy i przekonania wyrażane nie zawsze publicznie, niemniej uporczywie pokutujące w najrozmaitszych zakamarkach życia literackiego, które po raz pierwszy zostały sformułowane z taktem, ostrożnością i rzetelnym doświadczeniem krytycznym. Dlatego można, trzeba i warto podjąć z nimi dyskusję i oczekiwać, że da ona wyniki obustronnie korzystne.

II.

Pierwszym terminem, który podważa w swych szkicach Pietraszko, jest normalizacja życia literackiego na ziemiach zachodnich. Tutaj też ujawnia się z miejsca pierwsza sfera nieporozumień, znamieną dla całości naszych rozważań. Normalizacja oznacza dla Pietraszki coś w rodzaju absolutnej stagnacji, pochwały status quo, coś w rodzaju absolutnego spełnienia. Oznacza spoczęcie na laurach, co byłoby istotnie dość dziwne, jako że nikt jeszcze tych laurów nie widział. Toteż — a jest to stwierdzenie podstawowe dla wszystkich punktów naszego sporu — postaramy się operować konkretnymi. Podobno między dżen-

telmenami nie powinno być sporu o fakty. Tym bardziej mi przykro, że jest on nieunikniony.

Normalizacja życia literackiego oznaczała we wszystkich naszych oświadczeniach nic innego, jak tylko powstanie koniecznych warunków rozwoju literatury. Warunków materialnych. Oznaczała stworzenie możliwości publikacji. Stworzenie możliwości uprawiania literatury. Okres, w którym żadne z większych miast na ziemiach zachodnich nie posiadało ani wydawnictwa, ani pisma, nie sprzyjał — i tu się chyba zgodzimy — rozwojowi literatury. Dziś, kiedy Wrocław, Katowice, Poznań, Gdynia posiadają własne wydawnictwa, kiedy mamy gdzie prowadzić tę właśnie dyskusję, warunki takie istnieją. Fakt ten nazwalibyśmy normalizacją życia literackiego. To znaczy, że nie musimy toczyć publicystycznych bojków o miejsca w dwu lub trzech warszawskich wydawnictwach i czasopismach i dopominać się o opiekę władz kulturalnych, lecz możemy zająć się książkami. To właśnie uważam za normalizację. Nic więcej. Wszystko poza tym podlega dyskusji i — jak chce Pietraszko — przemianom, co można uznać za rzecz, łagodnie mówiąc — oczywistą.

Podstawowe argumenty Pietraszki przeciw uznaniu sytuacji za normalną są następujące: po pierwsze, środowiska literackie ziem zachodnich otoczone są specjalną opieką miejscowych władz w przeciwieństwie do prowincjonalnych środowisk Polski centralnej. Jest to więc sytuacja nie unormowana. Zważywszy, że poza Warszawą, Krakowem i Łodzią w Polsce centralnej istnieje jedno tylko zorganizowane środowisko literackie — mianowicie w Lublinie — przyjąć można, że Pietraszko dopóty nie uzna sytuacji np. wrocławskiej za unormowaną, dopóki nie zostanie ona zaakceptowana przez lubelski wydział kultury. Trudno tę miarę przyłożyć do zachodnich środowisk. Łatwiej natomiast sytuację tych środowisk uznać za przykład właściwego układu stosunków. Nawet gdyby Lublin (wydawnictwo i pismo!) był innego zdania.

Drugi argument jest poważniejszy. Istnieje mianowicie według Pietraszki niezbieżność celów między kierunkami polityki kulturalnej a snobistycznym charakterem prowincjonalnych środowisk zachodnich. Być może Pietraszko posiada jakieś lepsze informacje, mnie jednak obserwacja faktów każe stwierdzić coś innego. Faktami są zaś liczne próby ożywienia zainteresowań pisarzy tematyką ziem zachodnich, stworzenia warunków dla jak najszerszej wymiany poglądów w tym zakresie. A więc ruch pisarzy

ziem zachodnich (przyjdzie do tego tematu oddzielnie powrócić), przede wszystkim zaś rozstrzygnięty przed dwoma miesiącami wielki konkurs na powieść o ziemiach zachodnich, zapowiedziany następny konkurs podobnego typu oraz konkurs na dramat. Faktami są stypendia rad narodowych dla pisarzy podejmujących tematykę związaną z regionem. Zaś wszystkie te inicjatywy, zrealizowane i będące w toku, są inicjatywami środowiska literackiego, tej grupki skompleksowanych snobów, inicjatywami przeprowadzanymi w owocnej współpracy z władzami kulturalnymi. Większość ostatnio napisanych książek o ziemiach zachodnich — a ich autorami są właśnie pisarze na tych ziemiach mieszkający — powstała w wyniku wspomnianych inicjatyw. Trudno o klasyczniejszy przykład zgodności celów i działań środowisk literackich i władz kulturalnych. Władz, które poza tym nie wydają się zmartwione, jeśli książka miejscowego pisarza, nie związana tematycznie z regionem, osiągnie pewien sukces. O cóż więc chodzi? Chyba nie o to, aby Karpowicz pisał wiersze o Moście Grunwaldzkim a Giżycki o polowaniach na zające pod Ziębicami. Czy tak wygląda sytuacja nie-normalna?

III.

Zbliżamy się do centralnego punktu sporu. Środowiska prowincjonalne — twierdzi Pietraszko — powtarzają z opóźnieniem mody centrali. „Nigdzie kurs na tzw. nowoczesność nie spotkał się z tak gorącym przyjęciem, nigdzie tak gremialnie i z taką gorliwością nie podchwycyono wzorów poetyk awangardowych, różnego zresztą autoramentu i różnej wartości — jak właśnie w środowiskach literackich na ziemiach zachodnich”. Powstał „klimat nietolerancji”, mnożyły się próby przekreślenia wewnętrznych, „regionalnych” problemów literatury, co więcej — młodzi pisarze poddali się temu ciśnieniu a ich książki oceniają recenzenci kierując się tylko sztucznymi kryteriami przestarzałej nowoczesności.

I zrób mu pan co — jak mawiał Makuszyński. Obserwując ponury świat, z pasją i precyzją nakreślony przez Pietraszkę, trudno opędzić się uczuciu grozy i przytłoczenia. Tym bardziej, że są to konstatacje tyleż sugestywne, co niejasne. Czym jest bowiem ta małowana przez prowincję zachodnią nowoczesność? Które poszukiwania artystyczne, jakie gatunki artystycznego niepokoju

uznaje Pietraszko za fałszywe i spóźnione, jakie zaś uważa za konieczne, jeśli — w myśl powtórzonej przezeń tezy — literatura ulega ustawicznym przemianom? Częściową odpowiedź na to pytanie daje Pietraszko w zakresie prozy, do czego przyjdzie nam powrócić. Poza tym zaś jego stwierdzenia mają charakter wyłącznie negatywny.

Przyjdzie nam zatem odwołać się znowu do faktów — wroga wyobraźni. A więc poetyki awangardowe, te „różnego autoramentu i różnej wartości”. A więc wszelkie poszukiwania artystyczne w poezji. Czy chodzi o to, że formuły tych poszukiwań zostały przejęte? Lecz jaki jest efekt tych „zapóźwień”? Rozumować można tak: korzystając z zasłony dymnej skomplikowanych poetyk poeci ziem zachodnich uprawiają zgrabnie zamaskowane grafomaństwo. Gdzie? W tomikach Karpowicza? W debiutach Zasadnego, Szweda? Rozumować można też tak: tomiki poetów „poszukujących” biorą na zwykłych prawach udział w życiu literackim kraju, poeci ci odnoszą zaś sukcesy i porażki na miarę swoich możliwości. Ustanowili natomiast monopół, nie dopuszczają prób kontynuacji poetyk dawniejszych, obsiedli wydawnictwa i redakcje. Proszę więc uprzejmie sięgnąć do biblioteki i wydobyc z niej tomiki młodych poetów ziem zachodnich: Raszki i Solińskiej, Bursewicza i Szylkina, Ślezaka, Lubosza, Suzanowicza, Wyżgoła, Kijonki, Niedworoka, Koziółówny, Liskowackiego, Bartyńskiego, Kopaczyńskiego i kogo tam jeszcze. Wszystkie one na swój sposób kontynuują dawniejsze wzory poetyckie, nie mają wiele wspólnego nie tylko ze szkołą tzw. awangardy krakowskiej, ale i innych współczesnych kierunków „różnego autoramentu i różnej wartości”. Natomiast młodzi poeci próbujący tych form czasami i po dziś dzień nie dorobili się jeszcze tomików, np. Goczoł z Opola czy Kos z Wrocławia.

A młodzi prozaicy? Którzy to tak ulegli naciskowi snobów? Patkowski, Mikołajek? Aha, Mikołajek. Mamy tu do czynienia z charakterystyczną mistyfikacją. Mikołajka podobno chwali się za technikę prozy amerykańskiej i ma się do niego pretensję o niedomiary groteski. Istotnie, kilku recenzentów stwierdziło u Mikołajka pewne pokrewieństwo tego typu, uważali widocznie, że obowiązkiem krytyka jest próba ustalenia natury zjawiska literackiego. Istotnie, przede wszystkim Stanisław Zieliński w „Nowych Książkach” wyeksponował znamienne dla Mikołajka elementy groteski. Istotnie, zastanawiano się, jak

dalej potoczy się twórczość młodego pisarza, której — jak sądzili niektórzy — stanie się potrzebny szerszy repertuar środków. Taj co? — jak mawiał wuj pewnego wrocławskiego poety (nieawangardzisty!) po wysłuchaniu jego wierszy. W normalnych recenzjach przeżnięnie nie wrocławskich krytyków dostrzegł Pietraszko cień Apokaliipsy. Recenzenci opisują książkę, zastanawiają się nad rozwojem pisarza, słyszane to rzeczy?

Nie chcę oczywiście spłycać problemu. Pietraszko — by pozostać przy wymienionych przez niego książkach — podejmuje polemikę ściśle literacką. Uważa groteskę w tomiku Mikołajka za obcy mu nalot, zaś zamierzoną naiwność postawy Worcella w „Parafianach” za sztuczny wynik lektury. Zaś za naprawdę interesującą uważa w tych tomach nawrót do surowej materii rzeczywistości miasta czy regionu, z którym wiązały się doświadczenia pisarzy. Jest to przeciwstawienie w rodzaju tego, czy lepiej pije się mleko z kubka czy ze szklanki. Ów nawrót do nekających pisarzy tematów powitano gorąco w większości opublikowanych wcześniej recenzji i artykułów. Zdarzały się natomiast twierdzenia, że pewne właściwości środków pisarskich, zaprezentowane w tych książkach, odświeżają przedmiot opisu, pozwalają odkryć ciekawe jego obszary. Nikt zaś jako żywo nie twierdził, że książki te zawiodą nadzieję na groteskę i intelektualizm, bo nikt takich pobożnych życzeń nie sformułował. Jest to jeden z duchów, wymyślonych przez Pietraszka, aby znaleźć sobie obiekt do bokerskich ćwiczeń.

Wypada tu wspomnieć o pewnym charakterystycznym skrzywieniu wszystkich naszych dyskusji. Pan X pisze mianowicie o sprawie A, na co pan Y atakuje go, twierdząc, iż analizował on sprawę B. zaś trzeci pan Z zwalcza go za poruszoną przezeń rzekomo sprawę C. Mówię tu pro domo sua. Przed kilkoma miesiącami opublikowałem artykuł, w którym starałem się prześledzić, w jaki sposób temat ziem zachodnich powraca — drogą naturalnego rozwoju — w najnowszych książkach pisarzy wrocławskich, chodziło zaś mi głównie o te dwa, ciągle jeszcze wracające tomiki: Mikołajka i Worcella. Pietraszko w sporej partii swego szkicu prowadzi wywód w sposób podobny, atakuje zaś jakąś anonimową krytykę wrocławską za twierdzenia wręcz przeciwnie, ba! — za proces przeciwko współczesnej tematyce! W tym samym zaś numerze „Odry” Jan Gawalkiewicz przypiszcza namięt-

ny atak na tenże artykuł, twierdząc, iż jego celem jest przekreślenie dotychczasowego dorobku pisarzy wrocławskich i ogłoszenie bliżej nieokreślonej „wiosny” literackiej we Wrocławiu. Nie mogę polemizować z Gawalkiewiczem z dwu powodów: po pierwsze, jest to temat osobny, po drugie zaś Gawalkiewicz najwyraźniej nie przeczytał pierwszej, drugiej i trzeciej części mego artykułu, co jest dla mnie tym bardziej przykre, że mój artykuł składał się tylko z trzech części*). Wróćmy więc do tematu zasadniczego.

Myślę, że samo wyliczenie tytułów przekreśla twierdzenie Pietraszki o okrutnej supremacji techniki awangardowej na ziemiach zachodnich. Ale to mało. Spotykamy w „Normach i ekstremach” twierdzenie, iż odsunięci zostali w cień pisarze starszego pokolenia, którzy nie chcieli i nie mogli ulec „terrorowi” nowoczesności. Jest dla mnie rzeczą zagadkową, kogo Pietraszko miał na myśli. Czy Tadeusza Zelenayę, którego dwie książki ukazały się w roku ubiegłym i nikt ich na stosie nie palił? Czy może Kamila Giżyckiego, którego interesujące powieści podróżnicze cieszą się niesłabnącą popularnością? A może poetów młodych, lecz nie debiutantów, których interesujące poszukiwania artystyczne nie mają jednak wiele wspólnego z ową „ekstremistyczną awangardą”, więc Koszutskiego czy Milanczównę? Więc już nawet nie „kto zabił”, jak w powieściach kryminalnych, lecz, o wiele groźniej: kogo zabito?

Ustalmy sobie rzecz, której sformułowanie ma charakter całkowicie truistyczny, a niemniej — o zgrozo — należy to powiedzieć. Nie trzeba być historykiem literatury, aby stwierdzić, że każda epoka tworzy sobie pewien model literatury, który mimo swej wewnętrznej różnorodności posiada jednak, przede

*) Jak już wspominałem, nie mam tu okazji do polemiki z zarzutami Gawalkiewicza, tym bardziej, że w swej istocie opierają się one na nieporozumieniu. Jeśli chodzi o jedyny zarzut konkretny, dotyczący pierwszych zdań artykułu „Martwe i żywe legendy” („Życie Literackie” z 22 stycznia br.), pragnę tylko przypomnieć, że obszerniej swój sąd o wrocławskich widowiskach regionalnych miałem zaszczyt zaprezentować we współredagowanym przez Gawalkiewicza organie („Rocznik wrocławski” 1957) a zasad felietonowego skrótu nie ośmielał się mu przedstawiać. Żałuję tylko, że choć obaj piszemy po polsku, tak trudno się nam porozumieć, ale całkowitą winę gotów jestem przyjąć na siebie.

wszystkim w perspektywie historycznej, jakiś ustalony kształt. Na tej przecież drodze realizuje się postęp literatury. Posiada też swój model literatury współczesna, oczywiście składa się nań rozmaite kierunki poszukiwań, niemniej stwierdzmy rzecz najbardziej ogólną, aż zabawną w swej prostocie, że cechą istotną współczesności są właśnie poszukiwania artystyczne. Jeśli się więc przypuszcza atak na środowiska literackie, można to zrobić w jeden tylko, jedyny sposób. Należy zająć się twórczością, należy wskazać, które z tych poszukiwań są fałszywym uleganiem modom, beztreściowym snobizmem, które z nich i w jaki sposób są narzucane młodym poetom, wreszcie, jeśli uważa się za właściwą kontynuację istniejących już poetyk, ma się również obowiązek powiedzieć, o jakie to poetyki chodzi i na czym polega ich wyższość.

Jeśli idzie o prozę, Pietraszko wskazuje na prozę-hybrydę, prozę eseistyczną, jaką zaprezentował u nas Breza. Nie chcę używać chwytów niedozwolonych, nie powiem więc, że Mikołajkowi i Worcellowi Pietraszko proponuje eseistykę. W ogóle uważam, że warto by zaczekać, aż tych książek będzie więcej, a nie zamęczać do cna dwa nieszczerne tomiki jako jedyne przykłady. Jest bowiem znamienne, że zarzucając krytyce ziem zachodnich wszystkie możliwe grzechy główne, arbitralność, wąski profesjonalizm, Pietraszko w gruncie rzeczy nie robi nic innego: absolutyzowanie zjawisk, proponowanie tych „mód”, które sam uważa za właściwe — podstawia na miejsce dotychczasowych praktyk, których istnienia, nota bene, nie usiłuje nawet udowodnić.

Sądzę, że rzeczą najwłaściwszą, a nie innego się w końcu dotychczas nie robiło (poza wyjątkami, o których nie warto wspominać) jest przyznanie krytyce roli nieco skromniejszej. Niechże ona śledzi ukazujące się książki i pisze o tych książkach, niechże konstruuje teorie, kiedy może wesprzeć się na faktach, i niechże wtedy od tych faktów wychodzi. Droga od teorii do dwu lub trzech faktów świadczy pięknie o wyobraźni, ale to już temat osobny i w tym wypadku rozważanie go byłoby niestosowne.

IV.

Pozostaje jeden jeszcze zespół zagadnień, które należy przynajmniej nazwać. O problemach ruchu literackiego na ziemiach zachodnich mówi się obszernie przynajmniej od trzech lat. Mówiło się o nich na trzech kolejnych zjazdach pisarzy ziem zachodnich (materiały dwu pierwszych zostały ogłoszone drukiem), pisze się między zjazdami. Wielka szkoda, że Pietraszko nie sięgnął do tych materiałów choćby po to, aby zobaczyć, jak bardzo zawieszono są w powietrzu wszelkie tezy o programowym odwróceniu pisarzy Nadodrza od współczesności tych ziem, jak bardzo pozbawione są gruntu sugestie o „arbitralnie zamkniętych środowiskach”, nie dostępnych dla ludzi, którzy „nie mają rekomendacji w postaci legitymacji Związku Literatów”. Specjalne zjazdy i seminaria dyskusyjne młodych prozaików i poetów, ich udział w zjazdach, a nawet w akcji stypendialnej, wciąż nowe nazwiska w oddziałach Związku (w ciągu ostatnich kilku miesięcy oddział wrocławski powiększył się o sześciu młodych pisarzy) — wszystko to są rzeczy, których — zdawałoby się — nie można nie zauważyć. W tym miejscu powiedziałyby może Pietraszko, że to są właśnie ci „grzeczni”, ci, którzy ulegli snobizmowi starszych. Niechże więc przejrzy nazwiska, a potem powie, jakie to „zignorowane szanse na prawdziwą(?) literaturę pozostały i pozostają poza arbitralnie zamkniętym środowiskiem”. Niedobrze się czuję w atmosferze tajemniczości, która otacza te tak sprytnie zakonspirowane rewelacyjne talenty.

Wydaje mi się, że pewien „model” życia literackiego, jaki wytworzył się na ziemiach zachodnich, ma wszelkie cechy użyteczności i rozsądku. Życia literackiego, a więc zespołu warunków dla rozwoju literatury. Model zaproponowany przez Stanisława Pietraszkę nie ma natomiast nic wspólnego z obiektywnie sprawdzalnymi faktami, wchodzącymi w skład tego, co nazywamy życiem literackim. A w zakresie literatury? Obawiam się, że jeśli istnieje tu groźba jakichś apokaliptycznych skrzywień, to zarysowała się ona po raz pierwszy właśnie w szkicu Pietraszki.

Zbigniew Kubikowski



Fot. Zbigniew Łukowicz

We Wrocławiu, w parku nad fosą wznosi się posąg Pegaza, dobrze znany mieszkańcom tego miasta, dobrze wszyscy jednak wiedzą, iż natchnął on Arnolda Ulitzę do napisania opowiadania pt. „Jaskółki”, opublikowanego w zachodnioniemieckim czasopiśmie rewizjonistycznym „Schlesien”. W przypisie końcowym tej historyjki czytamy, iż bohaterem jej jest niemiecki malarz Drobek, a rzeźba, którą wspomina autor w swym utworze, to właśnie ów wrocławski Pegaz. „Jaskółki” są w mniemaniu Ulitzę traktatem o przyjaźni polsko-niemieckiej, bardzo specyficznym zresztą pojętej.

Autor opowiada o losach niemieckiego artysty-malarza, który w roku 1945 wraca do polskiego już Wrocławia. Maluje tutaj kościoły, a w wolnych chwilach udaje się nad fosę, by godzinami podziwiać wspomniany pomnik. Zaprzyjaźnia się tam z młodą Polką, która również jest zakochana w tej rzeźbie. Rzeźba zaś swe przetrwanie zawdzięcza polskiej gazecie, która podała nieprawdziwą wiadomość, jakoby niemiecki ten posąg był dziełem genialnego rzeźbiarza polskiego Jana Buchnalskiego, który w kwiecie wieku zginął z rąk niemieckich morderców.

W czasie dalszych spotkań Niemca z Polką dochodzi do wzajemnych wynurzeń. Ona, pełna zachwyty dla niemieckiej kultury i dla Drobka osobiście, wyznaje mu płonąć ze wstydu, iż pracuje przy wywożeniu wartościowych książek niemieckich do Warszawy. Młoda Polka poddaje się całkowicie „urokowi” starego Niemca, łączy go w rękę, bo pokochała go jak własnego ojca. Idylla ta rozgrywa się na ławce nad fosą w roku 1945. Zimą przychodzi jednak „nieszczęście”. A wszystkimu winien jest znów zionący nienawiścią artykuł polskiej gazety pt. „Zdemaskowanie”, w którym rozwścieczony dziennikarz informuje czytelników, że rzeźba nie jest dziełem polskiego, lecz niemieckiego artysty.

Tymczasem w parku niemiecki malarz spotyka polską egzaltowaną panią, która opowiada mu łamaną niemiecką o okropnym wydarzeniu. Do głębi zawstydzona mówi, iż rzeźba nad fosą „jest kaputt, całkiem kaputt na wieczność, przez Polaków zniszczona i rzucona do fosy! O, proszę nie iść, nie dzisiaj, zbyt zły czas dla Niemców. Jeszcze tysiąc ludzi tam! Nie ludzi, bestii tysiąc! Ja pełna wielkiego strachu za ciebie! I tak pełna wielkiego wstydu z polskiej hańby. Sztuka święta musi być — czy polska czy niemiecka”.

Tak to Arnold Ulitzę zniszczył w swoim opowiadaniu „Pegaza”, który chociaż wyszedł spod dłuta niemieckiego, posłedniego zresztą, rzeźbiarza, stoi spokojnie w naszym parku po dzień dzisiejszy. Autor, ongiś gorliwy zwolennik fuhre-ra, przypisał wymyślone przez siebie barbarzyństwo „bestiom polskim”.

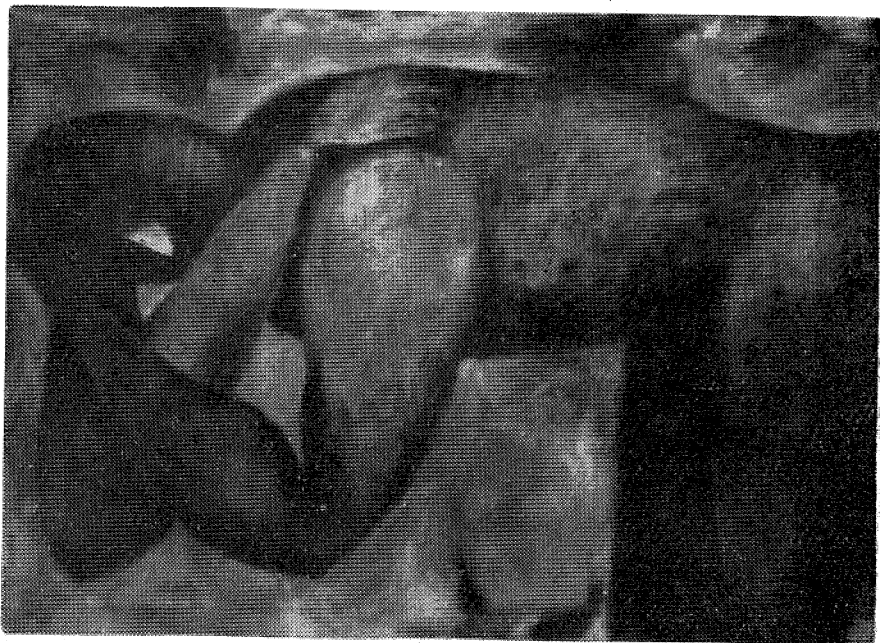
Powróćmy jednak do samego opowiadania. Po udowodnieniu, iż Polacy są bezprzykładowymi niszczycielami kultury, autor każe swemu bohaterowi wyjaśnić Polce, że to nie sztuka, lecz życie ludzkie stanowi największą świętość. Malarz

Kulturtraegerzy nie wymarli

nie zapomina oczywiście o głównym hasle rewizjonistów i przy najbliższej okazji stwierdza, że polskie ziemie zachodnie to „święta ziemia narodu niemieckiego, na której żył on przez 800 lat i której nie może mu odebrać żaden inny naród”. Polska bibliotekarka zaś przyłącza, że myśli tak samo, jak on. Wszysko dzieje się jak w faszystowskim melodramacie o niemieckim postannictwie. Niemiec łączy dziewczynę w czoło i mówi uroczysto, że dzięki niej odżył się znów wiarę w człowieka (domyślnie — w obliczu polskiego barbarzyństwa), ba — wierzy nawet iż kiedyś może dojść do przyjaźni pomiędzy Niemcami a Polką, „bo przecież narody polski i niemiecki wyrzuciły sobie w zaje m nie tyle złego”. Na razie jednak, zdaniem Ulitzę, malarz niemiecki i polska dziewczyna to tylko dwie jaskółki, a dwie jaskółki nie czynią jeszcze lata.

Tak to pod piórem niemieckich pisarzy rewizjonistycznych wyglądają perspektywy na przyszłość wzajemnych stosunków między Polską a Niemcami. Symboliczny jest przy tym fakt, iż opowiadanie to, reprezentujące „klasyczny rewizjonizm”, zostało oparte na kłamstwie w myśl zasady: „Fakty się nie zgadzają — tym gorzej dla faktów!” My ze swej strony dedykujemy p. Ulitzę aktualne zdjęcie Pegaza.

Józef Nowak

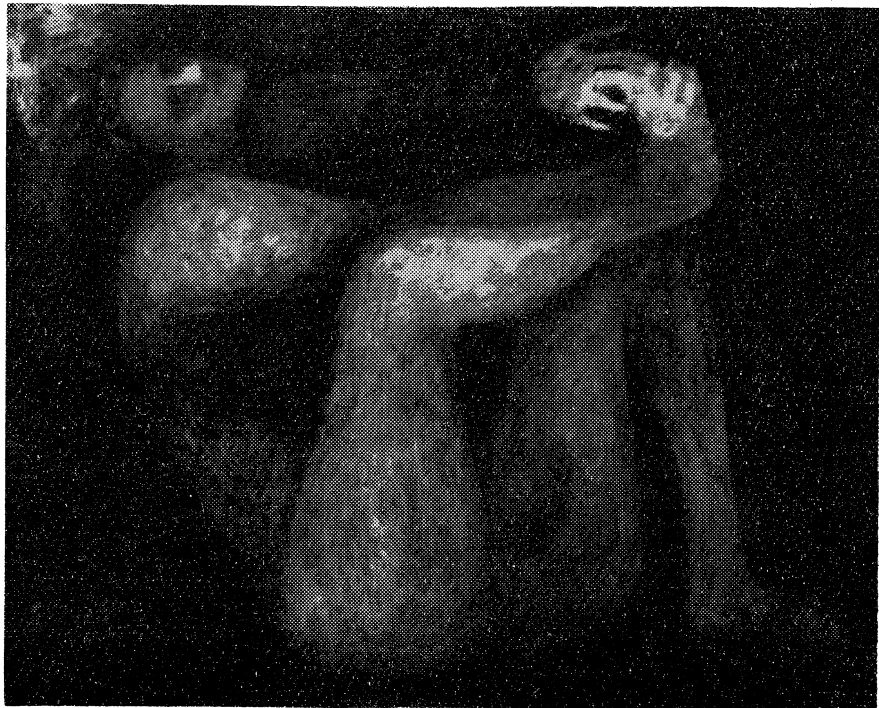


Anna Szpakowska-Kujawska

• *Muzykant*

Anna Szpakowska-Kujawska

Oczekiwanie



O „POCZWARZE” DODATKOWO

W kwietniowym numerze „Odry” został zamieszczony artykuł Romana Kalety „Poczwara”. Słuszne jest zakończenie artykułu, że wrocławskie gazetka akademicka pod tym tytułem „zasługuje dzisiaj na przypomnienie i notatkę nie tylko bibliograficzną”. Przypomnienie jednak powinno być dokładne i rzeczowe, by nie dezorientowało czytelników. W związku z tym wydają mi się konieczne następujące wyjaśnienia i uzupełnienia:

Obok Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego i Towarzystwa Polskich Górnoślązaków, wspomnianych przez Autora, istniało we Wrocławiu od roku 1869 do roku 1886 odrębne, nie znane Autorowi „Kółko Towarzystwie Akademików Wrocławskich Narodowości Polskiej”. W tym to właśnie „Kółku” zajmowano się redagowaniem „Poczwary”.

Do tegoż „Kółka Towarzystwiego” odnosi się przytoczony przez Autora fragment artykułu z „Dziennika Polskiego” z roku 1877.

Działalność „Kółka Towarzystwiego” i początki „Poczwary” przedstawił na podstawie materiałów źródłowych poważny badacz i znawca tego zagadnienia, Antoni Karbowski, w cytowanej przez Autora pracy „Młodzież polska akademicka za granicą 1795—1910”, Kraków 1910, ale na stronie znacznie dalszej niż cytowana.

We wspomnianej pracy Karbowskią czytamy bowiem na str. 300 m.in.: „W „Kółku Towarzystwie” we Wrocławiu po długich naradach i wahaniach zgodzono się w maju r. 1870 na wydawanie pisemka humorystycznego. Projekt zrealizował się pt. „Poczwara”. Redaktor odczytywał pisemko po zamknięciu oficjalnego posiedzenia. Siady tego wydawnictwa, upadającego i podejmowanego na nowo, znaczą się jeszcze w r. 1878”.

O wydawaniu „Poczwary” przez „Kółko Towarzystwie” świadczy też pierwsze sprawozdanie „Kółka”, opublikowane po 15 latach jego istnienia równocześnie w „Dzienniku Poznańskim”, nr 53 i w „Katoliku”, nr 21 z roku 1883. W sprawozdaniu tym jest mowa o „Poczwarze” jako o pisemku humorystycznym redagowanym przez jednego z kolegów.

Wreszcie dokładne wiadomości o tym pisemku podaje studiujący od roku 1884 we Wrocławiu Wielkopoleńczyk, członek Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego i „Kółka Towarzystwiego”, Teodor Filipowicz w książce „Moje wspomnienia (1860—1932)”, wydanej w Poznaniu w roku 1933. Na str. 18 Filipowicz wspomina,

że ówczesnym studentom urozmaicały życie m.in. „zebrania towarzyskie w „Kółku”, bardzo mile, śpiewy, muzyka, „Poczwara”, w której najwięcej odznaczał się Władysław Dalbor¹⁾, a która skalpowała w soboty niemal wszystkich kolegów cięcie i rozdmuchiwała ciągły śmiech, nieraz wprost homeryczny”.

Jeszcze raz wymienia Filipowicz „Poczware” na str. 149 swoich „Wspomnień”, gdzie pisze m.in.: „Kółko” akademickie schodziło się co sobotę na miłą pogawędkę, śpiewy, a kolega Władysław Dalbor odczytywał „Poczware”, bardzo humorystyczną, nabierającą obecnych kolegów srodze, lecz nie ostro, mcze rozśmieszając, lecz nie zgrzyliwie”.

Do „Kółka Towarzystwiego” należało według albumu łącznie 454 członków, wśród których byli wspomniani przez Autora artykułu Antoni Bederski i Bolesław Erzepki, należący równocześnie, jak wielu innych, do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego.

Autor artykułu stwierdza, że „mimo wieloletnich poszukiwań archiwalnych” nie dotarł do egzemplarza „Poczwary”. Nie udało się to również w roku 1910 Karbowskiemu „mimo zabiegów usilnych”, jak o tym pisze w cytowanej pracy.

Z przytoczonych fragmentów, wydobytych z cennej pracy Karbowskią i ze „Wspomnień” Filipowicza, wynika, że „Poczwara” była wydawana wyłącznie przez „Kółko Towarzystwie” od roku 1870 do co najmniej 1884 i że nie można jej łączyć z żadnym innym towarzystwem. „Poczwary” nie można też utożsamiać z „Gazetą Pivną”, wydawaną od roku 1872 przez Towarzystwo Polskich Górnoślązaków, o czym mówi w swoim artykule (nie wspomnieniu!) jedynie ks. Raczek, z którego fragment (nie-dokładny zresztą) zacytował Roman Kaleta.

Powyższe wyjaśnienia i uzupełnienia mają dać pełniejsze i dokładniejsze „wyobrażenie o tym czasopiśmie”, oparte na materiałach źródłowych i nie pochodzących „z drugiej ręki”.

Jan Reiter

1) Wielkopoleńczyk Władysław Dalbor studiował we Wrocławiu medycynę od roku 1882 i w czasie studiów był członkiem „Kółka Towarzystwiego”, Towarzystwa Medycznego Akademików Polaków, a od roku 1885 i Czytelnicy Akademików Polaków. Późniejszy lekarz w Trzemesznie.

ARCHIWUM

PIERWSZE KAWIARNIE WROCŁAWSKIE

Właśnie w tym czasie, podobnie jak w całej Europie, rozpowszechnia się we Wrocławiu picie kawy, herbaty i czekolady. W latach dziewięćdziesiątych XVII w. sprzedaż ich prowadził kupiec Jerzy Hellmann, który otworzył pierwszą kawiarnię. Filiżanka kawy kosztowała kreuzera i 2 gr. Mimo oporu rady, która widziała w tym same szkodliwe strony, przyzwyczajanie młodzieży do lenistwa i lekkomyślności, Hellmann w 1707 r. uzyskał przywilej cesarski na prowadzenie swego zakładu. Znalazł on naśladowców i w 1741 r. znajdowało się we Wrocławiu już 5 kawiarni.

„Dzieje Wrocławia” — W. Długoborski, J. Gierowski, K. Malczyński

GALCZYŃSKI I BYŁY BISKUP ZIEM ODZYSKANYCH

Napisałem wtedy felieton literacki Pani Kociubińska, drukowany w „Ekranie Tygodnia”, dodatku „Wrocławskiego Kuriera Ilustrowanego” (1948 nr 46/97). Felieton rozwijał żartobliwie zagadnienie komparatystyki poetyckiej od teatru biskupiego w Heilsbergu na Warmii po teatrzyk Galczyńskiego w „Przekroju”... To z tamtego pokolenia satyryków, libertynów, paszkwilantów brał Galczyński przykład, osmielenie, nawet pewne środki literackie dla swojej walczącej literatury. Nie na próżno w wywiadzie wrocławskim, którego udzielił Tadeuszowi Lutogniewskiemu, wymienił Krasickiego między pisarzami, których wpływom poddaje się „najchętniej”: „Krasickiego — wielkiego nauczyciela humoru i byłego biskupa Ziemi Odzyskanych”.

„Temat Wrocław” — Tadeusz Mikulski

ZNAKOMITY DRUKARZ Z LUBOMIERZA

Hieronim Wietor, znakomity drukarz krakowski, z pochodzenia Ślązak z Lu-

bomierza pod Jelenią Górą... był propagatorem polskiej książki:

„...chcąc niejaka wdzięczność a pożytek uczynić Polakom, myślałem mową polską i księgi polskie moim nakładem wybijać, która rzecz aczkolwiek wielką trudność w sobie miała a ukazała, a wszakoż ja zjęt chciwością a świebodością ziemie tej polskiej, zamienitej a wszechnajobfitszej, tymem większą chciwość miał” (Marchońt 1521).

Jest on właściwym kodyfikatorem nowoczesnej grafii polskiej, gdyż on pierwszy zastosował pisownię diakrityczną: ś, ź, ć, ń, ł.

„Nazwiska Ślązaków” — Stanisław Rospond

NARODZINY „PIONIERA”

Fabryka dzierzoniowska przygotowuje się do wypuszczenia na rynek nowego radiodbiornika. Nosi on nazwę „Pionier”. Fabryka rozpocznie masową produkcję już w lipcu br., a w grudniu ma osiągnąć 7.000 sztuk miesięcznie. Konstruktorami są polscy specjaliści inż. Rotkiewicz i inż. Brochstein.

„Wrocławski Kurier Ilustrowany” — 11. IV. 1948.

„NAZEWNICTWO”

W Wałbrzychu zmyślny knajpiarz ochrzcił swój bar tak: „Pod bohaterem”. Niestety, historia milczy, jakiego to bohatera wziął sobie za patrona właściciel knajpy.

I jeszcze kiosk: „Szaberek”. Czy odnosi się to do zawartości kiosku, czy też nazwa ta przypominać ma sprzedawcy piękne minione chwile — pozostanie tajemnicą autora oryginalnej nazwy.

„Naprzód Dolnośląski” — 21. IV. 1947.

Wybrał

Aleksander Olek



„Iz Polacy nie gęsi, iz swój język mają“ — te słowa imć Reja zrobiły wielką karierę. Brakuje natomiast równie związłego i celnego sformułowania, które by przypominało nam prawdę akurat odwrotną, że mianowicie język polski jest w świecie znany, niestety, bardzo mało. Widoków na zmianę takiego stanu rzeczy raczej nie ma. Stąd wnioski: pierwszy, że jadąc w obce kraje musimy znać obcą mowę; drugi, że chcąc propagować w świecie znajomość polskich spraw i polskiego punktu widzenia musimy to czynić w języku bardziej znanym niż polski. Któż nie przyzna, że są to prawdy banalne, ale zarazem któż zaprzeczy, że do niedawna były one w naszym kraju ignorowane dość nagminnie.

Oto i powód tych dywagacji. Mamy do odnotowania dwie nowe inicjatywy wydawnicze, zgoda od siebie zresztą niezależne, ale w pewnym sensie wzajem się uzupełniające. Mowa o poznańskich „Polish Western Affairs“ i wrocławskich „Annales Silesiae“*).

„Polish Western Affairs“ stanowią coś na kształt zagranicznej wersji „Przeglądu Zachodniego“, obejmują bowiem szeroki zakres zagadnień dotyczących naszych ziem zachodnich i północnych oraz stosunków polsko-niemieckich na ogólniejszym tle spraw niemieckich. Pismo jest, co wypada podkreślić od razu, redagowane naprawdę doskonale, jego linia programowa rysuje się bardzo wyraźnie. Zawartość obu pierwszych zeszytów świadczy o tym z całą pewnością.

I tak w zeszycie pierwszym znajdujemy, poza słowem wstępnym od wydawcy, szkic Aleksandra Gieysztora o powstaniu państwa polskiego w wieku X oraz Janusza Ziółkowskiego o rozwoju gospodarczym ziem zachodnich i północnych, ponadto analizę „Podręcznika rewizjonizmu niemieckiego“ (1 000-stronicowy tom „Das oestliche Deutschland“, wydany w NRF w roku 1959) i omówienie publikacji o niemieckiej

DWIE PREZENTACJE

V Kolumnie. Zeszyt drugi przyniósł prace Alfonsa Klafkowskiego o granicy polsko-niemieckiej w systemie porozumień międzynarodowych, Stanisława Waszaka o liczbie ludności niemieckiej w Polsce w latach 1931–1959 na tle strat ludnościowych Niemiec podczas wojny, Kazimierza Żygulskiego o rewizjonistycznym „Recht auf die Heimat“ wobec rzeczywistości społecznej polskich ziem zachodnich i północnych, wreszcie Witolda Hensla o archeologicznych świadectwach polskości tych ziem.

Ten zasadniczy dział artykułów uzupełnia rozbudowany dział recenzji i dyskusji oraz kronika. Językiem zasadniczym tekstów jest język angielski, niektóre jednak artykuły drukowane są w języku francuskim, a wiele recenzji z publikacji niemieckich — w języku niemieckim. Pożytecznym uzupełnieniem jest lista współpracowników — autorów każdego zeszytu, podająca ich kwalifikacje i kompetencje naukowe.

W sumie „Polish Western Affairs“, wydawane pod auspicjami Komisji Koordynacyjnej Instytutów Ziem Zachodnich (obok Instytutu Zachodniego, dwa Instytuty Śląskie, Instytut Bałtycki, Wrocławskie Towarzystwo Naukowe i Komisja Naukowa Zachodniej Agencji Prasowej), są praktycznie dziełem środowiska Instytutu Zachodniego. Jako się rzekło, jest to przedsięwzięcie nad wyraz udane, a sprawującemu naczelną redakcję prof. Michałowi Szczanieckiemu należą się szczerze gratulacje.

„Annales Silesiae“ prezentują koncepcję dość odmienną. Najpierw, co wynika z samej nazwy, ograniczają swój zasięg tematyczny i problemowy do Śląska, pojmowanego oczywiście szeroko — od Wrocławia po Katowice. Po drugie — stawiają sobie za zadanie być tylko przeglądem nauki o Śląsku, i nauki na Śląsku, odzegnując się od publicystyki

*) „Polish Western Affairs“, 1960, Vol. I No 1, 2. „Annales Silesiae“, tom I, zeszyt 1 i 2, Wrocław 1960.

naukowej mającej wyraźny aspekt polityczny, którą programowo uprawiają „Polish Western Affairs”. Po trzecie wreszcie przynajmniej w połowie adresowane są do czytelnika polskiego, bo wszystkie teksty publikowane są tu w pełnej wersji po polsku i po angielsku.

Trudno nie uznać, że inicjatywa jest bardzo interesująca, pożyteczna, że oczekiwaliśmy po niej wiele. Cóż więc przynoszą pierwsze dwa zeszyty? Zeszyt pierwszy zawiera trzy większe prace — Józefa Dzieżyca i Bolesława Świętochowskiego o rejonizacji rolnictwa na Dolnym Śląsku, Kazimierza Czyżewskiego o badaniach nad wolem na obszarze sudeckim oraz Wacława Długoborskiego i Kazimierza Popiołka o badaniach dziejów przemysłu i klasy robotniczej na Śląsku. W zeszycie drugim Stefan Ingłot pisze o związkach gospodarczych Śląska z Rzeczpospolitą od XVI do początków XVIII wieku, Kazimierz Orzechowski o poddaństwie na Śląsku, a Józef Oberc o podziale wiekowym Sudeatów. Poza tym jest jeszcze dział kroniki — „Nauka na Śląsku” i „Przegląd piśmiennictwa”.

Nie sposób odmówić celowości publikowania któregośkolwiek z wyliczonych tekstów, jeśli wziąć je każdy z osobna. Gdy wszakże zestawimy je razem, okaże się, że niestety nie stanowią one żadnej całości, że są zbiorem raczej przypadkowym. A przecież przede wszystkim pierwsze numery nowego poważnego czasopisma o tak zobowiązują-

cych założeniach jak prezentacja nauki o Śląsku i na Śląsku powinny legitymować się kompozycją wyraźniej określona.

Oczywista, nie idzie o brak tematów dla tak pomyślanego pisma. Zagranicy jest przecież co pokazać — w całościowym, syntetycznym ujęciu — z wybitnych osiągnięć historii najnowszej, etnografii, archeologii, geografii, dziedzin, w których wiedza o Śląsku wzbogaciła się w powojennym kilkunastolecium w sposób wybitny. A o rozwoju nauki na Śląsku — również w tym samym syntetycznym rzucie — można pisać jakże wiele: o matematyce i chemii, naukach technicznych i medycynie, fizyce teoretycznej i antropologii.

Problem zapewne w trudnościach autorskich: pośród ludzi nauki niechęć do pisania syntez jest duża, każdy woli o swoim ogródku. Ale to już jest trudny, niewdzięczny obowiązek redakcji wojować o takie właśnie teksty, i na to rady nie ma.

Pozostaje nadzieja, że następne zeszyty „Annales Silesiae” okażą się bogatsze w tematy zdolne zainteresować najbardziej od naszych spraw oddalonego czytelnika zagranicznego. Zapowiedzi treści numerów następnych zdają się na to wskazywać. Chyba nie zostaniemy też zawiedzeni. Życzymy przecież temu pożytecznemu przedsięwzięciu jak najpomyślniejszego rozwoju.

Jan Kaczmarek

STARY I NOWY WROCLAW

Jest to pierwszy i jedyny dotychczas album o Wrocławiu*). Publikacje tego typu mogą być układane według różnych zasad. Mogą stanowić kolekcję zdjęć architektury starej i nowej, miejsc najbardziej godnych obejrzenia. Są wtedy rodzajem przewodnika. Mogą być ilustracją jakiegoś problemu, na przykład

*) Stary i nowy Wrocław. Koncepcja i zdjęcia: Janina Mierzecka. Układ zdjęć i podpisy: Olgierd Czerny. Ponadto zdjęcia: Krystyna Gorazdowska, Bronisław Kupiec, Wojciech Kočka. Wstęp: Antoni Knot. Opracowanie graficzne: Wiesław Zajączkowski. Ossolineum 1960. s. 12 + 66 fotografii.

pokazywać poszczególne etapy odbudowy miasta. Mogą być komponowane przede wszystkim na zasadzie selekcji artystycznej. Wtedy album byłby fotograficznym utworem o Wrocławiu, przemawiałby pasją fotografa, jego osobistym zaangażowaniem, stanowiłby wizję autora, jego indywidualne spojrzenie na temat. Mógłby zajmować się tylko architekturą, ale mógłby też pokazywać życie ludzi w mieście, tropić mieszkańców w charakterystycznych codziennych sytuacjach. Możliwości jest wiele i wszystkie niemal mogą dać w realizacji książkę piękną, która spełni swe zadanie propagandowe wobec kraju i zagranicy.

Wybrano wyjście pośrednie. Obok odbudowy chciano pokazać mniej więcej wszystko, co we Wrocławiu jest ważne — obok architektury gmachów, architekturę wnętrz, a nawet przemysł. Tak te założenia formułuje Antoni Knot we wstępie:

„Stary i nowy Wrocław jest niewątpliwie wydawnictwem typu dokumentalnego. Na jego ukształtowanie i formę wywarły też wpływy okoliczności rocznicowe. Ten drugi взгляд nakazywał utrzymanie równowagi i proporcji między częścią historyczną a współczesną; spowodował rezygnację z niektórych elementów, jakie potrafi wydobyc artysta fotografik z piękna architektury na rzecz pokazu szarego realizmu zniszczenia czy mozolnych stadiów odbudowy.

W historycznej części albumu znajdujemy zabytki architektury lub ich fragmenty, poprzedzone pokazem terenów wczesnohistorycznych miasta i współczesnej akcji wykopaliskowej, nadto widoki dzielnic zabytkowych. W odniesieniu do obiektów zabytkowych pokazano stan ich zniszczenia w obrazach z 1945 r., roboty konserwatorskie oraz stan po odbudowie. Druga część albumu to Wrocław dzisiejszy. Tę wypełniają pokazy budowli nowszych, zniszczonych w 1945 r., obecnie całkiem odbudowanych, oraz budynków nowych, ukończonych bądź będących w trakcie budowy. Osobno należy wyróżnić zdjęcia przedstawiające wnętrza sklepów, salonów wystawowych, warsztatów przemysłowych oraz pracowni naukowych.”

Te ambitne założenia nie pomieściły się w zestawie 66 fotografii. Objętość okazała się zbyt mała, żeby móc pokazać wszystko. W rezultacie pokazano niewiele. Jeśli pierwsza część albumu daje szeroki obraz stanu zniszczenia, przede wszystkim budowli zabytkowych i ich późniejszej odbudowy, to część druga — obrazująca Wrocław dzisiejszy — nie może zadowolić wymagań, jakie mieszkanie Wrocławia, znający i lubiący to miasto, stawia takiemu wydawnictwu, a także w niewielkim tylko stopniu daje wyobrażenie o Wrocławiu cudzoziemcowi, do którego dotrze ten album. Nawet zabytki nie zostały pokazane w sposób bardziej interesujący. Nie wiem, czy szczęśliwa była w tym wypadku rezygnacja „z piękna architektury”. I wrocławski gotyk, i wrocławski barok wyszły dość ubogo. Odbiorca pragnąłby otrzymać wydawnictwo, które by nie było tylko stereotypową „pamiątką”, ale dawało też nowe spojrzenie na miasto. Znając twórczość Janiny Mierzeckiej, żałujemy, że autorka dała zdjęcia stanowiące tylko rejestrację zabytków, dobre, lecz ograniczone przez ich funkcję. Kilka kościołów, rzeźby Urbańskiego, jedna Bardzińskiego, Aula Leopoldina, Uniwersytet, Ossolineum i kilka innych obiektów to niedużo. Żałujemy, że nie ma detalu, interesują-

cych ujęć, własnej wizji, czegoś co wyraża atmosferę miasta i stanowi jego portret, pendant do świetnych portretów psychologicznych, jakie znamy z twórczości artystki.

Zbyt dużo chyba miejsca poświęcono odbudowie zabytków. Podobny album mógłby być wydany parę lat temu, wtedy już większość fotografowanych kościołów była w stanie dzisiejszym. Dumę dzisiejszego Wrocławia stanowi zmieniające się oblicze miasta; morze ruin przekształcone w wielohektarowe zieleńce i kolorowe bloki mieszkalne. Przestrzeń, ład i porządek. Coś z tego winno znaleźć się w tej książeczce wydanej w roku 1961. Tymczasem mamy pióty, rusztowania, makiety.

Nieporozumieniem wydaje się daleko idący wszystkoizm książki. Co mówi jedno zdjęcie z Pafawagu o naszym przemyśle? Z pewnością mniej, niż gdyby go wcale nie było. Oprócz tego obrazka pracę pokazuje jedno nieciekawe zdjęcie (46) warsztatu Politechniki. Oczywiście chodziło w nim o założenia architektoniczne, ale jest to jeden z nielicznych wypadków, w których pokazano wrocławian. A obok — pusty Klub Dziennikarza, pusty teatr, pusty (chyba) plac budowy (61). Jest to co najmniej niekonsekwencją. Zwłaszcza czytelnik zagraniczny, dla którego przeznaczono są angielskie podpisy pod ilustracjami, nie odgadnie z tych zdjęć, jak wygląda życie w dzisiejszym Wrocławiu.

I sprawa najważniejsza. Książkę, jak czytamy w metryczce, podpisano do druku 16 stycznia 1961, wydrukowano w lutym 1961. Ale do składu podpisano już 12 maja 1960. Dlatego chyba (wliczając dłuższy okres przygotowania redakcyjnego) mamy tylko makietę szkoły na Podwalu, zamiast fotografii gotowego i tak fotogenicznego przecież budynku. Dlatego budownictwo indywidualne, które może się poszczycić wielu pięknymi willami na Grabiszynie, Karłowicach i w innych dzielnicach, reprezentuje szpetny domek z prefabrykatów. Szybciej buduje się domy, niż składa książki o objętości 4,75 arkusza drukarskiego!

Są to uwagi mieszkańca miasta, który spodziewa się, iż zostaną zrealizowane obietnice Wstępu, że niedługo otrzymamy nowe albumy — albo większe objętościowo, gdzie nie będzie raził natłok połowicznie spełnionych zamierzeń, albo o ograniczonym, ale bardziej wyraźnym zakresie.

Może takie albumy otrzymamy i od innych naszych fotografików, którzy w ten sposób zechcą i będą mieli możliwość utrwalić to, co znamy z ich wy-

staw i przygodnych reprodukcji w prasie. Na razie na zasadzie „lepszy rydz...” zadowolamy się tym, cośmy dostali, mając jednak większe i usprawiedliwione chyba apetyty. Wydaje się jednak, że stać nas również na album, który mógłby zaspokoić apetyty zagranicznego czy-

telnika, przywykłego może do bardziej efektownych środków propagandy. Sami go zresztą do nich przyzwyczajamy konsekwentnie od paru lat, chociażby wydając miesięcznik pod tytułem „Polska”.

Jacek Łukasiewicz

SOCJOLOGIA Z LUKREM

Niemal w każdej dziedzinie notujemy pilne wychwytywanie dokumentów pionierskich dni. Odrabiamy w ten sposób zaległości okresu, który nie sprzyjał pisaniu kronik a który zaważył istotnie na obliczu naszej współczesności. Gospodarski trud powojennych lat nigdzie nie był tak bezmierny i żywiołowy jak na ziemiach zachodnich. Rzecz jest znana i nie wymaga komentarzy. Co najmniej trzeba cześć aktualnych mieszkańców tych ziem to bezpośredni autorzy zmian. Zapłacili za nie krwią, latami harówki, przedwczesną siwizną. Pamiętają owe czasy tak dobrze, jak tylko zawodna ludzka pamięć potrafi. Szukając dokumentów do historii ziem zachodnich warto się odwołać także do ich wspomnień.

Tym tropem poszli pracownicy sekcji socjograficznej Instytutu Zachodniego w Poznaniu, ogłaszając w grudniu roku 1956 konkurs na pamiętnik osadnika. Pion konkursu okazał się bogaty, najlepsze prace nagrodzono. Zgromadzone pamiętniki wzięli na warsztat socjologzy.

Praca Andrzeja Kwileckiego „Rola społeczna nauczyciela na ziemiach zachodnich w świetle pamiętników nauczycieli osadników”*) powstała właśnie w oparciu o wspomnienia nadesłane na konkurs. Autor, na podstawie wyodrębnionych z całości materiałów pamiętników nauczycieli, pokusił się o ukazanie funkcji, jaką spełniali pracownicy oświaty w tych przełomowych czasach. Dysponował 27 pamiętnikami. Czy to wystarczający materiał, by mógł służyć jako podstawa do uogólnień? Autor miał dosyć

poważne wątpliwości. Po rozważaniach jednak stwierdził (str. 23):

„...uwzględniając powyższe zastrzeżenia, posiadany zbiór pamiętników wystarcza, naszym zdaniem, aby na tej podstawie wysnuć pewne wnioski ogólniejszej natury. Zezwala na to przede wszystkim podkreślona już powyżej obfitość tematyki społecznej zawarta w pamiętnikach. Reprezentatywność pamiętników, uzyskanych od przedstawicieli aktywności nauczycielskiej na Ziemiach Zachodnich jako dokumentów socjologicznych potrzebnych do analizy niektórych aspektów społecznej roli nauczyciela, podnosi fakt, że zagadnienie roli nauczyciela znalazło w pamiętnikach odbicie w odniesieniu do wszystkich niemal typowych (i wiele różnicowanych) zbiorowości i środowisk społecznych na Ziemiach Zachodnich”.

Słuszne wątpliwości autora dochodzą do głosu jeszcze raz: gdy Kwilecki rozpatruje problem wiarygodności pamiętników, nie wykluczając ich tendencyjności, wynikającej z faktu, że wspomnienia pisano na zamówienie (konkurs z nagrodami). Obawę tę zbija twierdzeniem (str. 25): „Lektura pamiętników nie sprawia zupełnie wrażenia, by pisało je „dla nagrody”. Wspomnienia są, w zdecydowanej większości, niewymuszone, bardzo szczerze i bezpośrednio...”. Tezę tę autor wspiera cytatami.

Wypada podziwiać łatwość, z jaką autor wyzbywa się poważnych, bądź co bądź, wątpliwości. Zwłaszcza, że lektura udostępnionych fragmentów niejednokrotnie nie daje ku temu podstaw. Deklaratywność sformułowań (szczególnie w partiach relacjonujących decyzje podjęcia pracy na ziemiach zachodnich) odbiega od surowej prawdy znanej nam z autopsji. Jeszcze o cytatach. Autor nie wyjawia kryteriów, które stosował przy doborze tekstów. Wydaje się, że traktowanie z całą powagą niektórych fragmentów prowadzi do nieporozumień. Przykład — wynurzenia repatriantki (str. 36): „Snułam myśli, jak przedęć pajęczką, o nowej szkole i odrodzonym życiu tu, na Ziemiach Odzyskanych i mi-

*) Andrzej Kwilecki: Rola społeczna nauczyciela na ziemiach zachodnich w świetle pamiętników nauczycieli osadników. Ziemia zachodnie — Studia i materiały, nr 3. Instytut Zachodni, Poznań 1960, s. 124.

mo że tęsknota za rodzinnymi stronami; opętała moją duszę potrafiłam się przeciwstawić jej, tłumacząc sobie, iż praca nasza potrzebna jest właśnie tu, celem zagospodarowania tych ziem". Pisać można wszystko, ale cytować (dla podbudowania tezy o nauczycielskim patriotyzmie) niekoniecznie.

Kwilecki starał się przedstawić rolę nauczycielstwa możliwie wszechstronnie, omawiając w osobnych rozdziałach motyw osiedlenia się, organizację szkolnictwa, współzycie nauczycieli ze społeczeństwem, ich działalność wychowawczą i społeczną. To wszystko na 96 stronach. Za mało, by powiedzieć całą prawdę o roli pracownika oświaty; za dużo, by streścić spostrzeżenia poczynione w trakcie opracowywania pamiętników. Uogólnienia autora bowiem można by wyrazić krótko i wcale wyczerpująco dodając do przydługiego tytułu publikacji przymiotnik: *pozytywna*. Oczywiście, to prawda! Nie tylko w odniesieniu do działalności nauczycieli po drugiej wojnie światowej na ziemiach zachodnich. Chciałoby się przypomnieć rolę nauczycieli podczas okupacji czy zaborów. Pedagogzy-pionierzy, ci ofiarni i naprawdę świadomi swych celów, stali się w nowych warunkach kontynuatorami dobrych tradycji swego zawodu.

W omawianej pracy znajduje się sporo twierdzeń z pewnością słusznych, ale

Ponad pół setki „Komunikatów“ *) stanowią w czteroletnim już dorobku Instytutu Śląskiego w Opolu pozycję wcale istotną. Co zwraca uwagę w tych opolskich „Komunikatach“, to wyraźna troska o zainteresowanie ich treścią najszerszego kręgu opinii społecznej, oczywiście nie tracąc nic z powagi i charakteru informacji naukowej.

Na czoło tematów, które znalazły miejsce na liście dotychczas wydanych pięćdziesięciu kilku „Komunikatów“, wysuwają się z natury rzeczy rezultaty prac badawczych poszczególnych sekcji i zespołów Instytutu. Ale obok tego znajdujemy w spisie tytułów liczne tematy prezentujące po prostu Śląsk Opolski i sumujące się w jedyny w swoim rodzaju zestaw problemowych informacji o tym województwie środkowośląskim.

By przypomnieć tylko w wielkim skrócie dotychczasową linię „Komunikatów”,

*) Instytut Śląski w Opolu, Komunikaty, Opole 1958—1961.

nie wykraczających poza barierę obieguwej wiedzy dostępnej ludziom przeciętnie zorientowanym w sprawach oświaty. Nie formułowałabym tego jako zarzut (wszak popularyzacja tych zagadnień jest bardzo potrzebna), gdyby nie wyraźna sugestia wstępu pozwalającego oczekiwać rzeczy nowych, opartych o warsztat naukowca. Są dwie możliwości: albo metoda zawiodła, albo analizowany materiał nie wart był zachodu. Trudno stwierdzić kategorycznie, skoro się nie zna całości pamiętników. Na podstawie zamieszczonych tekstów wydaje się jednak, że warto byłoby udostępnić czytelnikom większą partię autentycznych cytatów a odautorski komentarz poddać zbawczemu działaniu wyżymaczki. Uniknęłoby się w ten sposób wielu nużących czytelnika powtórzeń. Metoda polegająca na wielokrotnym powracaniu do tez oczywistych i raz stwierdzonych nie uatrakcyjnia lektury, choć daje dobre wyniki podczas bezpośredniego wykładu utrwalając w pamięci elementy istotne.

Opracowanie stylistyczne i językowe książki, jak wynika choćby z przytoczonego wyżej cytatu autorskiego, nie należy do walorów książki. Nie dostrzegamy ingerencji redaktora. Może dlatego nie ujawnił swego nazwiska.

Krystyna Tyszkowska

OPOLSKIE KOMUNIKATY

kilka tytułów. „Dzieje Instytutu Śląskiego” obrano za temat pierwszego, inaguracyjnego komunikatu. Jego autorem jest doc. Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego we wszystkich jego wcieleniach — od chwili założenia go w Katowicach w roku 1931, poprzez działalność konspiracyjną podczas wojny, potem w latach 1945—1949 znowu w Katowicach, a po kilkuletniej przerwie w Opolu, od roku 1957. Potem, w różnej kolejności, przedstawiali problemy swoich zespołów ich kierownicy skądinąd już od dawna znani jako badacze problematyki śląskiej.

Władysław Dziewulski omówił problem monografii miast śląskich, Stefan

Golachowski pisał o wznowieniu badań socjograficznych na Śląsku, Józef Popkiewicz zarysował sprawę terenowych badań ankietowych gospodarki województwa śląskiego, Stefan Inglot zajął się badaniami z zakresu społecznych i gospodarczych dziejów Śląska, a Kazimierz Orzechowski zaprezentował prace sekcji dokumentacji, odsłaniające tajemnice tajnych niemieckich archiwów policyjnych, głównie z międzywojennego 20-lecia i lat ostatniej wojny. W ślad za tym szły informacje o charakterze monograficznym, przy czym zwraca uwagę stała obecność tematyki współczesnej, rezultat żywej działalności sekcji ekonomicznej i sekcji socjologicznej Instytutu.

Jeszcze owe tematy dotyczące nie samych badań, lecz ich najszerszej pojętego przedmiotu, więc Śląska Opolskiego. Piętnastolecie wyzwolonej Opolszczyzny omówił Stefan Oswald Popiołek; Stanisław Dąbrowski przedstawił pracę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, Jan Herold — opolskiego Muzeum Okręgowego. Dwa komunikaty poświęcono też omówieniu działalności śląskoznawczej u sąsiadów czechosłowackich — Instytutu Śląskiego w Opawie oraz opawskiego Muzeum Śląskiego.

W ubiegłym roku zainicjowana została w ramach „Komunikatów” nowa ich seria, wewnątrznie wyodrębniona podtytułem „serii monograficznej”. W ciągu kilku miesięcy wydano już kilkanaście pozycji, z jednym wyjątkiem poświęconych współczesnej problematyce gospodarczej i społecznej Śląska Opolskiego.

Owa pozycja historyczna to Szymona Koszyka „Opolanie w bitwie pod Grunwaldem”, stanowiąca zresztą fragment większej pracy przygotowywanej z okazji 550-lecia tego wydarzenia. W oparciu o bogatą literaturę naukową autor dowodzi poważnego zaangażowania się książąt i rycerstwa Śląska opolsko-rabicorskiego po stronie polskiej. Fakt historyczny wart z pewnością przypomnienia i upowszechnienia, zważywszy, że wówczas wszystkie już księstwa śląskie znajdowały się poza granicami państwa polskiego. Nie najlepiej się jednak stało, że autor czy redakcja nie wykreślili z tekstu paru fragmentów nacechowanych dość osobliwymi akcentami patriotyzmu lokalnego, kolidującego tu z szerszym spojrzeniem na całość problemu udziału książąt śląskich i pomorskich w bitwie grunwaldzkiej.

Ryszard Hajduk jest autorem dwóch pozycji serii monograficznej. Na uwagę szczególniejszą zasługuje zwłaszcza „komunikat” zatytułowany „Opolskie środowisko literackie”. To młode i bez wątpienia rozwijające się środowisko jest

zjawiskiem bardzo znamienym dla nowej geografii kulturalnej Polski. Na tym opolskim Parnasie spotykamy nazwiska przedstawicieli starej śląskiej literatury ludowej, jak Jakub Kania czy Rafał Urban, publicyści i gawędziarze Szymona Koszyka, pisarzy średniego pokolenia jak Zbyszko Bednorz czy Stefan Chmielnicki, wreszcie i młodszych jak Jerzy Gałuszka, Kazimierz Kowalski, Adolf Niedworok, Zbigniew Zielonka.

„Węzłowe problemy szkoły i nauczyciela w województwie opolskim” przedstawia Teodor Musioł. Rzecz bez wątpienia interesująca, bogata w zestawienia liczbowe, niestety bez dostatecznie świadomej selekcji pokazująca jasne i ciemne strony szkolnictwa opolskiego oraz jego specyficzne problemy. Ale i tu ołówek redaktorski wyraźnie próżnował, pewne też tezy wspierane są niezbyt wiadomo skąd wziętymi dokumentami.

Pozycje nr 7 i nr 8 serii monograficznej są referatami z sesji Instytutu Śląskiego w 15-lecie wyzwolenia Śląska Opolskiego. Autorem jednego z nich jest Józef Buziński, który dał bardzo gruntowny statystycznie i ekonomicznie obraz „miejsca Śląska Opolskiego w Polsce Ludowej”; druga z tych pozycji to praca Zdzisławy Czyżowskiej omawiająca aktualny stan badań nad problematyką gospodarczo-społeczną Opolszczyzny, uzupełniona bardzo pożyteczną bibliografią geograficzno-ekonomiczną za okres powojenny.

Nie sposób w krótkim przeglądzie omówić wszystkie najnowsze pozycje tej serii. Trzeba więc było zrezygnować z omówienia prac podejmujących tak kapitalne tematy, jak Józefa Popkiewicza „Sytuacja gospodarza Opolszczyzny przed wojną i obecnie”, Stefana Golachowskiego „Zagadnienia demograficzne województwa opolskiego” czy Kazimierza Żygulskiego „Przemiany społeczne na Śląsku Opolskim”. Wypadnie do nich powrócić przy innej okazji.

Cóż tu jeszcze można dodać do tego omówienia „Komunikatów” Instytutu Opolskiego? Cieszyć się wypada, że Opole posiada tak energicznie prowadzoną placówkę naukowo-badawczą, że badania naukowe nad problematyką Śląska Opolskiego — zarówno historyczną, jak współczesną — rozwijają się tak dynamicznie, i życzyć — oby tak dalej. Wrocławowi pozostaje uczucie zazdrości: mamy silny ośrodek naukowy, ale badania regionalne na Dolnym Śląsku są dopiero w powijkach. Nie dlatego zresztą, że wrocławscy uczeni dają swój wielki wkład w działalność Instytutu opolskiego.

Jan Kaczmarek

Po zarysie historycznego i urbanistycznego rozwoju Wrocławia, pióra Michała Komarzyńskiego, i najnowszych dziejach Pafawagu przedstawionych przez Zbigniewa Tempkiego w dolnośląskiej serii wydawniczej „Wiedza o Ziemi Naszej” cofamy się w świat zamierzchłych wierzeń ludu śląskiego*). Ujęcie popularne tematu stanowiącego przedmiot tak wielu wyczerpujących opracowań naukowych zarówno polskich jak i niemieckich oraz pole wielu polemik i nie rozwiązanych do dziś w pełni problemów nie stanowiło łatwego zadania. Autorka poszła drogą może najbliższą przeciętnemu czytelnikowi: nie tyle referowała teoretyczne wywody uczonych, ich interpretacje i domysły wysnute na podstawie skąpych nieraz zapisów źródłowych z dawnych kronik, lecz starała się wyjaśnić i uczynić zrozumiałymi istniejące do dziś na naszej ziemi zabytki i tradycje. Kamienne figury na górze Słęży, gliniane ptaszki, urny, wózki, amulety, skorupy garnków, leżące w gablotach naszych muzeów, dzięki tej książce stały się dla przeciętnego turysty nie tylko zabytkami „uświęconymi” faktem, że dotyczyły ich dłonie naszych przodków przed tysiącem lat, nie tylko dokumentem mówiącym o materialnych warunkach ich bytu. Magiczne znaki świętego słońca, kultowe ornamenty starej ceramiki kultury łużyckiej, otwarte przez archeologów prastare mogiły ziemi śląskiej bardziej zrozumiałe będą teraz mówić o tym, jak dawni mieszkańcy Śląska starali się zapewnić sobie przychylność sił przyrody, w jaki sposób oddawali im cześć a przede wszystkim, jakie były ich mniemania o zjawiskach otaczającego ich świata i jak je sobie tłumaczyli. Autorka poszła tu za najnowszym opracowaniem naukowym religii dawnych Słowian przez wybitnego archeologa prof. Władysława Antoniewicza i ograniczyła się do przedstawienia wniosków wynikających ze znalezisk archeologicznych na Śląsku. Nie znaczy to jednak, że czytelnik nie znajdzie tu ciekawych wiadomości zaczerpniętych z dawnych kronik i źródeł, a nawet niektórych opisów utrzymujących się jeszcze zwyczajów i praktyk, uzyskanych w drodze badań etnograficznych. Wykorzystano tak interesujące źródła obyczajowe, jak opisy życia i działalności oraz legendy o św. Jadwidze, tzw. katalog magii Ru-

*) Kazimiera Wanda Heckowa: Pod znakiem świętego słońca. Dawne wierzenia śląskie. Wiedza o Ziemi Naszej pod red. Tadeusza Lutogńskiego, t. 3. Ossolineum, Wrocław 1961, s. 128 + 20 tabl.

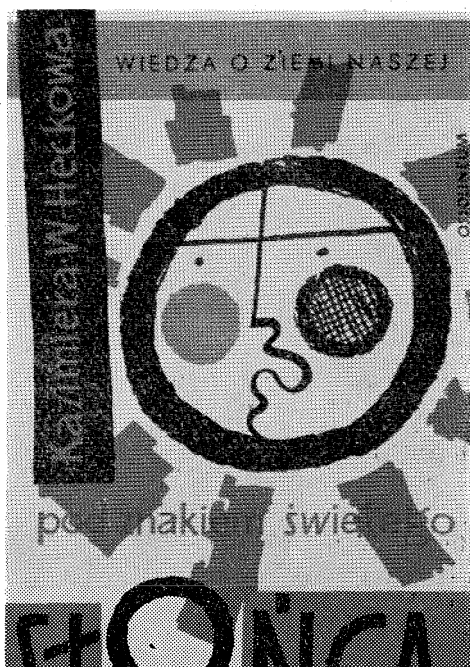
POD ZNAKIEM ŚWIĘTEGO SŁONCA

dolfa z Rud Raciborskich, który udzielając rad spowiednikom przedstawił wiele obrzędów i praktyk magicznych. Można też znaleźć wyjaśnienie wielu do dziś żywych zwyczajów, takich chociażby jak malowanie pisanek, oraz niektórych obrzędów ludowych, jak np. „turoń”.

Trzy rozdziały książki odpowiadają trzem okresom historii Śląska: okresowi kultury łużyckiej, okresowi kształtowania się państwa polskiego i okresowi polskiego średniowiecza, w którym dawne wierzenia ścierały się już z chrześcijaństwem i zanikały. Taki chronologiczny układ zdał egzamin przy przyjęciu za punkt wyjścia przede wszystkim zabytków archeologicznych, ukazując zmienność i zanik tradycyjnych wierzeń oraz ich przetrwanie w system wprowadzanych później wierzeń chrześcijańskich a nawet niektóre do dziś znane zwyczaje i obrzędy.

Na podkreślenie zasługuje również fakt, że pracę w dużej mierze oparto na wynikach badań naukowych ruchliwego wrocławskiego ośrodka archeologicznego,

Okladkę projektował
Ryszard Gachowski



pracującego pod kierownictwem prof. Włodzimierza Hołubowicza.

W ten sposób cele, które wyznaczyła sobie autorka, zostały niewątpliwie osiągnięte z pożytkiem dla czytelnika. Nie jest tu rzeczą istotną polemiczne rozważanie wypowiedzianych twierdzeń i interpretacji, zwłaszcza wobec świadomie określonego zamiaru autorki: referowania niektórych tylko, wybranych poglądów, a nie polemik naukowych. Podtytuł pracy stwarzałby możliwości bardzo znacznego rozszerzenia jej zakresu: w dziedzinę mitologii i teogonii słowiańskiej, a także na niektóre obrzędy ludowe, jak np. „marzanna”, znane na podstawie źródeł zarówno archiwalnych, jak i etnograficznych. Odnalezienie śladów polskości nawet w niezbyt obiektywnych źródłach niemieckich, podkreślenie z jednej strony odmienności kulturowej Śląska w stosunku do Niemiec, a z drugiej — jego powiązań z Polską to również rzeczy nieraz mało znane i warte popularyzacji. Na przykład: śląska i łużycka, dualistyczna wiara w Czarnego i Białego Boga różniła się znacznie od wierzeń związanych z germańską Wal-

hallą i nawiązywała chyba do systemów religijnych Wschodu; rozpowszechniona na Śląsku wiara w wodnice i topielców stanowiła wyraz związków z wodą i rzekami w życiu wielkiej części ludności, od swego flisackiego i rybackiego zawodu zwanej nawet przez ludność niemiecką „Wasserpolakami”. Czeką też na nasświetlenie i naukowe, i popularne postać śląskiego ducha, niesłusznie nazwanego Liczyrzepą przez przetłumaczenie niemieckiej nazwy „Rübezahl” a uważanej nawet przez niektórych uczonych niemieckich za niemieckie, pogardliwe przezwisko jakiegoś bóstwa słowiańskiego.

Wiele takich i innych wierzeń znalazło odbicie w rozwiniętych i na pewno interesujących czytelnika śląskiego twórcach literatury ludowej, w podaniach i legendach. Ale przykładowe zaznaczenie tych kilku faktów związanych z podtytułem omawianej pracy wobec jej wyrażnych założeń nie może stanowić zarzutu, lecz tylko dezzyderat pod adresem przyszłych, oby również interesujących opracowań.

Krzysztof Kwaśniewski

S I Ó D M A DREZDEŃSKA

Istnieje już pewien wzorzec powieści o okresie pionierskim na ziemiach zachodnich, mimo że wciąż jeszcze powieści tych jest niewiele, a żadna właściwie z istniejących (jeśli nie liczyć „Skąpanych w ogniu” Żukrowskiego, książki o znacznie szerszej problematyce) nie zasługuje na nazwę dokonania artystycznego większego formatu. Nie jest to bynajmniej paradoks. Opisywano już ten proces: temat wyeksploatowany przez publicystykę i reportaż, wyprecyzowany przez żywe jeszcze doświadczenie, trochę kostnieje, trochę się mumifikuje, przybiera jasno określone kształty i w tej postaci proponuje się go literaturze. Utwory wybitne, o własnej, wewnętrznej artystycznej logice, rozbijają go i rozczłonkują, wykorzystują jego elementy z pewną przekorą i nieufnością, literatura popularna natomiast wzorzec przejmując, stara się go jednak ożywić i uatrakcyjnić, dokonać w zakresie tego schematu małych, ale czasem ważnych odkryć. Jeśli się jej to nie uda — zmienia się błyskawicznie w makulaturę, jeśli zaś się uda — otrzymujemy...

otrzymujemy „Siódmą drezdeńską” Leszka Golińskiego, która stała się powodem tych truistycznych uwag*.

„Siódma drezdeńska” dowodzi z całą wyrazistością, iż właśnie „wzorzec pionierski” otwiera przed literaturą popularną wiele interesujących możliwości, a jego gotowe elementy mogą zmienić się w wątki wcale atrakcyjne. Czegóż to nie ma w powieści Golińskiego! Osadnictwo wojskowe na ziemi legnickiej, powstawanie władzy w powojennym chaosie, szaber i poszukiwanie skarbów, trudny proces przystosowywania się do normalnego, osiadłego życia, współżycie różnych grup ludnościowych, rozbójnictwo — wszystko, co składa się na pojęcie „okresu pionierskiego”. Goliński, przyjmując wątek podstawowy — a więc losy jednej z kompanii siódmej dywizji drezdeńskiej, od ostatnich dni frontowych walk, przez pierwsze zetknięcie się z ziemią, którą trzeba objąć w posiadanie, przez zasadzki i zawilości powojennego chaosu, aż po przezwycięzenie uczucia tymczasowości i nieprzystosowania i rozpoczęcie normalnego, cywilnego życia — otóż przyjmując ten podstawowy wątek autor nie

*) Leszek Goliński: Siódma drezdeńska. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1961, s. 268.

rezygnuje z pozostałych składników wykrystalizowanego już obrazu tamtych czasów. Otrzymujemy więc coś na kształt panoramy okresu pionierskiego, próby ogarnięcia całokształtu zjawisk typowych wtedy dla ziem zachodnich a ukazanych na przykładzie jednego dolnośląskiego powiatu.

To niewątpliwie ambitne założenie nie wychodzi jednak powieści na korzyść. Zabrakło jej jednolitości, zabrakło pomysłu, który scaliłby wątki, rozbiegające się w różnych kierunkach, zabrakło przystającej do sytuacji zasady kompozycyjnej. W rezultacie poszczególne nurty intrygi rwą się, powstają niczym nie usprawiedliwione luki, co więcej, zamknąwszy wątek podstawowy (z centralną postacią sierżanta Kaspra), pozostałe Goliński przecina niemal mechanicznie, nie doprowadzając do rozwiązania, choć może ono mieć zasadnicze znaczenie dla wątku podstawowego. Goliński zostawia swoich bohaterów w kulminacyjnym punkcie rozgrywki z bandą, zostawia ich z nieopozalawianymi sprawami osobistymi, choć są one nieobojętne dla zasadniczego sensu powieści. Ostatecznie można by nad tym przejść do porządku dziennego, nie jesteśmy bohaterem „Siódmej drezdeńskiej“ winni więcej niż autor, ale chciałbym być dobrze zrozumiany. Jest dobrym prawem pisarza niedoprowadzenie do końca fabuły, jeśli to zawieszenie coś znaczy, jeśli coś sobą wyraża. Tak jednakże w tym wypadku nie jest, a w powieści popularnej anegdota, jak dotąd, odgrywa podstawową rolę i jej zaniedbanie obraca się przeciw autorowi. Mocniejszą stroną powieści popular-

nej musi być konieczność techniczna.

A jednak, mimo tych niedomagań, właśnie w fabule tkwi atrakcyjność „Siódmej drezdeńskiej“. Bo próby bardziej skomplikowanych obserwacji i bardziej oderwanych dywagacji raczej się Golińskiemu nie udają, kończą się na takich jak ta formuła: „Nigdy nie można odejść naprawdę od rzeczy, od których chciałoby się odejść jak najbardziej“. Natomiast uwikłanie bohaterów w sensacyjną intrygę znosi i łagodzi chropowatości i kanty trochę już skostniałego tematu, pozwala nawet rozegrać pewne partie akcji zgrabnie i niebanalnie.

Toteż, mimo zawodu, który z naszkicowanych wyżej przyczyn sprawić może czytelnikowi, „Siódma drezdeńska“ należy do zupełnie dobrej kategorii powieści popularnej. Braki kompozycyjne w jakimś stopniu wyrównuje sprawnością narracji, potocznością niemal sensacyjnej fabuły, prostym, lecz wyrazistym zarysowaniem kilku postaci, ciekawym zamysłem i nieklamana dramatycznością niektórych sytuacji (bunkier opanowany przez szczury). Jest to więc lektura interesująca, ocalał w tej książce jakiś smak nastroju pierwszych dni polskich ziem zachodnich, przejęty wzorzec nie ma w sobie nic z martwoty ustalonych rekwizytów. Jeśli zatem należało nazwać podstawowe niedomaganie powieści Golińskiego, trzeba również pamiętać, że są to niedomagania książki zajmującej, której przysługuje odpowiednie miejsce wśród polskich powieści popularnych poświęconych ziemiom zachodnim.

Zbigniew Kubikowski

Nieczęsto się zdarza, aby pisarz co rok wydawał nową książkę. „Czas słońca“ *) jest czwartą już książką I. G. Kamińskiego, wydaną w ciągu ostatnich czterech lat. Swymi trzema opublikowanymi poprzednio powieściami dał się autor poznać jako interesujący pisarz historyczny. Na dobrą sprawę, tematykę opowiadań zebranych w tomie „Czas słońca“, poza utworem tytułowym, można również traktować jako historyczną. Tak przynajmniej odczuwa się już dziś wydarzenia z czasów ostatniej wojny.

Szczególnie bliskie są Kamińskiemu sprawy i dzieje Pomorza Zachodniego,

*) Ireneusz Gwidon Kamiński: Czas słońca. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1960.

Nowelistyka z warsztatu powieściopisarza

co jest zrozumiałe, gdy się weźmie pod uwagę jego długoletni związek z tym terenem. Dał temu wyraz w dwóch swych najlepszych powieściach: „Czerwony Sokół“ i „Mściciel wraca z Rugii“, osnutych wokół losów i czynów ostatnich książąt szczecińskich. O ile jednak w powieściach tych historia była traktowana serio jako cel poniekąd sam w sobie, o tyle w opowiadaniach fakt historyczny

jest tylko pretekstem do ukazania problemów w istocie współczesnych.

Oto np. „Ziemia nie milczy”. Rzecz dzieje się w czasach hitlerowskich: na wybrzeżu Bałtyku znaleziono łódź, której kształt i budowa świadczy o pochodzeniu słowiańskim, co oczywiście zaprzecza tezom niemieckich uczonych o germańskiej przeszłości tych ziem. Dokonano więc odpowiednich przeróbek i łódź jako germańska umieszczono w muzeum (fakt zresztą autentyczny). W obronie prawdy wystąpił Otto Grenau, profesor o światowym autorytecie w tych sprawach. Konsekwencje takiego kroku łatwo przewidzieć: uczony zostaje poddany wymyślnym próbom odwagi i wytrzymania — fizycznej, psychicznej i moralnej. Kariera jego jest już złamana, syn odwraca się odeń, jak od zdrajcy, w końcu aresztują go, a gdy odmawia odwołania swej deklaracji, zostaje w ohydny sposób zamordowany. Sprawdziły się słowa, które uczony usłyszał, gdy mu wręczano dyplom uniwersytecki: „...Walka o wzbogacenie kultury ogólnoludzkiej, o posunięcie naszej wiedzy choćby o krok naprzód — to walka ciężka, w której życie nieraz postawi was wobec konfliktu serca z rozumem, konfliktu waszych przekonań narodowych, politycznych, wyznaniowych, rasowych z rezultatami waszych badań”.

Postać profesora nie jest bogata psychologicznie, choć sam temat skłaniał do jej wewnętrzznego rozbudowania. Kamiński jednak nie lubi wdawać się w głębsze analizy psychologiczne — dla niego wartość mają same czyny bohaterów i na tej podstawie ich ocenia. Zresztą w tym wypadku nadmierna komplikacja rysunku psychologicznego prowadzić by mogła do zrozumienia sprawy profesora jako problemu jednostkowego, gdy tymczasem chodzi tu o problem jak najbardziej ogólny.

Wiara w człowieka, w jego wartości i zalety widoczna jest niemal we wszystkich opowiadaniach, nabiera zaś ciekawego aspektu w noweli tytułowej. Daje ona apokaliptyczną wizję świata po nalicie atomowym. Przestają obowiązywać

wszelkie rygory moralne, strach wyzwala w człowieku najniższe instynkty. Jednakże nawet wtedy można uratować swe człowieczeństwo, którego niezniszczalne zasoby widzi autor w sile wiążących ludzi uczuć.

Niestety, niewiele dobrego da się powiedzieć o opowiadaniach pozostałych. Zupełnie zaś chybione są, moim zdaniem, opowiadania o tematyce z Dalekiego Wschodu. Włodzimierz Maciąg w swej recenzji w „Życiu Literackim” skłonny był uważać je za dowód żywej wyobraźni pisarza. Recenzja Maciąga nosi tytuł: „Wyobraźnia i lamus”. Jestem przekonany, że te właśnie opowiadania można zaliczyć do odgrzebanych z lamusa. Są zdecydowanie schematyczne, w motywach banalne i ograne (udaremnienie sabotażu przez prostego, odważnego chłopca i łzawa historia o dziewczynie japońskiej, którą nędza zmusza do prostytucji). Autor był jednak przezorny i podał datę powstania tych opowiadań: rok 1953, co rzeczy te jakoś usprawiedliwia.

Opowiadania „Pułkownik” i „Ojciec Marek” — to dwa studia portretowe. Bohaterem pierwszego jest malowniczo postać wojskowego, obdarzonego typowymi cechami Sarmaty.

Postać mnicha w drugim opowiadaniu jest już wyraźnie z pogranicza groteski i karykatury. Wady mnisze zawsze stanowiły wdzięczny temat dla satyry, jej tradycje mamy w naszej literaturze tak bogate i wszystkim znane, że nie ma potrzeby wskazywania literackich analogii.

Ogólnie wydaje się, że Kamińskiemu nie bardzo odpowiada forma noweli. Jej surowe rygory kompozycyjne nie pozwalają na ujawnienie się najbardziej niewątpliwych zalet jego pióra: umiejętności budowania skomplikowanej fabuły, ciekawej intrygi, rozwiązywania jej przy pomocy świetnych nieraz point sytuacyjnych oraz szczęśliwie zwykle owocującego w jego powieściach zamiłowania do opisów. Wolę Kamińskiego — powieściopisarza od Kamińskiego — nowelisty.

Janusz Degler

CI, CO SIĘ NIE UGIĘLI

Gruby tom wspomnień wybitnych działaczy ruchu polskiego na Śląsku Opolskim z najtrudniejszych lat 1918--1939 zawiera pamiętniki lub fragmen-

ty pamiętników 22 osób, przeważnie silnie związanych z ówczesnym Związkiem Polaków w Niemczech*). Ich relacje z czasów walki o utrzymanie polskości na pozostającym wówczas pod zaborem niemieckim Śląsku stanowią bez wąt-

*) „Wspomnienia Opolan”, Wydawnictwo „Pax”, Warszawa 1960, s. 460.

pienia cenny przyczynek do historii najnowszej.

Większość piszących zatrzymuje się dłużej na okresie powstań i plebiscytu, ukazując z jednej strony bohaterską walkę ludu śląskiego o powrót Śląska do Polski, a z drugiej — bestialski terror panujący na Opolszczyźnie w tym okresie, zwłaszcza zaś po podziale Śląska, kiedy to bandy nacjonalistów niemieckich dokonywały zbrodniczych samosądów nad powstańcami i działaczami polskimi. Praca organizacyjna, jaką w takich warunkach podjąć musieli tu-tejsi Polacy, zasługuje na tym większy podziw i uznanie.

Poszczególne wspomnienia pozwalają zorientować się w bogatym arsenale metod i środków używanych przez władze niemieckie do zwalczania ruchu polskiego, poczynając od nacisku gospodarczego, poprzez najrozmaitszego rodzaju środki policyjne, aż do zbrodniczych zamachów na życie działaczy szczególnie znienawidzonych przez elementy nacjonalistyczne.

Autorzy wspomnień byli pionierami w różnych dziedzinach życia polskiego na Opolszczyźnie. Działali w związkach śpiewaczych (J. Adamek, J. Kuć, A. Wilczek, T. Gadziński), w amatorskich zespołach teatralnych (dr Gębik, A. Warzok) i w organizacjach młodzieżowych (J. Gomoła, J. Depta, M. Kwoczek), w zrzeszeniach gospodarczych, takich jak „Rolnik” i „Banki Ludowe” (J. Wawrzynek, J. Wilkowski), w polskich związkach zawodowych (A. Aulich, A. Porzdzik, F. Trąbalski). Ale trudno dla poszczególnych działaczy wyodrębnić jakieś określone dziedziny działalności; pracowali oni wszędzie tam, gdzie była potrzeba, i ta wszechstronność jest ich cechą charakterystyczną.

Czytając „Wspomnienia Opolan” przekonać się możemy, jak różne drogi prowadziły ich do służenia sprawie polskiej. Większość wyniosła swoje przekonania z rodzinnego domu, ale byli i tacy, którzy na obczyźnie, gdzieś w Nadrenii, Westfalii czy w innych większych skupiskach Polaków, uświadomili sobie więzy narodowe i zaczęli odczuwać przynależność do narodowej wspólnoty. Przekonania ich były tak mocne, że nie zalażały się nawet w obozach koncentracyjnych, do których większość działaczy została deportowana. Ci, którzy szczęśliwie przeżyli, przystąpili zaraz po wyzwoleniu do pracy nad odbudową

kraju i scaleniem Opolszczyzny z innymi ziemiami polskimi.

Niewątpliwym brakiem wszystkich bez wyjątku wspomnień jest zupełne pominięcie w nich okresu powojennego. Gdyby nie krótkie notki życiorysowe, umieszczone przed każdym wspomnieniem, czytelnik nie wiedziałby niczego o tym, co działo się z autorami bezpośrednio po wojnie ani jak wygląda ich praca obecnie.

Przy dużej dokładności w opisach poszczególnych zdarzeń, co uznać należy za rzecz podstawową przy określaniu wartości wszelkich pamiętników czy wspomnień, do niektórych sformułowań trzeba podejść z pewną ostrożnością. Przykładem tego jest wyrażone przez J. Wilkowskiego twierdzenie, że ks. prałat Uliczka, przywódca „Centrum” na Śląsku, poczuł się po dojściu do władzy Hitlera Polakiem. Zastrzeżenia musi budzić także kategorię sądów niektórych autorów w sprawach do dziś przez wszystkich uznanych za otwarte i wymagających dokładniejszego zbadania. Mam tu na myśli te fragmenty wspomnień J. Wawrzynka, które odnoszą się do „buntu” w Związku Polaków; wyraźnie daje się w nich odczuć subiektywne podejście. Podobnie ma się sprawa z twierdzeniem J. Wilkowskiego, że w r. 1900 na Śląsku „na 450 księży polskiego pochodzenia można było zaledwie o 17 powiedzieć, że są szczeropolskiego przekonania”. Niezgodne z prawdą jest zdanie pamiętnika J. Kuca (s. 221), że w roku 1933 zakazano polskich nabożeństw w kościołach i że pieśń polska wszędzie ustała. Nabożeństwa polskie zlikwidowano na Śląsku Opolskim ostatecznie dopiero po wybuchu II wojny światowej, chociaż proces rugowania mowy polskiej z kościoła obserwować możemy już dawniej.

Edytorsko pozycja opracowana jest starannie. Błędy korekty — jak na stronie 120, gdzie zamiast „Reichswirtschaftspruefer” (państwowy rewident gospodarczy) wstawiono słowo „Reichserbhofgesetz” (ustawa o zagrodach dziedzicznych) — należą do nielicznych wyjątków.

W sumie powiedzieć można, że „Wspomnienia Opolan” są pozycją pożyteczną i ciekawą nie tylko dla osób zajmujących się historią najnowszą, lecz dla wszystkich, których interesuje problematyka Śląska.

Franciszek Połomski



KONFERENCJE I ZJAZDY

W Opolu odbył się doroczny zjazd członków Instytutu Śląskiego. W obradach wzięło udział 52 naukowców z Katowic, Poznania, Warszawy, Wrocławia i samego Opolia. Sprawozdanie z działalności za rok ubiegły oraz plany na rok 1961 przedstawił dyrektor Instytutu Śląskiego doc. dr Roman Lutman.

Działalność Instytutu prowadzona była w czterech zasadniczych kierunkach: naukowo-badawczym, wydawniczym, popularyzacyjno-informacyjnym oraz opieki nad lokalnymi ośrodkami badawczymi. Prace naukowo-badawcze, w których uczestniczyło 85 naukowców (w tym 36 mieszkających w woj. opolskim), odbywały się w 5 sekcjach: historycznej, ekonomicznej, etnograficznej, socjologicznej i językowo-literackiej oraz w dwóch samodzielnych zespołach — archeologicznym i śląskiego słownika biograficznego.

Ogółem w ubiegłym roku ukazało się drukiem 20 tytułów o łącznej objętości 107 arkuszy wydawniczych. Na rok bieżący natomiast planuje się wydanie 14 pozycji książkowych i 24 tzw. komunikatów naukowych w postaci broszur.

★

W paryskim Palais d'Orsay pod koniec kwietnia obradowali uczestnicy konferencji Stowarzyszenia Obrony Granic na Odrze i Nysie. Na sali obrad zgromadziło się około 300 delegatów przybyłych z całej Francji, a wśród nich wielu znanych działaczy politycznych, osobistości świata naukowego i kulturalnego emigracji francuskiej. Na konferencji obecny był również przybyły z kraju wiceprzewodniczący Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich — minister Izidorczyk.

★

Po ogólnopolskim Kongresie Techniki obradował we Wrocławiu walny zjazd SPATIF-u, a ostatnio ogólnopolski Kongres Esperantystów. W jego obradach wzięło udział około 600 delegatów z całego kraju i liczni goście z zagranicy.

Głównym problemem omawianym podczas kongresu by-

ło wprowadzenie nauki języka esperanto do szkół podstawowych i średnich w całym kraju.

O TYLE JESTEŚMY BOGATSI

W „Rafamacie” (woj. opolskie) rozpoczęto budowę poszczególnych zespołów nowej obrabiarki, która umożliwi dokonanie prawdziwego przewrotu w metodach remontu taboru kolejowego. Jest to tzw. podtorowa tokarka, przeznaczona do obróbki zestawów podwozi wagonów i elektrowozów. Różni się ona od dotychczas stosowanych maszyn tym, że będzie mogła obrabiać poszczególne elementy nie w halach fabrycznych, lecz bezpośrednio na torach (na kanałach).

Maszyna ta, o wiele lżejsza od dotychczas budowanych, przewyższy je wydajnością o przeszło 20 proc.

Konstrukcję obrabiarki opracował zespół inżynierów „Rafamatu” przy współpracy z Politechniką Śląską.

★

Państwowe Gospodarstwa Rolne w województwie zielonogórskim posiadają już siedem stałych kin związkowych, założonych niemal w całości „sposobem gospodarczym”. W br. zamierza się uruchomić dalszych osiem kin związkowych.

Również telewizja cieszy się w lubuskich PGR-ach coraz większą popularnością. Aparaty telewizyjne, zakupione z funduszu zakładowego, znajdują się już w ponad 100 świetlicach. W najbliższym okresie każde z 316 zielonogórskich PGR wyposażeń będzie w telewizor.

★

Prawie 163 miliony złotych wynosi wartość produkcji eksportowej Zakładów Koksowniczych „Biały Kamień”. Są one najpoważniejszym eksporterem wąbrzyskim. Prawie 53 proc. globalnej produkcji tej koksowni wędruje na rynki zagraniczne.

Ogółem wartość rocznej produkcji eksportowej wąbrzyskiego przemysłu kluczowego poważnie przekracza kwotę pół miliarda złotych. Udział koksowni wynosi tu 422 miliony złotych. Warto dodać, że w globalnej pro-

dukcji eksportowej kraju wąbrzyski koks stanowi 18,9 proc., wąbrzyskie maszyny i urządzenia — 6,8 proc, a porcelana — 8,6 proc.

★

Złóża kamienia wapiennego w Strzelcach Opolskich należą do najbogatszych w kraju. Tamtejsze zakłady wapiennicze, założone jeszcze w XIX wieku, do niedawna miały bardzo przestarzałe urządzenia, a wszystkie prace wykonywane były ręcznie. Przed trzema laty w wapiennikach strzeleckich rozpoczęto prace budowlane mające na celu całkowite zmodernizowanie zakładów i ich rozbudowę. Kosztem ponad 120 milionów złotych wybudowano wiele nowoczesnych urządzeń. Pod koniec drugiego kwartału br. zostaną ukończone wszystkie prace budowlano-montażowe. Produkcja Śląskich Zakładów Przemysłu Wapienniczego w Strzelcach Opolskich wyniesie 360 tysięcy ton wapna budowlanego i rolniczego w ciągu roku. Będzie to jeden z najnowocześniejszych zakładów wapienniczych w kraju.

★

Grupa dzieci zawiadomiła Muzeum Śląskie we Wrocławiu o odkryciu podczas zabawy na ul. Piastów jakichś starych naczyń glinianych. Już wstępne badania wykazały, iż jest to cmentarzysko kultury lużyckiej z epoki brązu, sprzed blisko 3 tysięcy lat. Dotychczas odkopano kilka grobów. Są one bogato wyposażone w ceramikę. Znalezione także podobne przedmioty codziennego użytku. Zabytki znajdują się na głębokości 55 cm. Pracami archeologicznymi kieruje doc. dr Wanda Sarnowska.

★

W odległości półtora kilometra na północny-wschód od Bytomia Odrzańskiego (woj. zielonogórskie) mgr mgr Edwardowi Dąbrowskiemu i Stanisławowi Kowalskiemu udało się po długich poszukiwaniach zlokalizować jeden ze starych grodów z okresu panowania Krzywoustego, o których wspomina w swojej kronice Gall Anonim. Gród otoczony był sztuczną fosą, której zarys można jeszcze odtworzyć. Tuż pod powierzchnią znaleziono wiele szczer-

ków naczyń i przedmiotów metalowych. Obecnie trwają dalsze prace wykopaliskowe.

★

I jeszcze jedno odkrycie, ale tym razem z zupełnie innej dziedziny. Kierownik muzeum w Prudniku (woj. opolskie), prezes miejscowego Towarzystwa Miłośników Ziemi Prudnickiej — Józef Wierzyński znalazł we wsi Łącznik egzemplarz tzw. „Biblii Leopoldy” z XVI wieku.

★

Spółdzielczość mieszkaniowa w Zielonogórskim znajduje coraz więcej zwolenników. Gdy w ubiegłej 5-letniej spółdzielnie oddały do użytku zaledwie 700 izb, w ciągu najbliższych lat liczba ta wzrośnie do 3 tys. Najstarszą instytucją działającą w tej dziedzinie jest Zielonogórska Spółdzielnia Mieszkaniowa, która liczy około 200 członków.

NAUKOWA REWELACJA

Prof. dr Bross, kierownik II Kliniki Chirurgicznej we Wrocławiu, przeprowadził pierwszą w kraju, rewelacyjną operację na otwartym sercu ludzkim, dokonując równoczesnego zamknięcia ubytku międzyprzedsionkowego i międzykomórkowego serca. W operacji brało udział 28 pracowników kliniki: zespół obsługi „sztucznego serca” (małego — typu Kay Gross), zespół anastezjologów, kardiochirurgów oraz biochemików. Aparat działał bez zarzutu, sztuczne krążenie w organizmie operowanego chłopca, Jurka F., trwało 54 minuty.

TO TEŻ CIEKAWE

W Opolu bawił niedawno plk. Bronisław Zakrzewski, obywatel francuski, z pochodzenia Polak, honorowy obywatel miasta Grasse (Francja — Lazurowe Wybrzeże). Wizyta plk. Zakrzewskiego, oficjalnego reprezentanta Grasse, miała na celu nawiązanie pierwszych kontaktów z wia-

dzami miejskimi Opola. Sympatia mieszkańców Grasse (stolicy kwiatów hodowanych dla słynnego francuskiego przemysłu perfumeryjnego) datuje się od czasów minionej wojny, kiedy to Polacy zorganizowani w miejscowym Ruchu Oporu (m. in. Ślązacy działający pod dowództwem plk. Zakrzewskiego) ocalili francuskie miasto przed kompletnym zniszczeniem przez

wycofujące się wojska niemieckie. Uratowano wtedy most kolejowy, gazownię, elektrownię, pocztę itp. 45 Polaków zostało później odznaczonych „Croix-de-guerre”, zaś plk. Zakrzewski Legią Honorową. Ponieważ wśród Polaków tych znajdowało się wielu Ślązaków, Grasse zwróciło się do Opola z propozycją współpracy.

(d. sid.)

ZNAD GRANICY POKOJU

Stolicą okręgu administracyjnego NRD, który sąsiaduje z województwem zielonogórskim, jest Frankfurt nad Odrą. To kilkudziesięcioletnie miasto utrzymuje bliskie kontakty z Zieloną Górą. Pomijając tu, bardzo zresztą istotną, współpracę gospodarczo-techniczną, warto może podkreślić, że kontakty obu miast rozciągają się na wiele dziedzin życia społecznego i kulturalnego. I tak np. odbywa się wymiana delegacji Lubuskiego Towarzystwa Kultury i Kulturbundu, artystów-plastyków obu środowisk, nauczycieli i dziennikarzy, działaczy politycznych. We Frankfurcie nad Odrą znany jest i lubiany Lubuski Zespół Pieśni i Tańca, zaś publiczność zielonogórska kilkakrotnie już gorąco przyjmowała występy estradowe artystów frankfurckich. Między Teatrem im. Henryka Kleista a Państwowym Teatrem Ziemi Lubuskiej już od lat trwa wymiana programów, informacji repertuarowych i materiałów źródłowych dotyczących bądź to utworów niemieckich, bądź też polskich. Oba teatry wymieniały już także kilkuosobowe delegacje, które bezpośrednio zapoznały się z pracą, zadaniami i trudnościami zaprzyjaźnionych placówek.

Teatr zielonogórski wystawił dotychczas cztery sztuki (w tym jedną prapremierę polską) autorów niemieckich.

Kleist-Theater grał „Takie czasy” Jurandota, a w repertuarze jego orkiestry było kilka pozycji kompozytorów polskich. Ostatnio odbyła się tam premiera „Niemców” (Die Sonnenbrucks) w reżyserii dyr. Güntera Klingnera. Przedstawienie przygotowane starannie, główny nacisk kładąc na postać Profesora. Gra go Georg Lang, uwypuklając przede wszystkim przeciętną „mieszkańską” Sonnenbrucha, „Niemcy” grani są łącznie z epilogiem, co — wobec znanej sytuacji w NRD — dodaje spektaklowi aktualnej i bezpośredniej ostrości politycznej.

Na majowe „Święto Odry” zespół operowy Teatru im. Kleista przygotował „Verbum nobile” Moniuszki, utwór nie grany dotychczas na scenach niemieckich. Obok innych zespołów i solistów, m. in. z Berlina i Görlitz, występował też w czasie „Święta Odry” polski zespół „Arabeska” z Warszawy, a uroczystym koncertem na zakończenie tego i Nadodrzańskiego Festiwalu dyrygował Robert Satanowski.

Dotychczasowe kontakty Zielonej Góry i Frankfurtu nad Odrą dobrze przysłużyły się rozwijaniu przyjaźni między obu sąsiadami, a dalsze różnorodne formy współpracy ekonomiczno-technicznej i społeczno-kulturalnej z pewnością przyjaźń tę umocnią.

ZGiz

KRONIKA KULTURALNA

WTORKI MUZYCZNE

Wrocławskie „wtorki muzyczne”, odbywające się w auli Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, mają z sobą długą i dobrą tradycję. Największym powodzeniem cieszą się „wtorki” z cyklu „Kompozytor wśród słuchaczy”. Inne cykle obejmują: koncerty muzyki współczesnej, małe monografie form muzycznych,

koncerty dyplomowe, recitale, odczyty.

11 kwietnia M. Tomaszewski z Państwowego Wydawnictwa Muzycznego wygłosił odczyt pt. „Z zagadnień ewolucji warsztatu Chopinowskiego”. 23 tegoż miesiąca spotkała się ze słuchaczami Regina Smendzianka. Artystka grała utwory Schumana, Chopina, Schuberta.

Inicjatorem i niestrudzonym

organizatorem „wtorków” jest profesor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej — Maria Jędrzejewska.

KONCERTY, SOLIŚCI

Wrocław gościł w kwietniu dwóch solistów zagranicznych: 6 i 7 radziecki skrzypek Igor Iwanow, laureat konkursu im. Wieniawskiego, wystąpił na koncercie symfonicznym z or-

kiestrą Filharmonii Wrocławskiej. Program wieczoru obejmował: IV Koncert Brandenburski Jana Sebastiana Bacha, koncert skrzypcowy D-dur Paganiniego, VI symfonia Beethovena.

Pianista izraelski Fryderyk Portnoj grał III koncert C-dur, op. 26 Sergiusza Prokofiewa z orkiestrą Filharmonii Wrocławskiej pod dyktando Adama Kopycińskiego. Program uzupełniły: uwertura koncertowa „Hybrydy” Mendelssohna i VII symfonia Beethovena.

★

Zielonogórska Orkiestra Symfoniczna dała koncert w Zielonej Górze z udziałem solistów z NRD: Elizabeth Breul — sopran, Klaus Wendt — baryton, Renaty Schorler — fortepian. Na program koncertu złożyły się utwory Schumana, Schuberta, Liszta oraz arie i pieśni Mozarta i Wagnera.

★

Opera Wrocławska zaangażowała młodego i obiecującego dyrygenta Zygmunta Hassę, specjalizującego się w muzyce baletowej. Hassa dał się poznać jako organizator i kierownik Zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej.

Z TEATRÓW

Twórczość wybitnego dramaturga amerykańskiego, Artura Millera, została zaprezentowana publiczności dolnośląskiej dwoma utworami: „Proces w Salem” i „Widok z mostu”.

Wrocławskie „Rozmaitości” dały przedstawienie „Procesu w Salem” w inscenizacji i reżyserii Stanisława Igara, scenografii Zbigniewa Klimczyka, w opracowaniu muzycznym Wawrzyńca Rybiewskiego.

Państwowy Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze wystawił „Widok z mostu” w reżyserii Waleriana Lachnitta, scenografii Wandy Czaplanki.

Na wrocławskiej scenie jeleniogórskiego Teatru Dolnośląskiego wystawiono „Igraszki trafu i miłości” Marivaux. Reżyseria Bronisława Orlicza, scenografia Tadeusza Rajkowskiego, choreografia Krystyny Ciesielskiej.

★

Teatr jeleniogórski również wystawił sztukę Marii Plaskoty pt. „Stas i Nel”, według powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”. Reżyserowali: Zuzanna Łozińska i Bogusław Kozak, scenografię przygotowała Wanda Czaplanka, muzykę — Bogdan Dominik.

★

We wrocławskim Teatrze Lalek dzieci i dorośli mogli

oglądać „Historię całą o niebieskich migdałach” Lucyny Krzemińskiej w inscenizacji i reżyserii Jana Potiszyla, scenografii Barbary Gutekunst.

TEATRZYKI PROPOZYCJI

Z ciekawszych prób należy odnotować „Słowo o Jakubie Szeli” Brunona Jasiońskiego, wystawione przez Wąbrzeski Teatr Propozycji, oraz dwie jednoaktówki: Sławomira Mrożka „Karol” i Tadeusza Śliwiaka „U Serafina” — inscenizowane „Przy stoliku” we wrocławskim Klubie Książki i Prasy.

SZTUKA RECYTACJI

Kwiecień stał pod znakiem eliminacji do VIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego i Festiwalu Amatorskich Teatrów Poezji. Eliminacje przeprowadzono we wszystkich znaczniejszych miastach Dolnego Śląska. We Wrocławiu spośród 14 studentów jury wyłoniło: Edwarda Lubaszenkę i Barbarę Noskiewicz; spośród młodzieży szkolnej — Elżbietę Karkoszkę, Macieja Grzybowskiego i Tadeusza Kuśmierka; w kategorii amatorów zgłoszonych indywidualnie — Jacka Marzyńskiego. Wszyscy oni wzięli udział w eliminacjach centralnych w Koszalinie. Z teatryków zakwalifikowano: „Pandorę”, „Kalambur” i „Syllabę”.

FESTIWAL WĄSKIEJ TAŚMY

14 i 15 kwietnia Wrocław gościł Ogólnopolski Festiwal Filmów Amatorskich i Szkolnych. Festiwal został zorganizowany przez RO ZSP i Radę Klubu „Pałacyk”. Wyświetlono 14 filmów. Wrocławianie pokazali filmy krajoznawcze „Trzebnica” i „Na ziemi Bolców” (ten drugi wyróżniono). Wielką nagrodę Festiwalu — „Iglicie” otrzymał film „Warmia” (SKF „Pętla” — Toruń).

zowany przez RO ZSP i Radę Klubu „Pałacyk”. Wyświetlono 14 filmów. Wrocławianie pokazali filmy krajoznawcze „Trzebnica” i „Na ziemi Bolców” (ten drugi wyróżniono). Wielką nagrodę Festiwalu — „Iglicie” otrzymał film „Warmia” (SKF „Pętla” — Toruń).

LITERATURA

SPOTKANIA AUTORSKIE

13 kwietnia odbył się czwarty literacki z udziałem nagrodzonych i wyróżnionych uczestników konkursu na utwór literacki o ziemiach zachodnich. Prezentacji autorów dokonał doc. Jan Trzynałowski.

★

6 kwietnia w sali Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu miał swój wieczór autorski Jacek Łukasiewicz (tomik poezji „Moje i twoje”, liczne i ciekawe eseje krytyczne).

27 kwietnia w tej samej sali odbyło się spotkanie z Julianem Rogozińskim, tłumaczem, krytykiem, współredaktorem „Nowej Kultury”.

★

W Bibliotece Publicznej w Jeleniej Górze spotkał się ze swymi czytelnikami popularny autor książek podróżniczych, Janusz Meissner.

PRASA OD KUCHNI

Liczne wieczory dyskusyjne dziennikarzy w ramach cyklu spotkań z czytelnikami „Prasa od kuchni” odbyły się we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku. Spotkania te zostały zorganizowane z okazji 300-lecia prasy polskiej.

TADEUSZ MIKOŁAJEK

laureatem nagrody wrocławskiej prasy
na rok 1961

Ustanowiona w roku 1957 przez Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe nagroda artystyczna wrocławskiej prasy jest przyznawana corocznie w dniu 1 maja za szczególne osiągnięcia twórcze w dowolnej dziedzinie sztuki na terenie Wrocławia i Dolnego Śląska.

29 kwietnia br. jury w składzie: Władysław Bielewicz, Tadeusz Lutogniński, Tadeusz Wierzbicki, Bronisław Winnicki, Janina Wojtanowicz, Wojciech Wystup i Mieczysław Zawadowski — postanowiło:

nagrodę artystyczną wrocławskiej prasy
na rok 1961
przyznać

TADEUSZOWI MIKOŁAJKOWI

za tom opowiadań pt. „Po deszczu”.

W roku 1957 nagrodę wrocławskiej prasy otrzymał Adolf Chronicki, w 1958 — Henryk Tomaszewski, w 1959 — Jan Kuglin, a w roku 1960 — Józef Pieracki.

SESJE NAUKOWE

Z okazji „Dni Legnicy” (9—10 kwietnia), w rocznicę bitwy pod Legnicą (1241) zorganizowano w tym mieście sesję naukową Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

PLASTYKA, ARCHITEKTURA

NIE TYLKO GÓRNICZY

W świetlicy dworcowej w Węglińcu urządzono wystawę prac kolejarzy-plastyków. Spośród eksponowanych prac trzy zostały wyróżnione na Międzynarodowej Wystawie Plastyków—Amatorów—Kolejarzy w Budapeszcie. Autorami prac są: S. Herbiak i F. Wołyński.

„URZĘDNIK” OD DOBREGO GUSTU

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Zgorzlecu zwerbowało plastyka Zygmunta Cichockiego, aby dbał o odpowiedni poziom plastyki „w terenie”. Pełnić on będzie funkcję instruktora plastyki w Powiatowym Domu Kultury, opiekować się kółkami plastyków w szkołach, konsultować w sprawach reklamy handlowej.

JUBILEUSZE I NAGRODY

Stały mieszkaniec Szklarskiej Poręby, znany malarz Władimir Hofman, obchodził 80-lecie urodzin. Z tej okazji w Jeleniogórskim Klubie Społdzielczym zorganizowano wystawę prac artysty. Odbył się także uroczysty wieczór z udziałem jubilatów.

W uznaniu wybitnych za-

siąg na polu artystycznym Rada Państwa przyznała Władimirowi Hofmanowi Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Zaszczególne wyróżnienie jubilat przyjął z rąk wiceprzewodniczącego Rady Państwa, prof. Stanisława Kulczyńskiego.

Wrocławiu otwarto 20 kwietnia wystawę grafiki i rysunku Stanisława Grabczyka pt. „Dolny Śląsk w sztuce”. Stanisław Grabczyk obchodził 40-lecie pracy artystycznej.

WYSTAWY

W Strzelinie eksponowano malarstwo i grafikę plastyków wrocławskich. 27 prac reprezentowało twórczość 12 autorów: Mojżesza Boruszka, Wacława Breitera, Stefania Glinńskiej, Stanisława Grabczyka, Mieczysława Hofmana, Kazimierza Hollera, Zdzisława Jurkiewicza, Mariana Poźniaka, Stefana Sokółowskiego, Karola Stobieckiego, Bronisława Wiktora, Stanisława Zimy.

W salonie wrocławskiej CBWA można było oglądać wystawę prac Eugenii Różańskiej. Jasna na ogół paleta barw, dużo odważnie stosowanej bieli, rytmiczna, przekonywująca kompozycja plaszczyzn — to cechy charakterystyczne obrazów malarki. Eugenia Różańska, absolwentka warszawskiej Akademii Sztuk, wystawia od roku 1937, mieszka stale w Warszawie.

W Klubie Dziennikarzy urządzono wystawę bardzo interesujących prac olejnych wrocławskiej malarki Anny

Szpakowskiej-Kujawskiej. Powtarzający się temat figuralny w swoich rozwiązaniach kompozycyjnych i barwnych sugeruje niebanalny podtekst liryczno-filozoficzny. Na ekspozycję złożyło się 15 obrazów.

W wrocławskim pawilonie ZPAP 26 kwietnia otwarto wystawę fotografii Emila Londzina. W Piwnicy Swidnickiej wystawiał swoje prace Adam Krzemieniecki, absolwent PWSSP, uczeń prof. Dawskiej. Jak na okres „przedsezonowy”, na brak urozmaicenia w wystawach plastycznych nie można było narzekać.

NAGRODY MIASTA WROCŁAWIA NA ROK 1961

Laureatami nagród naukowych i artystycznych przyznawanych corocznie przez Prezydium Rady Narodowej miasta Wrocławia zostali:

- w dziedzinie nauki — prof. dr Wiktor Bross za wybitne osiągnięcia medyczne,

- w dziedzinie plastyki — zespół w składzie: Aleksander Jędrzejewski, Stanisław Pękalski, Władysław Wincze za projekty wnętrz oraz projekt elewacji Rynku,

- w dziedzinie architektury — inż. Igor Tawryczewski za całokształt pracy a szczególnie za projekt punktowca przy pl. Grunwaldzkim,
- w dziedzinie teatru — Jadwiga Przeradzka za wybitne osiągnięcia w scenografii i kostiumologii,

- w dziedzinie literatury — Lilian Seymour-Tulasiewicz za całokształt twórczości.

NOWY KONKURS LITERACKI

Klub Literacki ZLP, Lubuskie Towarzystwo Kultury i Redakcja „Nadodrza” w Zielonej Górze pod patronatem Wojewódzkiego Komitetu Obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego ogłaszają konkurs otwarty na opowiadanie współczesne o tematyce związanej z ziemiami nadodrzańskimi.

Na konkurs nadsyłać należy prace oryginalne, nie publikowane uprzednio w całości lub fragmentach, przy czym każdy autor może nadesłać dowolną ilość prac.

Objętość poszczególnych prac nie powinna przekraczać 15 stron znormalizowanego maszynopisu wydawniczego.

Opatrzone godłem prace, do których należy dołączyć załączoną kopertę z imieniem, nazwiskiem i adresem autora — w trzech egzemplarzach tekstu maszynopisowego (oryginał i dwie wyraźne kopie), nadsyłać należy do dnia 30 września 1961 r. (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Redakcja „Nadodrza” Zielona Góra, Al. Niepodległości 25, z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki”. Skład jury podany zostanie w terminie późniejszym.

Ustala się następujące nagrody:

- I 5000 zł,
- II dwie po 3000 zł,
- III trzy po 2000 zł,
- pięć wyróżnień po 1000 zł.

Jury zastrzega sobie możliwość zmian w podziale nagród. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi 1 grudnia 1961 r.

Redakcja „Nadodrza” zastrzega sobie pierwszeństwo druku wszystkich prac nagrodzonych, wyróżnionych i zakwalifikowanych przez jury do druku, które honorowane będą oddzielnie według stawek redakcyjnych.

TRZZ

TYDZIEŃ ZIEM ZACHODNICH

Uroczystości związane z obchodem Tygodnia Ziemi Zachodnich posiadają już kilkuletnią tradycję. Imprezy, organizowane w dniach 7-14 maja z inicjatywy TRZZ i innych organizacji społecznych, weszły na stałe do terminarza obchodów majowych nie tylko w miejscowościach dorzecza Odry, ale w całym kraju. Najbardziej „dostrzegalne” są imprezy o charakterze rozrywkowym i oświatowo-propagandowym, a więc występy zespołów artystycznych (własnych i „importowanych”), festyny, zabawy ludowe, „zgaduj-zgadule”, widowiska teatralne, odczyty, wieczory autorskie, wystawy itp. Oczywiście nie jest to wszystko. Równolegle odbywa się wiele imprez, których znaczenie wybiega daleko poza program samych uroczystości.

Do takich należą zorganizowane w tym roku w Zielonogórskim tzw. „Nadodrzańskie Dni Przyjaźni Polsko-Niemieckiej” (Niemcy nazywają je Oderfest). 7 maja o godz. 14 we wszystkich miejscowościach nadgranicznych po obu stronach rzek (Odry i Nysy) równocześnie odbyły się manifestacje ludności niemieckiej i polskiej, które zainaugurowały obchody „Oderfest”. Do NRD wyjechał 100-osobowy Zespół Pieśni i Tańca z Zar oraz 40-osobowy Zespół Amatorski i Zespół Estradowy „Błękitne Gwiazdy” z Nowej Soli. Oprócz tego w miejscowościach okręgu frankfurckiego wygłoszono wiele odczytów o polskiej kulturze i folklorze Ziemi Lubuskiej, a w teatrze im. Kleiwa we Frankfurcie nad Odrą wystawiono sztukę Leona Kruczkowskiego pt. „Niemcy”. Na premierze był obecny autor, przedstawiciel ambasady polskiej w Berlinie oraz delegacja kulturalna Zielonej Góry. Ponadto w dniach 7-14 maja występowała w NRD Barbara Bittnerówna wraz z towarzyszącym jej zespołem. Niemiecy sąsiedzi mieli również okazję oglądać wystawę polskiej książki. My zaś gości-

liśmy z NRD frankfurcki zespół estradowy (który koncertował w Gubinie, Zarach, Nowej Soli, Głogowie i Szprotawie), a także wielu przedstawicieli różnych dziedzin życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Pobyt gości niemieckich zakończył się dwudniową podróżą po Odrze „Statkiem Przyjaźni” z Nowej Soli do Kostrzyna. Uczestnicy tej wycieczki (Polacy i Niemcy) zwiedzili nadbrzeżne miasta, biorąc udział w spotkaniach z miejscową ludnością.

Do ważniejszych wydarzeń tego okresu w Zielonej Górze należy zaliczyć jeszcze Sesję Socjologiczną, której tematem były zagadnienia demograficzne Ziemi Lubuskiej. W sesji tej, oprócz naukowców miejscowych, uczestniczyli socjolodzy z Poznania. Podobny charakter miał Zjazd Absolwentów Uniwersytetu Ludowego w Klenicy (pow. Sulechów), podczas którego odbyła się sesja poświęcona polskiej przeszłości regionu lubuskiego. Warto podkreślić, iż prelegentami byli wyłącznie wychowankowie tegoż uniwersytetu.

W województwie wrocławskim z wielu imprez trzeba wymienić konkurs dla młodzieży szkolnej na wypracowanie o ziemiach zachodnich. Jego uczestnicy mieli do wyboru trzy tematy: „Jakie wydarzenia w rozwoju twojego miasta w ostatnim piętnastoletcu wydają ci się najważniejsze i dlaczego?”, „Co wiesz o historii swego miasta?” i „Czego potrzeba temu miastu w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej w najbliższych latach?”. Na konkurs wpłynęło 164 prace z 26 szkół. Okazało się, iż największą popularnością cieszył się temat drugi, najmniejszą zaś pierwszy. Jak można wnioskować z nadesłanych wypracowań, młodzież szkolna posiada dosyć duży zasób wiedzy historycznej o swoim regionie, natomiast za mało są jej znane zagadnienia współczesne.

Na zaproszenie wrocławskiego Zarządu Wojewódzkiego TRZZ bawiła na Dolnym

Śląsku „Estrada Leningradzka” i Zespół Pieśni i Tańca Warmii i Mazur. Jednym z centralnych punktów obchodów był capstrzyk mieszkańców Wrocławia, którzy przemaszrowali przy dźwiękach orkiestry wojskowej z Rynku na plac Kościuszki, gdzie odbył się „Apel Poległych”. Natomiast największą impreza rozrywkowa — „Zgaduj-Zgadula” — odbyła się w Hali Ludowej. Uczestniczyli w niej zwycięzcy regionalnych konkursów (pytania związane z rocznicami powstań śląskich i aktualną problematyką ziem zachodnich).

W Opolu obchody minęły pod znakiem 40 rocznicy III Powstania Śląskiego. Oprócz imprez, o których wspominaliśmy w poprzedniej kronice (konferencja nauczycieli, rajd turystyczny Szlakiem Powstań Śląskich itp.), wydano jednodniówkę poświęconą w całości historii walk na Śląsku w okresie III Powstania. W maju powstał także komitet redakcyjny, który opracowuje wspomnienia i pamiętniki opolskich uczestników powstań śląskich. Zostaną one następnie wydane w formie książkowej.

Odbyły się tu ponadto trzy naukowe sesje wyjazdowe poszczególnych komisji Zarządu Wojewódzkiego TRZZ w Opolu: kulturalno-oświatowej — w Olesnie, ekonomicznej — w Głubczycach (temat sesji: perspektywy gospodarczego rozwoju województwa ze szczególnym uwzględnieniem powiatu głubczyckiego) i propagandowej — w Głogówku (temat: problemy rewizjonizmu zachodnoniemieckiego). W obradach tych uczestniczyli uczeni z Wrocławia i Katowic.

ZIELONA GÓRA

Trwają tu przygotowania do trzytygodniowego kursu dla nauczycieli. Celem kursu jest przygotowanie nowej kadry działaczy kulturalno-oświatowych. Program wykładów obejmuje zagadnienia teoretyczne, jak wiedza o regionie, formy i metody pracy kulturalno-oświatowej w środowisku małomiasteczkowym i

wiejskim, oraz praktyczne — nauka obchodzenia się z odbiornikiem telewizyjnym, magnetofonem, epidiaskopem itp.

★

W Babimoście powstało ostatnio Towarzystwo Miłośników Ziemi Babimojskiej. Objęło ono patronat nad działającymi w tym mieście placówkami kulturalnymi i zespołami artystycznymi. Postanowiono także co roku obchodzić w Babimoście rocznicę Powstania Wielkopolskiego.

★

W Trzebielu koło Zarstaniem członków tamtejszego Towarzystwa Krzewienia Kultury otwarto Wiejski Dom Kultury, który posiada salę telewizyjną i teatralną, pokój gier, bibliotekę i czytelnia.

★

Zarząd Wojewódzki TRZZ w Zielonej Górze podjął starania o realizację średniometrażowego filmu, którego tematem byłaby Ziemia Lubuska, jej przeszłość i teraźniejszość. Film ten byłby przeznaczony dla Polonii zagranicznej. Wiele lubuskich zakładów pracy zadeklarowało już na ten cel pomoc finansową.

WROCLAW

Przy Uniwersytecie Wrocławskim istnieje od stycznia br. studenckie koło TRZZ, którego przewodniczącym jest Joachim Liszka. Członkowie tego koła prowadzą m. in. „akcje drzewi otwartych”. Celem jej jest zapoznanie uczniów klas maturalnych z poszczególnymi kierunkami studiów oraz warunkami życia akademickiego. Studenci pomagają także przyszłemu kołegom w wyborze zawodu i informują o możliwościach zatrudnienia po uzyskaniu dyplomu. Na spotkaniach z młodzieżą szkolną (spotkań takich odbyło się już 18) zakładają Grupy Miłośników Regionu.

★

Przy Zarządzie Wojewódzkim TRZZ we Wrocławiu powstały nowe komisje: zagadnień niemieckich, rozwoju telewizji, aktywizacji uzdrowisk i kooperacji z innymi województwami.

★

W kwietniu br. z inicjatywy Zarządu Powiatowego TRZZ w Jeleniej Górze, którego pracą kieruje Franciszek Cwi-kowski, odbyła się druga z kolei konferencja poświęcona omówieniu współpracy Jeleniej Góry z Gliwicami. Na spotkaniu tym omówiono sprawy bytowe młodzieży jeleniogórskiej studiującej na

Politechnice Gliwickiej i w tamtejszych szkołach zawodowych, a także problemy związane z wymianą gospodarczą między tymi dwoma powiatami. Gliwice są szczególnie zainteresowane produkcją myślakowickiej fabryki „Orzeł”, Kowarskiej Fabryki Dywanów Smyrneckich i Huty Kryształów „Julia”. Zadeklarowały one równocześnie swoją pomoc w rozbudowie urządzeń turystycznych Ziemi Jeleniogórskiej. Nawiązano w ten sposób współpraca ma objąć z czasem i inne dziedziny życia gospodarczego i kulturalnego.

★

Jedną z atrakcji kulturalnych Kamiennej Góry jest Muzeum Regionalne. Posiada ono już dość liczne i ciekawe zbiory eksponowane w kilku salach.

Muzeum to otwarte zostało dzięki staraniom tamtejszego Towarzystwa Miłośników Ziemi Kamiennogórskiej i Zarządu Powiatowego TRZZ, który niejednokrotnie udzielał tej placówce finansowego poparcia.

OPOLE

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Opolskiej rozwija się coraz ciekawiej. M. in. sekcja historyczno-muzealna rozpoczęła inwentaryzację zabytków polskości w powiecie, a sekcja ochrony pomników przyrody opracowuje mapy łączytków przyrodniczych i zbiera materiały do pracy o rejonizacji upraw i hodowli.

★

Wspominana już niejednokrotnie współpraca między Olesnem a Wieluniem stała się rozszerza. W tym roku rozpoczęto budowę nowej drogi ze Sternalca (powiat Olesno) do Zytłniowa (powiat Wie-

luń). Koszt jej oblicza się na około 2 miliony złotych. Uzyskanie dogodnego połączenia samochodowego między wspomnianymi miejscowościami ma duże znaczenie ekonomiczne dla obu powiatów.

SPOLECZNY RUCH KULTURALNY NA ZIEMIACH ZACHODNICH W LICZBACH

Na ziemiach zachodnich działa blisko 300 towarzystw regionalnych, komitetów, klubów, ognisk i zespołów artystycznych. Najwięcej jest towarzystw regionalnych (120), następnie klubów (63) i komitetów budowy obiektów kulturalnych (42), działających przeważnie na wsi. W tym wielkim ruchu kulturalnym zaangażowanych jest 57 tys. osób. Dla porównania: w roku 1960 podobne organizacje w całym kraju liczyły 80 tys. członków. Młodzież do lat 18 stanowi 16 procent członków społecznych organizacji kulturalnych. Jest to odsetek dwa razy większy od przeciętnej krajowej. 33 proc. członków to robotnicy, 7,7 proc. — rolnicy, 52 proc. — inteligencja.

Większość tych organizacji pracuje w warunkach dość trudnych. Tylko 23 procent posiada własne lokale a 26 procent — najniezbędniejsze wyposażenie. Przeważająca liczba towarzystw utrzymuje się z własnych środków finansowych, które stanowią dobrowolne składki członków oraz dochody z imprez. Tylko jedna trzecia społecznych organizacji kulturalnych korzysta z dotacji. Do najbardziej aktywnych należą: Towarzystwo Miłośników Wrocławia, Towarzystwo Ziemi Oleskiej (województwo opolskie) i Lubuskie Towarzystwo Kulturalne.

đ. sid.

15 LAT TEATRÓW AMATORSKICH NA DOLNYM ŚLĄSKU

Wojewódzki Dom Kultury im. J. Słowackiego we Wrocławiu przygotowuje wydawnictwo mające na celu zobrazowanie dorobku amatorskiego ruchu teatralnego na Dolnym Śląsku w latach 1945—1960.

Zainteresowane zespoły i osoby winny nadesłać do dnia 30 czerwca 1961 r. (na adres: Wojewódzki Dom Kultury, Wrocław, ul. Mazowiecka 17) materiały informacyjne dotyczące wystawionych utworów, występów i uzyskanych nagród.

Dla osób, które nadesłały materiały, przewidziane są nagrody.

Książki nadesłane

OSSOLINEUM

Demokracja polska w powstaniu styczniowym. Wybór źródeł. Opracowali: E. Halicz, I. Koberdowa, I. Radtke pod red. Emanuela Halicza. PAN, Biblioteka Historyczna Roku Mickiewicza pod red. H. Jabłońskiego, seria II, tom IV. Wrocław 1961, s. 168.

Heckowa Kazimiera Wanda — Pod znakiem świętego słońca. Dawne wierzenia śląskie. Wiedza o Ziemi Naszej pod red. Tadeusza Lutogniewskiego, t. III. Wrocław 1961, s. 127 + 20 tabl.

Korzeniowski Józef — Opowiadania. Wybór. Opracował Stefan Kawyn. Biblioteka Narodowa I 166. Wrocław — Kraków 1961, s. XL + 424.

Okońska Alicja — Scenografia Wypiąńskiego. Wrocław 1961, s. 323 + 8 tabl.

Pliniusz — Historia naturalna. (Wybór). Przekład i komentarz Ireny i Tadeusza Zawadzkich. Wstęp opracowali: Irena i Tadeusz Zawadzcy oraz (rozdział VI) Leszek Hajdukiewicz. Biblioteka Narodowa II 128. Wrocław — Kraków 1961, s. LXXVIII + 506.

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Goliński Leszek — Siódma drezdeńska. Powieść. Poznań 1961, s. 268.

Wiewióra Bolesław — Niemiecka Republika Demokratyczna jako podmiot prawa międzynarodowego. Poznań 1961, s. 176.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Aragon Louis — Aurelian. Przełożyła Krystyna Dolatowska. Warszawa 1961, s. 757.

Antonow Sergiusz — Alonka. Przełożyła Halina Klemińska. Warszawa 1961, s. 132.

Bielski Marcin — O Skanderbegu Macedonie albańskim książęciu. Ilustracje pochodzą z „Kroniki wszytkiego świata” M. Bielskiego wyd. z r. 1564. Biblioteka Jednoróżca. Warszawa 1961, s. 109.

Bogomołow Włodzimierz, Czukowski Mikołaj, Nagibin Jurij, Niekrasow Wiktor — Druga noc. Opowiadania. Przełożyli: Wacława Komarnicka, Andrzej Mandalian, Irena Piotrowska, Tadeusz Żeromski. Ilustrował Aleksander Stefanowski. Warszawa 1961, s. 315.

Brzostowska Janina — Zanim noc... Warszawa 1961, s. 52.

Chmielowski Piotr — Pisma krytycznoliterackie. T. I—II. Opracował Henryk Markiewicz, Warszawa 1961, s. 585 + 1 tabl. i 498.

Conrad Joseph — Los. Opowieść w dwóch częściach. Przełożyła Teresa Tatar-kiewiczowa. Z pism Josepha Conrada. Warszawa 1961, s. 502.

Otęcańsek Jan — Romeo, Julia i mrok. Przełożyła Maria Erhardtowa. Warszawa 1961, s. 194.

Ożóg Jan Bolesław — Gdzie powój woła. Warszawa 1961, s. 50.

Pa Cin — Gdy bogowie odchodzą. Przełożyła Teresa Lechowska. Poślowie Teresy Lechowskiej. Warszawa 1961, s. 403.

Philippe Charles-Louis — Do bra Magdusia i biedna Marynia. Przełożył Jarosław Iwaszkiewicz. Ilustrowała Teresa Mellerowicz. Biblioteka Jednoróżca. Warszawa 1961, s. 120.

Schuder Rosemarie — Syn czarownicy. Opowieść o Janie Keplerze. Przełożyła Cecylia Lewandowska. Klub Interesującej Książki, Warszawa 1961, s. 360.

Zimand Roman — Trzy studia o Boyu. Warszawa 1961, s. 370.

Zola Emil — Klęska. Z cyklu: „Rougon-Macquartowie”. Przełożył Gabriel Kar-ski. Warszawa 1961, s. 494.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Horak Stanisław — Jesień zaczyna się w nocy. Kraków 1961, s. 60.

Maciąg Włodzimierz — 16 pytań. Portrety polskich prozaików współczesnych. Kraków 1961, s. 290.

Otwinowski Stefan — Czas nie-ludzki. Powieść. Kraków 1961, s. 171.

Sieroszewski Wacław — Szkice podróżnicze i wspomnienia. Dzieła pod red. Andrzeja Lama i Jerzego Skórnickiego, t. XVIII, varia. Kraków 1961, s. 405.

Ślądewski Kazimierz — Wiersze. Kraków 1961, s. 59.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

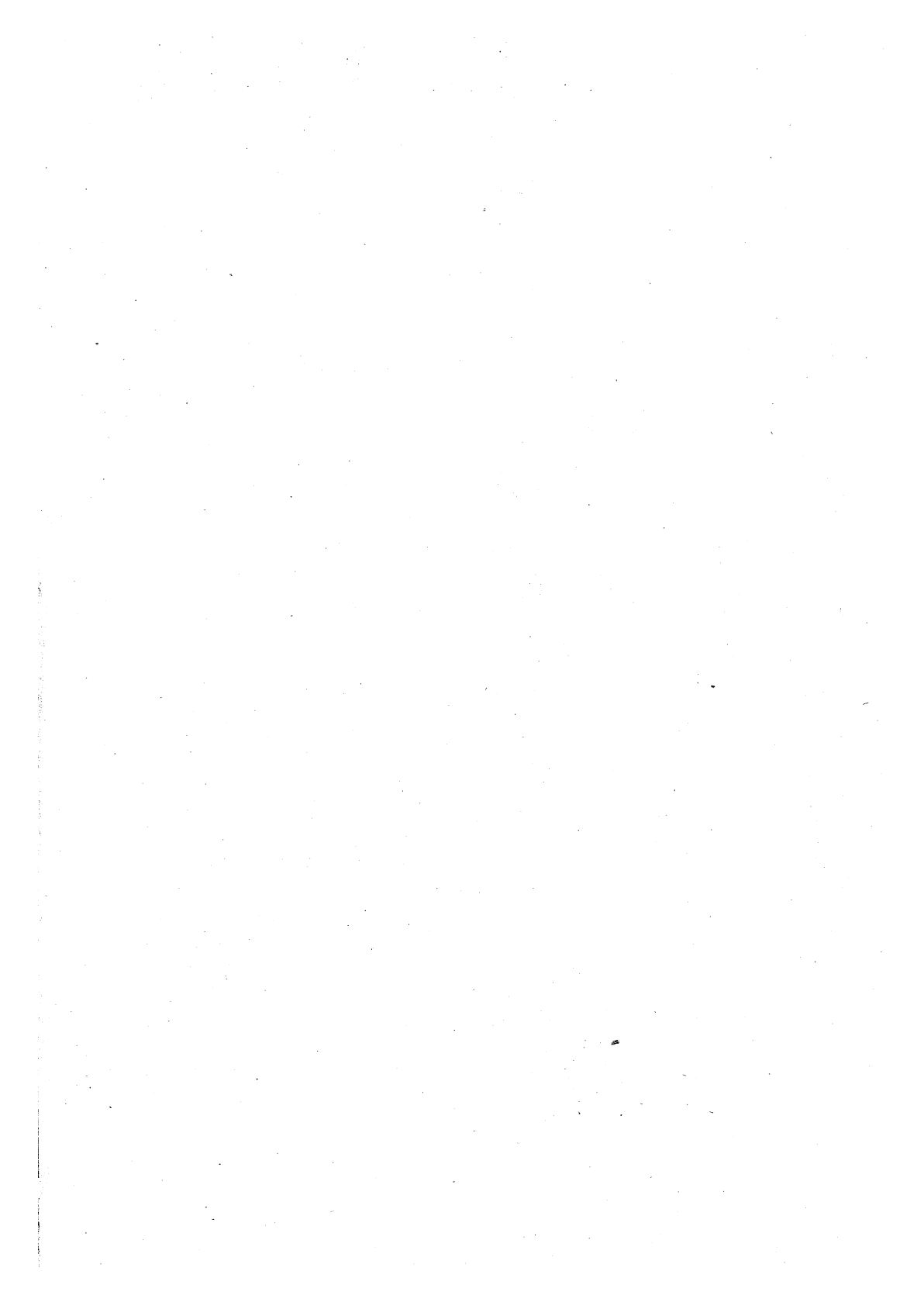
Źródła skandynawskie i anglosaskie do dziejów Słowiańszczyzny. Wydał Gerard Labuda. Instytut Historii PAN. Źródła objaśniające początki państwa polskiego t. I, Warszawa 1961, s. 262 + 1 mapka.

ADRES REDAKCJI: Wrocław, Podwale 63. Telefony: redaktor naczelny i sekretariat 355-16, sekretarz redakcji 357-89, centrala 340-31. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa”.

PRENUMERATE przyjmują wszystkie urzędy pocztowe, listonosze i placówki „Ruchu” do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Należność można również wysyłać na konto: PKO Wrocław I — OM nr 8-6-13768. Prenumerata miesięczna wynosi zł 6, kwartalna — zł 18, półroczna — zł 36, roczna — zł 72. Cena jednego egzemplarza — zł 6.

DRUK: Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. T-4/9



**W najbliższych
numerach:**

Roman Burzyński
„POLSKIE CHILE“ I SIENKIEWICZ

Elżbieta Drzewińska
MATURA

Jan Gawalkiewicz
O TADEUSZU MIKULSKIM

Jan Koprowski
PRZYPOMNIENIE ANGERMAYERA

Władysław Korcz
REGIONALIZM I NAUCZYCIELE

Aleksander Kubisiak
EKONOMIKA BEZ CUDÓW

Jacek Łukasiewicz
PRZECIW PSEUDONIMOM

Edward Marczewski
MŁODA MATEMATYKA NAD ODRA

Edmund Męclewski
„INNE NIEMCY“ I NACJONALIZM

Tadeusz Mikołajek
WCZORAJSZY DZIEŃ

Leszek Prorok
TEATR WIELKICH PROPOZYCJI

Dionizy Sidorski
TRZY UCIECZKI SZYMONA KOSZYKA

Alojzy Sroga
LUDZIE Z WAŁU

Wilhelm Szewczyk
WSPOMNIENIA PIERWSZEGO
REDAKTORA „ODRY“

Cena 6 zł